



kat. komp.
811923

N. p. s.	I
----------	---



811923

N. p. s. I

Z TATR

Biblioteka Jagiellońska



1001903969

Księgarnia
Jagiellońska

STANISŁAW WITKIEWICZ



Z TATR



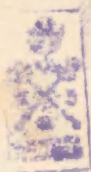
LWÓW — R. 1907

NAKLADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

WARSZAWA — E. WENDE I SP.

LWÓW — H. ALTENBERG ๑๑๑

N. p. s.



811923

1

I.
NA UMARCIE.

NA UMARCIE.

(FRAGMENT).

.....

Czarne, strome zręby granitowych turni dźwigały się potwornym murem dokoła kotliny. W głębi, trzępiąc się po oślizgłych płasienkach, syczała siklawa, lśniąc do słońca, płynącego w czystym, ciemnym błękicie.

Dno doliny, zawalone piargiem i wantami zgruchotanych wirchów, dyszało chłodem w wiecznym cieniu skał, pooranych żlebami, zasutemi śniegiem. Ku północy ściany gładkich krzesanic, zstępowały w dół, rozwierając się, jak olbrzymie wierzeje, za którymi spadał ku dolinie czarny las kosodrzewiny, a nad nim wznosiły się korony limb i sterczały białe, ostre, u spodu nastroszone pnie sucharzy. Za lasem stożyły się potargane wirchy, świecące w słońcu, niżej, znowu lasy granatowe pokrywały kopce dalekich regli, a tam, w dole, zalana słońcem, jaśniała dolina, mającąc pasmami żrących jarców i owiesków i smugami lnów zieleniatych, wśród których błyszczwały chałupy i ciemniły się gaje.

— Niek ta bedzie, co ma być! — mówił do siebie Samek — nie za mnie świat nastał, nie za mnie zginie! —

i kładł dalej gałęzie kosówki na ogromne ognisko, beł-
cące wśród szarych głazów granitu.

Włókł z chrzęstem i szumem całe wielkie krzaki
kosodrzewiny i rzucał to w żółty płomień, który syczał
z wściekłością, ogarniając ciemną, zbitą zieleni i wybu-
chał kłębami białego gęstego dymu, unoszącego się
w spokojnem powietrzu na niebo, aż ponad turnie
wirchów, gdzie go porywał podmuch wiatru i srebrzyła
pożoga słonecznego blasku.

— Bierciez! kie macie wolom! — mówił, spoglą-
dając, to w górę na grań, odcinającą się ostro na
niebie, to za siebie, w stronę doliny.

I znowu rąbał kosodrzewinę i prał w watrę, buzru-
jącą się z hukiem, w drżącym, dokoła niej, powietrzu.
Dym porywał się w górę całemi obłokami, słaniał się,
chwał i przewalał, porozrywany drgającemi smugami
żółtych płomieni.

— Trzystaście djabłów zjedli, ja haw! — wołał
Samek, a głos jego leciał ku turniom, odbijał się echem,
wpadał w lasy i wracał, gdzieś ze spodku wyraźny
i dźwięczny.

Potem znów, na skalne pustacie, zapadała wielka
cisza, w której syczała tylko siklawa — huczał i trza-
skał ogień watry.

Nikt nie przychodził.

Dziś, kiedy on się oddawał — nie było nikogo,
coby go chciał łapać. A przez trzydzieści lat, musiał
się nieustannie bronić, jak wilk na polanie, obsaczony
przez psy i juhasów.

W skalnej, dzikiej pustyni tylko taki żyć może,
co zdole niedźwiedzia, zgoni dzikiego capu, złapie
wilka za uszy, jak ryś wartko wyleci na smreka, jak

orzeł, z pod słońca, wypatrzy samotne jagnię na upłazku i jak świstak umie bez śladu zagrzebść się w ziemię.

Samek był takim długo. Ale dziś odeszła go władza, oczy mgłą zachodzą, ręce drżą, chwieją się nogi, a najbardziej nie mogą płuca. Kiedy po raz pierwszy poczuł, że mu się krew po pod nie zasiekła, zdawało mu się, że go coś chwyciło koło serca i zdusiło za gardło, porwała go taka złość, a potem żal, że padł na upłazie i płakał, jak dziecko. Wiedział, że już po nim.

Czas jakiś brał się za bary z tą niemocą; próbował wytrzymałości nóg, latając po turniach za kozami, próbował celności strzału na orłach, wiszących pod niebem, całymi dniami nie jadł i nie pił, tygodniami nie sypiał i przekonał się, że już po nim.

Dodał się i domęczył tak, że do pół miesiąca nie mógł się ruszyć z koliby, żując ziarnka jarcu i pijąc ciekącą, ze szpar skały, wodę.

Próbował potem paleńki — i ta go zratowała, na chwilę, ale nie na długo.

— Bier djasi! — powiedział sobie, wybrał widne miejsce ku dziedzinom, nawalił watrę w dzień biały i wyzywał nią wszystkich, co mieli z nim rachunki o krew, dukaty, woły, lub barany.

— Bierciez, kie macie wolom! Ja haw! Od Murania po Osobitą, ka jaki narod siedzi Špizaki, Luptaki, a i nasi, — niechby przyszli, niech go już teraz mają, — on już o nic teraz nie stoi! Nie cudny mu zamek Orawski, wie on jakie na nim szubienice, wie jakie kije w Kubinie i łańcuchy w Wiśniczu.

Zbercały łańcuski, zbercały okowy,
Kie nas prowadzili na zamecek nowy!

— dźwięczy mu stara zbójnicka piosenka, uzdajana w cieniu krat więziennych.

Niczego już się nie boi i nic nie chce... wie, że, prócz śmierci, nic mu się już więcej nie należy.

— Choćbyś sto років pozył, to telo będzie, jako i teraz, tego nie ujdiesz! Kielo było i z panów, i z ludzi, a syčka tam! — myślał, i znowu go żal brał taki, że łzy w oczach stawały.

Postanowił do zmroku palić watrę, a jak nie przyjdą poń, ani hajducy, ani leśniczowie, pójsć na jutro, na rano, ku chałupom, świecącym w dole, pójsć na umarcie, do domu, do ojców...

Cicha jakaś żałość za matką, o której zaczął myśleć pod wpływem postanowienia powrotu w doliny, odzywała się w nim nieśmiało, przygniatana żalem za swobodą, za wirchami i wstrętem do chałup, myśl o których, dusiła go po prostu za gardło, oblewało go gorąco, pot występował na czoło — i znowu porywała go ochota spróbować, czyby jeszcze, ten raz ostatni, nie przezimował w halach...

Ponad błękitną mgłę dymu przyleciał orzeł, wygiął ciemne skrzydła i zataczał kręgi, ruszając szerokim ogonem.

— Pockaj! — mruknął Samek, porwał flintę i strzelił.

Huk strzału rozbił się rykiem ech głuchych po skalnych załomach, wstrząsnął ciszą lasów czarnych i umilkł; obłoczek dymu z flinty złączył się z siwymi kłębamii watry i uleciał ku górze, za orłem, który uderzył parę razy skrzydłem, wzbił się wysoko, jeszcze raz zatoczył ponad Samkiem krąg olbrzymi i poleciał, jak kula, we światy.

— Idź se w djasi! — i Samek rzucił flintę w ogień

i patrzył przez chwilę, jak płomienie wiły się około lufy i chwyciły się bukowego łoża; potem wyjął z za opaska pistolet, wykładany srebrem i straszny, krzywy nóż z mosiężnymi bulkami i spozierał, to na watrę, to na tę resztę zbójnickiego sprzętu, w końcu wetknął to sobie znowu za opasek.

— Ach miła! ach moja! — szeptał przez zaciśnięte zęby...

...Takim nożem przebił jej ramię w napadzie wściekłości, myśląc, że Orawcy ją zjednali i przyszli wiązać go pijanego szalem namiętności.

Odtąd jej nie widział; wie jednak, że żyła, gdzieś na Lachach, długo, a potem i gwara o niej ustała. Ale ani na chwilę nie ucichł ból serca, żal i tęsknota i nie zbladło to jedyne, w jego strasznym życiu, szczęście.

Wszystkie rany od kijów i kajdan, wszystkie postrzały, które poszarpały jego ciało, głód i mróz i straszna samotność zimy wirchowej i groźba szubienicy i pazury niedźwiedzia, co mu kark zdarł do kości — wszystko było niczem, wszystko nic nie płaciło w obec tych kilku dni, które przeżył z Jantką. Całe życie dawniejsze i trzydzieści lat zbójnikowania w halach, zdawały się chwilą, w porównaniu z temi kilku dniami, które mu się wydawały setkami lat szczęścia i rozkoszy...

I to się dotąd nie skończyło; to szczęście trwało, nieodstępowało od niego, on je czuł dotąd w krwi swojej, on czuł je w sercu, które tłukło się, jak u wystraszonego ptaka, na każde wspomnienie...

Ileż niedźwiedzi i capów poszło całych, gdyż w chwili, kiedy miał ruszyć cyngla, nad lufą zamajały mu jej czarne oczy spokojne i pytające, których spojrzenia nie mógł nigdy wyrozumieć, czuł tylko, że

go ciągną, jak przepaść, której dna nie widział, i jej usta posmutniawe, które czasem się śmiały tak, że w ciemnej kolibie zdawała się rozlewać jakaś jasność różowa od jej twarzy jasnej i kasztanowatych włosów, świecących, jak złoto, do słońca. W tej chwili widział ją jak żywą przy sobie... W ciasnym serdaczku, który się roztwierał na piersiach, rozchylających koszulę i świecących różowym płatkim między bielizną... Myśl o niej podcinała mu nogi, chciał klęknąć i całować ziemię, która ją nosiła...

— Ach Jantka! Jantka! — szeptał...

Przeżyli oni z sobą, tam w Osobitej, dni kilka, ponad mgłami, które, jak białe morze, płynęły od ich stóp, aż do krańców widnokregu, kryjąc ziemię. Tylko nagie turnie wirchów sterczały, jak wyspy, ponad kłębiącą się srebrną falą obłoków, a czasem, orzeł przedostał się po nad mgłę i ważył się samotny w otchłaniach błękitu. Gdy odurzeni szczęściem patrzyli w blask, wschodzącego ponad chmurami, słońca, zdawało się im, że świat się chwieje, że ziemia roztapia się wraz z nimi, z dreszczem rozkoszy, w jakąś mgłę różową... I zorza ta pozostała mu na życie całe...

Samek zapomniał o watrze, która gościła, osypana dookoła popiołem, puszczając siwe smużki dymu z pomiędzy niedopalonych, czarnych, pokręconych głowni. Zimno go obleciało, zaczął znowu kłaść sucharze i koso-drzewinę na ogień. Suchy pień limby, który rozszczytywał ciupagą, przypomniał mu jedyne zabójstwo, które popełnił.

Samek i towarzysze zbuntowali się przeciw *harnasiowi*, gdyż nie chciał przystać na podział pieniędzy i rozejście się. Samek strzelił doń z pistoletu i zabił. Wzięli

potem dudławą limbę, włożyli w nią trupa z bronią i ciupagą, wysypawszy mu do trzosu należną część pieniędzy, między którymi były dwie garście dukatów, zabranych na Luptowie u pana Diuga Pongraca. Samek rad widział tego harnasia i po dziś luto mu było, że doń strzelił, — myślał jednak o tem spokojnie, bo nic mu przecie nie wziął. Złote i srybelne pieniądze i potąd przy nim leżą, tam pod Krzywaniem, przywalone skrzyżalą, jak leżą i, poświeki leżeć będą, pokłady, które z towarzyszami ukryli w halach.

Samek uśmiechnął się do siebie, myśląc o kotliku schowanym w orlem gnieździe w Rohaczach.

Pod śtyrbną turnią rósł tam smrek halny i było takie zaklęsnione miejsce w skale, — Samek wylazł na smreka i zobaczył ganek wiszący nad przepaścią, otoczony wałem z kości, a pośrodku jedno małe orlątko leżało w pierzu. Samek uwiązał sznur do smreka i spuścił się ku gniazdu, potem towarzysze opuścili kotlik, on to wbił do dziury w skale i wantą przywalił; orlątko cisnął w przepaść, razem z gniazdem, żeby się ptaki więcej nie chciały już na tem miejscu gnieździć. Potem smrek zrąbali, na turni wycięli niespodziany krzyżyk i poszli. Póki drugi taki smrek nie urośnie, nikt tego gniazda nie dojrzy...

Słońce gasło gdzieś za turniami; po niebie roztaczała się wielka jasność, cień czarny zapadał na krzaki kosodrzewiny, a mgła biała płynęła z lasów, leżących w dole.]

Samek usiadł przy ogniu, objął rękami kolana i nieporuszony siedział z oczami utkwionemi w czerwony żar watrzyska.

Mrok gęstniał; turnie zlały się w czarną, jednolitą

ścianę, która zdawała się zbliżać ku watrze i zacieśniać dno kotliny; mgła przesłoniła całkiem krzesanice i lasy, niebo czyste wygięło się ciemnem sklepieniem, z którego migotały trwożliwie gwiazdy. Gdzieś, w turniach, kwiliły puhacze, szumiała siklawa i ksykał, ponad ogniem, gacek. Błękitne płomyki chwiały się nad rozżarzonem stosem węgla, wiły się czerwone obłoczki dymu, watra rozsypywała się w popiół i dogasała pomału. Samek się nie ruszył. Chłodne i rzeźwe powietrze nocy halnej płynęło od lasów, przepojone zapachem smreków i kosodrzewiny. Ciemność nie przejrzana zaległa dokoła, tylko gwiazdy migotały wciąż z czarnego nieba, a na ziemi, zatopionej w mroku, gasnące ognisko połyskiwało w szeroko otwartych, osłupiałych oczach nieruchomego Samka.

.....

* * *

Chrapek, nagi do pasa, siedział po środku izby, trzymając, między kolanami, miskę z kukurydzianią sapką, od której rozchodził się zapach skwarzonego sadła. Naprzeciw niego pies Biłko, czerwonym ozorem oblizywał się do oczu i zamiatał ogonem kudłatym po podłodze. Chrapek jedną łyżkę niósł sobie do ust zapadłych, bezzębnych, a drugą tkał psu do pyska.

— Naści! — mówił — naści! e jakiześ ty urażny! Bier chłopie! Na nic warza, kie nie parza! — wołał na psa, który oblizywał się, przestępował z łapy na łapę i nie śmiał wziąć dymiącej się z waru sapki.

— E, ty plugacu! — krzyczała Chrapkowa — brzydaku! Nie wrodzis się ty z psiskiem z jednej łyżki jeść? Pieklarzu!

— Dy on ma pikniejsom gębe, niżli ty, bo nie klnie! — odpowiadał Chrapek.

Starzy siedzieli przez chwilę milcząc, każde przy swojej połodninie, słyhać tylko było głośnie cmokanie i uderzenia jaworowych łyżek o dno misek...

Drzwi się pomału rozwarły.

Do izby, zginając się, wszedł Samek i odrazu zaniósł się kaszlem w gorącym i smrodliwym powietrzu chałupy. Biłko rzucił się ze szczekaniem, lecz kopnięty nogą, uciekł za piec, skowycząc. Chrapek zatrzymał w powietrzu łyżkę, rozdziawił bezzębne usta i wpatrzył się zdziwionemi, okrągłemi oczyma...

— Niek bedzie!

— Niekze bedzie!

— Witajcie!

— Witajcie i cóz ta powiecie? — pytała Chrapkowa.

Samek patrzył chwilę, to na matkę, drobną, chudą, zgiętą, to na zdziczałego ze starości ojca, w końcu przemówił:

— Mamo!

Chrapkowa usiadła nagle i wpatrzyła się weń z przerażeniem; po chwili wzięta się ręką za twarz i zaczęła nieprzytomnie powtarzać:

— E! Jasiek, moje dziecko! E! Jasiek, moje dziecko!

Samek całował ją po twarzy, po trzęsących się chudych rękach, całował jej kolana kościste, a ona, wciąż, jak obłąkana, powtarzała:

— E! Jasiek, moje dziecko!

— Zje ta, nie bedzie nik inny, jacy Jasiek — mówił do niej Samek.

— E! Jasiek, moje dziecko! I kany ześ dziecko

było? I cóż to ta dziecku zrobili, co? — gadała nieprzytomna, nie widząc, że Samek sam już był starym chłopem.

Chrapek tymczasem kiwał głową na Biłka, przy mrugując i wołał:

— Hybaj haw, chłopie!

Samek podszedł do ojca i gładził go po ociekłych tłuszczem włosach, których końce, związane w kiecki, wisiały mu na piersiach, porośniętych szarym, jak skucina świstaka, włosem.

Chrapek uśmiechał się głupkowato i nagle, wyginając grzbiet nagi, z którego sterczały łopatki i wyrostki kręgow, pobiegł na raczku, przewalił się przez próg wysoki do komory i po chwili wypetł z tórbką, zawieszoną na szyi. Siadł pośród izby, wysypał z tórbki garść talarów i siajnych krajcarzy i bawił się nimi, jak dziecko.

Samek przyglądał się chwilę ze zdziwieniem, a sięgnąwszy do opaska, wyjął garść żółtych dukatów i cisnął ojcu na gacie. Złote krążki mignęły, jak iskry, i świeciły, jak gwiazdy, na szarem, brudnem płótnie i czarnej, zbłoconej podłodze.

Chrapkowa się porwała i chciała złapać dukat, błyszczący w łupinach ziemniaków, lecz Chrapek, zwinny, jak kuna, chwycił go i wrzucił sobie w szeroką gębę.

— Mamo! niechaj to! naści! — wołał Samek, odpinając opasek i wysypując na stół kilka garści złota.

W oczach Chrapkowej zamigotała chciwość; zmrużyła je, czoło jej się wygładziło, wyciągnęła grablowate ręce i zgarniała śpiesznie w zapaskę dzwięzące dukaty,

ogładając się gniewnie i z niepokojem na drzwi i okna, a wciąż warcząc, zduszonym, ze wzruszenia, głosem:

— E! Jasiek, moje dziecko!

.....

Chrapek był hruby gazda. Sto owiec tłoczyło się w szopie i trzydzieści krów żuło siano przy jarmicach; na poddaszu ośmdziesiąt korcy owsa i jarcu czekało na miejsce we młynie, a na wyżce »kielo kołków, telo półciów słoniny, abo i sadła«. Biała izba, zawalona wszelakim dobytkiem. Na drążkach wisiała moc przyodziewków; wielkie limbowe skrzynie na kołach kryły hyrbę płótna. Len płowy wisiał po ścianach w wielkich węzłach; na podłodze stały putnie z miodem, baryły z paleńką i pełno rozmaitego sprzętu: oboniek, gielet, rajtoków i stołków, wśród których świeciły ogromne, mosiężne kółka chomontów. Gdziebyś spojrział, wszędy bogactwo wielkie.

W izbie czarnej, ściany, z szerokich jedlowych łupanic, błyszcząły czarnem szkliwem od krwi, którą były farbione, i sadzy, co się w nią nabiła. Mężny sosrąb, cyfrowany pośrodku i na krajach, dźwigał wysoko pięć tragarzy, na których leżała łamana powała. Dokoła ścian biegła listwa, błyszcząca od szklanych obrazów świętych i zbójnickich. Pan Jezus mały, jak dzieciątko, z brodą i wąsami, leżał na kolanach ogromnej Matki Boskiej, jaśniejącej złotą sukienką; czerwieniły się Janosikowe, cyfrowane złotem, portki. Miski, półmiski, dzbany i dzbanuszki zalegały półki, wisiały na kołkach. Stół jaworowy, wykładany cisem, świecił czysty i jasny, a w łyżniku pięćdziesiąt łyżek, znaczonych krzyżkami, sterczało od kraja do kraja.

Samek przyglądał się wszystkiemu temu, i chwilami,

nie wiedział, czy te stare ściany, znane z przed trzydziestu lat, przyśniwiają mu się, czy też kilkadziesiąt lat, przeżytych w halach, było snem, z którego się zbudził w czarnem i smrodliwym wnętrzu chałupy.

Wieść o powrocie zbójnika rozeszła się wartko po wsi i po polanach.

Z każdej chałupy przychodził ktoś na przezior.

Dziwki ciągnęła sława honorności Samkowej, krwawa, miłośna historja Jantki i tłumu kochanek, które za nim latały po halach.

Stroili się w najpiękniejsze przyodziewki i nachodziły chałupę Chrapków, przyglądając się z pode drzwi Samkowi. Siwe jego oczy, patrzące łagodnie, lecz stanowczo z pod brwi szerokich i czarnych, wielkie włosy kręcone, wśród których wiły się białe kosmyki; wysokie białe czoło, twarz ściągła, nos suchy z ruchomemi nozdrzami, zaciśnięte usta, pod czarnym rzadkim wąsem, w całej twarzy jakaś lutość i powaga, wszystko ciągnęło ku niemu, a razem onieśmiało...

Dziwki, odchodząc, mówiły między sobą:

— Juz chłop roki ma, zawdy nie bedzies skakać do góry, musis sie zaś spodku chytać!

Złazili się też rówieśnicy Samka, plugawe i brudne dziady, od których raziło starem masłem. Samek z obrzydzeniem patrzył na Galijana, wypluwającego, przy kaszlu, ozór szeroki, jak kierpiec; na jednookiego, wolowatego Michnę, a najbardziej go mierzył Kuba Gąsienica, z twarzą wygiętą, jak pług, do przodu. Przychodził i przez nos zaczynał gadać:

— Brzyćki cas!... bo cemu? wiecie? — pytał, jak żeby nie wiadomo jaką mądrość miał powiedzieć i odpowiadał sam poważnie: — Błoto!

Przysiadł do Samka, żującego zęby z niecierpliwości, i mówił:

— Ja was tak lubiem, i nie wiem czemu! nie macie ta jakiego talara srybelnego?

Inni się schodzili, żeby wywiedzieć się coś o zbójnickich pieniądzach. Wyciągali Samka na słówka, żeby wybadać o sposobach i dowodach złodziejskich.

— Z tyk białcańskik złodziei, jeden opowiadał, co majom takie sposoby na zaspanie. Na Wielkanoc w nocy bierom glinę ze smentarza. O północy nagi leci po te ziem. Toz to obeńdzie trzy razy dokoła chałupy, a na kazdym węgle tej gliny nasypie — toz to lud zaśpi... I nie wiem, cy to by miała być prawda, cy plotki? — pytał, niby bez interesu, Dudłak.

— Prawda! — mówił Samek i chciał mu skoczyć do gardła.

Przywykły do wielkiej ciszy hał, do niezmiernych obszarów, do zupełnej samotności, która w nim do najwyższego stopnia rozwinięła skłonność do rozmyślań i zdolność przeżywania w wyobraźni tego, czego mu życie nie dało, lub co zabrało, wściekał się teraz wśród trajkotu dziadów i bab, które ciągnęła ku niemu ciekawość i chciwość. Smród izby dusił jego płuca; pospolite chałupne gawędy i plotki mierzyły go tak, że uciekał na szopę i tam, zaszyty w siano, leżał całymi dniami.

Ze wszystkich bab, które go nachodziły, rad widział tylko Jarzabcułę. Lubiał jej opowiadania o mężu, wielkim myśliwym i wielkim pijaku.

— Moje dziecko! — mówiła ona, trzymając ręce pod zapaską — dobrze przy smrecku stać, kie je dobry, ale kie krzesany, to sie nie zatulis, nie ogrzejes — tak

i chłop! Jasiek, wiecie, i Jasiek! Abo on to patrzył, cy ty cłeku mas, cy ni! Kie mu trza było sprzętu, choćbyś miała grzędę kapusty zastawić: prok, cy ta broki, — musom być! Cok ja sie tyk capów za nim nanosiła! Mocny Boze! — Kiej z turnie spadł i ręce se połamał, het! tutok po łokcie, siedział w izbie, a co poźrał na flinte, abo uwidział, którego z tyk panów, co ś nim polowowali, to mu ta zara płacki w ocał stajały. Zje to przecie był chłop! nie zaś taki ciarapara, jako ci teraz — dodawała, ukazując głową na kupę dziadów, tłoczących się u pieca.

Z pomiędzy chłopów jeden Hahac z Kotelnicy, co Samka nie nudził. Był to chłop tęgi, urośniony, mądry i wywyrtny; nie męczył pytaniami, sam rad gwarzył i gwarę miał lekką, a opowiadając, śmiał się grubo i wesoło.

Wszystko to jednak na ostatku mierziło Samka.

Zima przysiadła hale, dolinę śnieg zawałił po okna chałup, smreki łamały się pod okiścią. W polu błyszczało słońko po brzeżkach, skrzyły się dachy i świeciły na niebie białe, pokryte sacją gaje.

Do izby wegnano jagnięta, cielęta i kózki; wto czono kadzie z kapustą i putnie z kwaśnem mlekiem. Na strzelenie od chałupy raził już smród kwaśny i gryzący.

Samek dusił się w izbie, darła go ciężka krzypota, aż mu się krew czasem gębą rzucała. Wybladła jego twarz pokrywała się krwawemi żyłkami, nogi brzękły. Uciekał z izby do pola, próbował sypiać w wozie, na boisku, ale go ziąb wegnał nazad do chałupy. W południe siadywał na pagródce, grzał się do słońka i patrzył na wirchy.

Zrywała go taka żałość, tęsknota, taki smutek, że się zbierał iść precz od tej przemierzłej chałupy, ale zaraz chwytąta go duszność za gardło, jakiś niepokój, lęk nieznanymu nigdy, niecierpliwość i naremność, w której się rzucał jak wściekły i chciał prać wszystkich.

Jednego dnia, kiedy tak siedział przed chałupą, w sąsiednich izbach, u Gładcanów, powstał straszliwy warchoł kłótni. Wrzeszczały z piskiem baby, kłął brzydko, grubym głosem chłop, zanosily się z płaczu dzieci... Wadzili się i bili w tej chałupie, jak w piekle. Nagle drzwi się rozwarły i, potykając się, wypadła na dwór młoda baba, a za nią coś wyrzuciło jakiś przyodziewek i wrzasło:

— Redykajse w djabły! — i drzwi się zawarły.

Baba z chustką, zdartą z płowych włosów, wygrażając pięściami w okna chałupy, wrzeszczała:

— Ka by miała redykać! Mnie z tela nik nie wyzenie! Ja sie nie wydawała dołu, ja sie wydawała ku chłopu! Mnie z tela sam Ociec święty nie odsądzi, co zaś by mieli odsądzić takie włóki, jako wy teraz, psie koście zatracone!

Z chałupy wyskoczył ogromny, gruby chłop z sojtą w garści i rzucił się na babę, ale Samek nagle porwał się i hipnął ku nim, jak ryś. Za mgnienie oka chłop przywalony jęczał pod pięściami Samka, który go prał po gębie; baba za ten czas pozbierała roztrzepane po oborze przyodziewki i poszła dołu, klnąc i płacząc.

Samek zostawił przybitego chłopą przed izbą i poszedł do domu, slaniając się i kaszląc aż mu twarz siniąta.

Był zły na siebie, że się zapamiętał i z trwogą myślał, że chłop pójdzie na skargę, w mieście dowiedzą

się o jego powrocie i nie dadzą mu umrzeć, choćby tu przed chałupą, tylko zamęczą w więzieniu, z którego już by nie zdołał uciec. Sama myśl o ciemnej i brudnej izbie za kratami, chwytala go za krtań i dusiła jak stryczek. Wolałby już nawet świecić ku Tatrom z szubienicy Orawskiego zamku, niż gnić po mału w lochu.

Tymczasem Gładcan przyszedł nazajutrz i, wyciągając do Samka ogromną dłoń, mówił:

— Dobiliście mnie godnie! Ale ja ta nierad tak po sądach gonić. Dy to chłopska rzecz bitka! Bijali się nasi ojcowie, niekze i my sie bijemy. Pogódźmy sie i coby o tem gwary więcej nie było.

Po dniach niespokojnych, zdejmowała go znowu niemoc i leżał z zamkniętymi oczyma, nie mówiąc słowa do nikogo, nie odpowiadając na wołania. Zamykał oczy, żeby mu nic nie mąciło tego świata, który miał w głowie.

Dzikiem i potargane turnie wirchów; błękitne stawy, otoczone jasnemi zwałami want granitowych; zielone polany, pachnące krzaki kosodrzewiny i cienie lasów, niezmierzone głębie przepaści i blaski słońca na szumiących potokach; ryk wodospadów, huk strzałów, bek konających niedźwiedzi, klątwy Liptaków i trzaskanie piorunów, rozbijające się straszliwemi echami po skałach, i mgły ciężkie, nieprzejrzane, ślepiące kurniawy i bezmierna cisza zimy — a ponad wszystkim czarne oczy Jantki, jej twarz jasna i złote włosy... tam, w kolibie na Osobitej...

Samek się porywał z pościeli i chciał biedz, — ledwie oczy otworzył, natykał się na czarne ściany izby i brudnego Chrapka, który się wadził na podłodze z jagniętami i kózkami, szczując na nie Biłka.

— Zabij! zabij! — wołał i śmiał się swoją bezzębną gębą, widząc, jak kózki podskakiwały ze spuszczoneym łbem do psa, przysiadającego na przednie łapy.

* * *

Ku wiosnie coraz gorzej było ze Samkiem. Dodała go krzypota, że ledwie duszę uprosił, co przy nim została, ale to go nie zratowało. Krew zasiekła się po pod płuca, nic nie płaciły ani smarowacka, ani żytnie, kwaśne ciasto, którem mu matka nogi obrzękłe okładała; ani rozpalona skrzyżalka, zawinięta do szmacięcia, którą trzymał pod sercem.

Z wybladłej zieleniatej twarzy, patrzyły smutne, cierpiące oczy, pod któremi wisiała nabrzękła, sina skóra. Oddychał krótko z długimi przerwami, napadała go duszność, a z nią taka niecierpliwość, że tylko z matką się nie wadził.

Namawiały go baby, żeby sobie krew puścił — przychodził nawet Spyrkowski — ale Samek brzydził się tem; mówił, że mu dość krwi wytoczyły niedźwiedzie pazury i kulki liptowskie, i z pod samego serca! — dodawał, ukazując na białą bliznę na piersiach od spinki, którą mu strzałem wbił z łańcuszkami do ciała, leśniczy z Luptowa. Kłzyna paleńki orzeźwiła go trochę, cucił się wtedy z nieustannej senności, która się go uczepiła i włókł przed chałupę.

W marcowem słońcu tajały śniegi, woda lała się z dachów, okiść urywała się ze smreków i z chrzęstem zapadała w śnieg, leżący u dołu. Granie wirchów błyszcząły śrenią; w potokach, wśród lśniącej i szumiącej wody, tarzały się białe bryły lodu; na drogach poczer-

niałych, koń przetykał kopytem śnieg zmiękły, a po wsi słyhać było burzenie siekier — wiosna szła w hale.

Samek lżej oddychał na polu, uspakajał się, wiedział, że już go nic nie zratuje, opuścił się i czekał śmierci obojętnie.

— Ja ta z tem nijakiej turbacyje nie mam — mawiał — kany mnie najdzie, to se zabiere.

Niekiedy jednak pragnał, żeby się to już raz skończyło.

Pogoda marcowa niedługo trzymała. Przyszedł od Orawy wiatr zimny, kurniawa, że światła widać nie było; to znowu deszcz romolił, albo mgła gęsta, śmierdząca dymem, zimna i mokra przysiadła ziemię.

Samek nie mógł się ruszyć z izby. Leżał na pościeli, raz go ziąb taki brał, że się okrywał wszystkim, co mu matka zносиła, to potem, czuł w sobie taki war i taką duszność, że zrzucał naremnie ze siebie wszystkie przykrycia, rozrywał koszulę pod szyją, siadał w pościeli wsparty na rękach i oddychał ciężko z otwartymi ustami, dźwigając się i opuszczając za każdym oddechem.

Wszyscy widzieli, że wnet musi umierać.

Baby, a najbardziej Gackula, dogadywały, żeby go zawieźć do księdza, ale Samek usłyszawszy to rzekł:

— Idźcie se w djasi! Ja ta z tem nigdy nie rabiął, sam trafię ku Panu Bogu i odpowiem, kie me do per-tykułu zawoła.

— Wiecie — mówiła cicho Gackula do Chrapkowej — nie wielkie to idzenie do kościoła, bez dudka nie bedzicie, mozecie se księdza ku sobie pozwać, he?

— Zje ba i prawda! — wtórowały inne, na tem też stanęło.

Jednej nocy przyszedł straszny wiatr halny. Darł się o szepę, szarpiąc dranicami, jak żeby chciał ją rozpruć, zapierał się do dachu, aż się dach ugiął i stękał jak człowiek; szamotał i szumiał smrekami, ryczał w nagich gałęziach jesionów, albo wył, jak wilk, na węgle chałupy, choć mu Chrapkowa nasypywała tam garść mąki.

Po niebie przelatywały potargane chmury, to zasłaniając, to rozświetlając jasny księżyc w pełni.

W izbie migotało też czasem miesięczne światelko, to znowu cień czarny ją zalegał. Samek wpatrywał się w ciemności, wsłuchiwał się w hałas halnej burzy i mówił do siedzącej przy nim matki:

— Słysycie, mamó, jak to pukło? Ono to rado puknie, kie ma kto umierać... To dusa tak chodzi, a zaziera...

Dach trzeszczał i stękał, dranice dygotały, jak żeby kto czekał zębami ze strachu.

— Nie bałamuć haniok na izbie śmiertecko, ino pódź ku mnie... bo juz wiem, co ty nikogo innego nie sukas ino mnie... — gwarzył Samek.

Na świtanu wiatr ucichł; słońce wstawało jasne i czerwone z mgieł, zalegających dolinę, nad niemi wznosiły się czyste, otulone śniegami wirchy.

Od rana pełno narodu było i w izbie i przed chałupą Chrapków; poschodzili się ludzie ciekawi Samkowej śmierci.

On leżał blady, spokojny, co chwila prosił pić, ale słowa mu się mieszały; Chrapkowa przechylała dzbanek do ust sinych, ucierała je szmateczką, niekiedy dawała mu popić czystej paleńki.

Nagle Samek poczerwieniał, zerwał się i wartko, cichym głosem powiedział:

— Dajcie pożreć ku wirchom!

Dwaj chłopci wzięli go po pod ręce, on im uwiśn na ramionach, a bezwładne nogi wlokły się po podłodze.

Za nim tłoczył się lud; Chrapkowa płakała piskliwie, śliniąc się, jak niemowlę; z pomiędzy kolorowych fartuchów wyzierała brudna, okolona potarganym włosiem twarz Chrapka, który, na raczku, pchał się z pomiędzy bab do przodu.

Chałupa Chrapków stała na brzeżku, mgła leżała spodem, tylko wierzchołki olch sterczały nad nią.

Słońce jasne świeciło z płowego, wiosennego nieba, które zdawało się spływać w świetlany opar otulający wirchy, lśniące na graniach ślepiącym blaskiem śreni.

Powietrze pachło świeżością, otulało jakimś miłym, miękkim ciepłem. Parę wróbli cirkowało wesoło na szapie.

Samek, dźwigany przez chłopów, stał przed drzwiami i zdawał się rzeźwić z obłędu konania; uśmiechał się i mrużył oczy, oslepione blaskiem odbitego w śniegach słońca...

Wę mgle, na dole rozległo się urywane brzęczenie kościelnego dzwonka i nagle, z pod błyszczącego słońcem oparu, wysunęła się twarz blada, szeroka, chuda, okolona płaską czapką, zachodzącą na uszy. Ogromne, czarne oczy bez źrenic i biała płachta...

Wikary to szedł w swoich czarnych okularach i komży.

Samek roztworzył szeroko zamglone oczy i wpa-
trzył się zdumiony w to widmo śmierci.

— Juz idzie — szepnął — juz... — i źrenice za-
szły mu pod powieki, głowa zwiła na piersi i cały
osunął się na ramionach chłopów...

.....

1891 r.



II.

LEW TOŁSTOJ.

CEM LUDZIE ZYJOM.

TŁOM. Z ROSYJSKIEGO.

LEW TOŁSTOJ.
CEM LUDZIE ZYJOM.

My wiemy, iżeśmy przeniesieni z śmierci do żywota, iż miłujemy bracią. Kto nie miłuje, trwa w śmierci.

List I. Św. Jana. Rozd. III, 14.

Ktoby miał majątność tego świata, a widziałby, że brat jego ma potrzebę, a zawarłby wnętrzności swe przed nim, jakoż w nim przebywa miłość Boża?

List I. Św. Jana. Rozd. III, 17.

Synaczkowie moi, nie miłujmy słowem, ani językiem, ale uczynkiem i prawdą.

List I. Św. Jana. Rozd. III, 18.

Najmilejsi, miłujmy się zobopólnie, bo miłość jest z Boga. I każdy, co miłuje, z Boga jest urodzony i zna Boga.

List I. Św. Jana. Rozd. IV, 7.

Kto nie miłuje, nie zna Boga: albowiem Bóg jest miłość.

List I. Św. Jana. Rozd. IV, 8.

Boga żaden nigdy nie widział. Jeśli się miłujemy zobopólnie: Bóg w nas mieszka, a miłość Jego doskonała jest w nas.

List I. Św. Jana. Rozdz. IV, 12.

Bóg jest miłość, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim.

List I. Św. Jana. Rozd. IV, 16.

Jeśliby kto rzekł, iż miłuje Boga, a bratby swego nienawidział, kłamcą jest. Albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jako może miłować?

List I. Św. Jana. Rozd. IV, 20.

I.

Siedział sewc z babom i dzieciskami u chłopa. Pola ani chałupy nie miał, ino żył se ze zarobku. Ale, chleb był drogi, a robota za nic — co zarobił to zjad. Mieli ta we dwoje z babom jedno kozusysko, juźci portargało się to na strzępy i od łońskiego roku miarkowali, jako by se skórek owcyk kupić, coby nowy kozuk wyzdajać.

Na jesieni, zwysyło się u sewca cosi dudka: trzy papierki leżały u baby w skrzyni i cosi pięć i dwie sóstki było pomiedzy ludziami we wsi.

Toz to wybierał się sewc od rania do wsi na kozuk. Oblek se babi kaftan na kosule, powierzchwdział sukiennom katane, wzion trzy papierki do kieseni, wyłamał kólik, pośniadał — i poseł. I myśli se: — Dostane od chłopa pięć, przyłozę swoik trzy papierki i kupię skórek na kozuk.

Juźci zajdzie sewc do wsi i wlaz do jednego chłopa — nimas doma, obiecowała baba, co przyśle chłopa z dudkami, ale sama ik nie dała; wlazł do drugiego — przysięgał chłop, jako piniędzy nie ma, ino mu dał dwie sóstki, co mu buty reperował. Myślał sewc, co dostanie skórek na borg — nie zborgował kuśmierz.

— Przynieś, pada, pieniązki i wybieraj se wte, jaka ci się widzi. Nie bees ty me ucył, jako długi odbierać — mam ja na to swój rozum.

I nie zrobił sewc nijakiego intarasu, ino dostał dwie sóstki za naprawe i wzion od chłopca stare kapcięta obsywać skórom.

Zbanowało se sewcysko, przepił dwie sóstki i poseł se przez kozuka dó domu. Na raniu widziało mu się dość pozimniato, skoro wypił — ciepło i przez kozuka. Idzie se drogom, jednom rękom kólikiem po zmarzłym piargu zbyrce, a drugom kapcyskami macha i sam do sie gada:

— Mnie ta i przez kozuka ciepło. Wypitek se półkwaterek, a ono po syćkik zyłak luktuje. I co ta płaci kozuk. Ide se i smutku na serce nie popuscam. Teli ze mnie chłop! I co mi ta? Kozuk mi nie cudny i przez niego zyw ostane. Mnie go ta nie trza. Ino — baba, baba se sbanuje! Zje ba i prawda, co źle: — ty dla niego pracuj, a on cie włócy. Pockaj ze tera: nie przyniesies ty mi dudków, zedrem ci kapelus, na mój dusiu zedrem! Jakoz to ma być? Po dwie sóstki bedzie oddawał. I co mi ta dwie sóstki płacom? Ino ik przepić. Mówi: bieda. Tobi bieda, a mnie nie? Tyś gazda, izby mas, statek mas, syćko mas — a ja? Hawok cały, z izbom i statkiem. Ty se jis swój chleb, a ja i tego moskalicka musiem kupić. Choćbyś się urwał musis trzy papierki kazdego tyźnia mieć. Przyńde dó domu, hań jus chleba nimas — daj półtora papierka. Musis ty mi moje oddać.

Podchodzi sewc ku kaplicce u zakrętu, požre, cosik sie za samom kaplickom bieleje. Juze prawie sie zmirkało, przyjrzy sie sewc, ale nie moze sie przyznać, coby zaś miało to być. — Skały, myśli se, takiej haw

nie było. Krowa? na krowe sie nie podaje. Z głowy, pedziałbyś człowiek, ale jakiesi bieluckie. I cóz by tu zaś człowiek robił.

Podeseł blizej — całke sie ozwidniło. Ludzie na świecie! juźci człowiek, zywy, cy ta nieboscyk, nagučki siedzi, zatulił sie do kaplicki, ani nie dychnie. Strak sewca obleciał, myśli se: — Cosik chłopca zabiło, do naga zewlekło i hawok prasło. Inobyś podeseł od pertykułu sie nie wykręcis.

Juźci poseł sewc mimo. Zaseł za kaplicke — człowieka nie widać. Ponizy kaplicki obeźre sie, widzi: — człowiek od kaplicki odstąpił, rusa sie, jakby sie przypatrzował. Jesce bardziej zestrasyło sie sewcysko, myśli se: — Podeńść, cy ta pójść mimo? Podeńdzies — co by jako nie było źle, Bóg ze go wie, co on za jeden. Nie za dobre rzeczy to sie hań dostało. Podeńde, a on skocy obces i zadusi. A choć nie zadusi — bede sie śnim wadził? I cóz ty cłeku z takim gołym bees robił? Nie zwleke, przecie, ze siebie do ostatka i nie oddam. Ino, coby Pan Bóg jako zratował.

Poseł sewc warciej. Juze prawie mijał kaplicke i, co sie nie zrobiło, ugryzło go sumienie.

Przystanon sewc na drodze.

— I cóz ty Symonie robis, mówi na sie, człowiek z biedy mre, a tyś sie uląkł i idzies se mimo. Cóżes tak osbogaciał? Bois sie, co cie z bogactwa obedrom? E, Symciu, dy to brzycko!

II.

Podeńdzie Symon ku temu człowiekowi, pilno ozpatruje i widzi: cłek młody, silny, nika nijakik śladów

coby go kto bił, ino widać, co zmarzył i zestrachany; siedzi, przytulił sie, na Symona nie patrzy, ocu podnieść nie moze. Podeseł Symon bliziućko ku niemu i nagle, kieby się obacył ten cłowiek, zwyrtnon głowe, otworzył ocy i poźrał na Symona. Co ino raz poźrał, juz sie Symonowi zwidiał. Juźci, prasnon na ziem kapce, odpasał się, rzucił opasek na kapce, zewlek katane.

— Dość, pada, nimas co gadać! Oblekaj sie a wartko!

Biere go pod łokcie, dźwiga. Zdźwigneno sie ono cłecątko. I Symon widzi, ciało miękuchne, cyste, ręce nogi nika nie okalecone i na twarzy jakisi miłosierny. Narzucił mu Symon katane na plecy — nijak do rękawa trafić nie moze. Wetknon mu Symon ręce, naciagnon, zatulił katane i opaske opasał.

Zdjon se Symon i capcysko potargane, kciał je onemu nagiemu włożyć, ale ziańb go za głowe chycił, juźci myśli se: — Ma on przecie długie, kudłate włosiska, a na moim łbie ino łysina. — Włożył se capke. — Racej mu dam kapce.

Usadził go i obuł w kapce.

Kie juz tak go odział, rzece:

— Nie mas co bracie. Ozginaj sie, a ozegzewaj sie. A hań te sprawy, na ostatku i przez nas osądzom. Cy ta iść mozes?

Stoi ów cłowiek, na Symona miłosiernie poziera, a przegadać słówecka nie zdole.

— I cóżeś taki niemy? Dy tu zimowoł nie bees. Trza brać sie ka do chałupy. Naści, bier mój kólik, podpieraj sie, kieś taki płony. Rus ze sie.

Juźci poseł, lace, nie odstaje.

Idom se drogom i pada mu Symon:

— Cyjżeś ty?

— Ja nie pili.

— Naskik ja przecie znam. Ba skądęś sie hań pod kaplicke dostał?

— Nie mogem pedzieć.

— Pewno cie ludzie skrzywdzili.

— Nie, nik me nie skrzywdził, ino me Bóg pokarał.

— Wiadome rzecy Bóg. Tak, cy siak, jakiegosi końca musis chytać. Kaz ci trza?

— Mnie ta syćko równo.

Zcudował sie Symon. Na gołgosia nie patrzy i gware ma grzecnom, a nic skrony sobi nie ozpowiada. Juźci myśli se Symon: — Abo to jedno na świecie sie zdarzy, i rzece:

— Cóz ty ctece bees robił, wliź jacy do mnie do izby, cobyś sie kielo telo ozegrzał.

Podchodzi Symon ku oborze, ten wędrowny nic nie odstaje, idzie ś nim wraz. Porwie sie wiater, przejeno Symona po pod kosule — okrzeźwiał ze zimna. Idzie, sapie, zatula babi kaftan i myśli se: — Mas ci kozuk! posełek na kozuk, a przez katany wrócem i jesce gołego ze sobom przywiedem. Nie pokwali Hanka! — Kie ino o Hance pomyśli, wnet mu sie cnie. A kie se poźre na tego wędrownego, zbacy se, jako on nań za kaplickom poźrał, jaze serce w nim od radości dygoce.

III.

Posprzątała Symciowa baba wcas. Drew urąbała, wody naniesła, dzieciska nakarmiła, sama pojedła i ozmy-

śluje, kie tez trza kleb zarabiać — dzisiok cy jutro? Kraj dość ta jesce godny ostał.

— Kie, myśli se, Sycmio hań popołedniuje, a na wiecerzom nie moc zji — na jutro chleba dość.

Schowała Hanka chleb, siadła za stół kosule chłopu łątać. Syje, a ozmyśluje o chłopie, jako to on skórki na kozuk kupował bedzie.

— Ino coby go kuśmierz nie ocyganił. Bo Sycmio strasnie dobry. Sam nikogo nie okłamię, a jego najmniejsze dziecisko przewiedzie. Ośm papierków, dy to nie małskie dudki. Moznaby godny kozuk wyzdajać. Choć i nie farbiony — przecie kozuk. Łoni, w zime, dość bieda była przez kozuka. Ani ty do potoka — ani kany. Abo i dziś: poseł we świat, syćko wzion na sie — dy ja nimam całke w co sie oblec. Nie skoro poseł. Miałyby juz przecie być. He! cy ta ka nie wzieno chłopiátko moje hulać?

Lemze se tak pomyślała, zaskrzypiały dźwirze w sieni — cosik idzie. Wetkna Hanka igłę, wyńdzie do sieni. Widzi wesło dwok; Symon i jakisi ś nim chłop, przez capki i w kopcyskach.

Hnetki zacuła Hanka puk z wódki od Sycmia. — He, myśli se, nie inacej, ino się spił! — Kie zaś uwidziała, co on przez katany, w kaftanie, w jednym; nie niesie nic, milcy i hańbi sie, ozełuło sie serce w Hance. — Przepił, myśli se, dudki, stowarzysył sie z jakimś włókom i jesce go se przywiódł.

Puściła ik Hanka przed sobom do izby, sama weńdzie i widzi: niepolec, chłop młody, chudy i katane ik własnóm ma na sobie. Kosuli pod katanom nie wi-dno, — nie rusa sie i ocu nie podnosi. Juźci myśli se Hanka: — Jakisi zły, kie sie boi.

Nadęła się Hanka, odstąpiła ku piecu, poziera, co ci zaś uradzom.

Zdjon Symon capcysko, siad na ławie — grzecnie.
— Cóż, pada, Hanka, daj wiecerzom, cy jako.

Zmyrcała cosik Hanka se pod nosem. Jako stana przy piecu, nie rusa się, ino, to na jednego, to na drugiego poziera, a głowom kiwie. Jużci widzi Symon, co baba jakasi nie swoja, — cóż bedzies robił — udaje, co nic nie miarkuje, biere tego wędrownego za rękę:

— Siadaj, pada, bracie, bedziemy wiecerzać.

Siadł wędrowny na ławie.

— Cóż, cyś ta nie warzyła nic?

Porwie złość Hanke.

— Warzyłak, ba nie dla ciebie! Syckoś przepił i rozumiesz, widzem, przepił. Posełeś na kozuk, a przez katany wrócił i jesse jakiegosi włóke gołego przywiód. Nie mam ja dla was pijaków strawy.

— Dość Hanka, nie miel od rzeczy gębom. Spytaj się wpierw: co zaś za człowiek.

— Gadaj kaś pieniądze podział?

Sięgnon Symon do kaftana, wyjon papierki, ozwinon:

— Naści pieniądze, a Bachlida nie oddał, ino obicowół na jutro.

Jesse bardziej ozezłała się Hanka: kozuka nie kupił, a w ostatniom katane oblók jakiegosi gołego i do się przywiód.

— Nie mam wiecerzy! Syćkik gołyk pijaków nie nakarmis.

— Ej Hanka, 'stul ze gębe. Wpirw weź se do głowy, co ci pedajom.

— Ale! nastucham się ta mądrości od pijanego

durnia! Dobrzek se miarkowała, kiek nie kciała iść za cie, pijaku. Mama dała mi płótno — przepiłeś, posełeś na kozuk — przepiłeś.

Jużci kce Symon babie ozpedzieć, co on ino dwie sóstki przepił, kany tego cłowieka naseł — ale niema ka słówecka wrazić — ozpajedziła sie Hanka tak, co po dwa słowa naraz gada. Od dziesięci roków, co było, syćko mu powycytowała.

Gadała, gadała, na ostatek porwie sie ku Symonowi — łap go za rękaw.

— Dawaj mój kaftan! Jeden ostał i teneś zdarł ze mnie i na sie nawlókł. Dawaj psia kość zatracona, coby cie postrzał ozbił!

Zacon Symon zwlekać kaftan, rękaw sie wywrócił; targnie baba, jaze kaftan na swak trzescy. Chyciła Hanka kaftan, zaruciła se na głowe i łapie sie dźwirzy. Chciała wyńść, ale sie ostanowiła, i ozerwało sie w niej serce: — chciałaby kląć i radaby przegnać, co zaś za cłowiek.

IV.

Stanena Hanka i rzece:

— Kaby był cłowiek dobry, nie byłby goły — dy na nim i kosuli nimas. Kieby z dobrimi rzeczami seł, ozpedziałbyś, kanyś takiego wyhyrnego naseł.

— Jaze ci mówiem: idem, a ono przy kaplicce siedzi, zewlecony do naga, całke domarżł. Dy to nie lato — a on nagi, Pan Jezus me hań przywiód — ska-pało by to chudziątko. Jakoz ma być? Abo to wseli nieco na świecie nie bywa. Wzionek, odział i przywiódek

tutok. Ucis ze złość Hanka. Dy to grzek. Syćkim nam jedna śmierć.

Kciała Hanka kłąć, ale pożrała na wędrownego i zmilcała. Siedzi, nie rusa sie, jako siadł na kraju ławy. Ręce złożył na kolanak, głowe opuścił na piersi, ocu nie otwiera, a wse się krzywi, kieby go cosik dusiło. Zmilcała Hanka, a Symon rzece:

— Hanka, cy ta w tobie Pana Boga nimas?

Usłysała Hanka to słowo, jesce pożrała na wędrownego i popuściła jom złość.

Odesła od dźwirzy, przyńdzie ku piecu, wyjena wiecerzom. Postawiła miske na stole, nalala kwaśnicy, podała ostatniom kromke chleba. Podała nóz i łyżki.

— Jedzciez, cy jako, pada.

Przysunon Symon wędrownego.

— Bier sie, pada, chłopie.

Ukrajął chleba, pokrusył i wzieni wiecerzać. Hanka siadła u kraju stoła, podparła sie na ręce i poziera na tego wędrownego.

I zdjon jom zal i polubiła go. A on hnetki poweselał, przestał sie krzywić, pożrał na Hanke i uśmiechnon sie.

Powiecerzali, baba posprzątała, wziena ozpytować wędrownego:

— Cyjześ ty?

— Ja nie pili.

— Jakoześ sie dostał haniok na droge?

— Nie mogem ozpedzieć.

— Któż cie obdarł?

— Bóg me pokarał.

— I takiś голуćki lezał?

— Takik nagi lezał i marzył. Uwidział me Symon

i zlutował sie, zewlek katane ze siebie i mnie odział i kazał hawok iść. A haw wyście me nazywili, napoili, zlutowali sie nademnom. Odpuści wam grzechy Pan Jezus!

Wstała Hanka, wziena z okna starom kosule Symona, co jom łątała, podała wędrownemu, i portki jesce nastła i dała.

— Naści, rzece, dy ty i kosuli nimas. Oblec ze sie i legnij, ka ci sie widzi, na piecu, cy ta na ławie.

Zdjon wędrowny katane, oblek kosule i łóg na ławie.

Zgasiła Hanka świecke, wziena katane i wlazła ku chłopu.

Przykryła sie Hanka krajem katany, lezy, ale nie śpi, wse ów wędrowny jej na myśli.

Kie se zbacy, co on ostatniom kromke chleba zjadł, kie se zbacy, co mu kosule i portki oddała, jaze jej sie cnie; a kie se zbacy, jako sie on uśmichnon, od radości serce jej skace.

Długo nie spała Hanka i cuje, co Symon nie śpi tez i katane na sie ciągnie.

— Symciu!

— Cóz?

— Ostatniście chleb zjedli, a jak nie zarabiała. Ani nie wiem, jako jutro bedzie. Jacy u kumoski, u Durulki pytała bedem.

— Ino cobyśmy byli zywi — syci ta bedziemy.

Polezała baba na kwile — zmilcała.

— Cłecątko miało by być jakiesi dobre, ino bez cóz nic skrony siebie nie gada?

— Musi nie moze.

— Symciu!

— Cóż?

— My ta dajemy — bez cöz nam nikt nic nie daje?

Nie wiedział Symon, jako rzec. Jużci pada:
— Dość gwarzyć. — Obrócił się i zasnął.

V.

Skoro na raniu zbudził się Symon, dzieciśka śpiom, baba posła do somsiadów upytać mąki, ino ten wędrowny w staryk portkak i kosuli siedzi na ławie, a ku górze poziera. I w oczak jakisi jaśniejsy niżli wcora.

Jużci rzece Symon:

— Jakoz będzie krześnicku: bandzioch się chleba pyta, a i goły chodzić nie bees. Trza się żywić. Jakoz, cy ta zdoles cosik robić?

— Ja ta nicegok nienaucony.

Pocudował się Symon i pada:

— Ino cobyś miał wołom. Syćkiego się ludzięta ucom.

— Jako ludzie pracujom i ja pracował bedem.

— Jakoz cie wołajom?

— Michał.

— No, Michale, nic nie kces skrony siebie ozpedzieć — to twoja rzec, a żyć trza. Bedzies robił, jako ci przykazem — bede cie żywił.

— Bóg ze ci zapłać, bedem się starał ucyć, ino mi ukazcie, co zaś mam robić.

Biere Symon zwijałkę, namotał się na palec i wzion robić koniec.

— Przypatrz ze się — dy to nie Bóg wie jaka mądrość.

Przyzrał sie Michał, namotał takoz na palec, hnetki se pomiarkował i koniec dratwy wyzdajął.

Ukazał mu Symon, jako zapuscać — Michał tez hnetki zmiarkował. Ukazał mu majster jako scecine wkręcić i jako zwijać — a Michał ledwie raz poźrał, syćko se do głowy pozbierał.

Ka jakom robote mu Symon ukaze, syćko od jednego razu se zmiarkuje, i na trzeci dzień wzion tak robić, kieby od wieków ino buty sył. Pracuje, ani sie nie ozgina, je malućko; kie robote skońcy, milcy i wse ku górze poziera. Do pola nie wychodzi, co nie trza nie powie, nie uzartuje, ani sie nie śmieje.

Telo ino widzieli, co sie uśmiechnon pierwszego wieczora, kie mu baba dała wiecerzać.

VI.

Dzień za dniem, tyzeń za tyżniem a ono i rok sie minon. Siedzi Michał, jako siedzał u Symona i pracuje. Juźci ozesa sie pomiędzy światem gwara, co nik tak cystotnie i mocno butów nie usyje, jako Symciów celadnik — Michał. Wzieni ludzie jaze zdalsa do Symona na buty jeździć, podarzyło mu sie, majątek zacon mu sie ozwijać.

Juźci, siedzom se raz w zimie Symon z Michałem i syjom, podjezdza ku chałupie buda na saniak z dzwonke. Wyżreli bez okno, stanena buda proci chałupy, pacholek z kozła zeskocył i dzwirka otworzył. Wyłazi z budy pan we futrze. Wyseł z budy i idzie ku Symciowej chałupie — weseł na ganek. Skocyła Hanka, dźwirze na ościez ozwalia. Zgion sie pan, weseł do izby, wypro-

ścił sie, jlemze głowom powały nie sięgnon, cały kąt sobom zawalił.

Wstał Symon, pokłonił sie i cuduje sie panu. Zje on takik ludzi ani nika nie widział. Sam Symon popłoniaty, Michał chudziątko, a Hanke całke, jako karkoska sucha; — a ten, jak z innego świata człowiek: pycysko cyrwone, kark, kie u niedźwiedzia — ale to chłop, co kiebyś go ze surowiny wylał.

Jużci oddychnon pan, zewlek futro, siad na ławe i rzece:

— Kto haw majster sewiec?

Wyńdzie Symon i pada:

— Ja, Wielkomożny Panie.

Skrzyknon pan na pachółka:

— Jasiiek, dawaj haw skóre!

Przyleciał pachółek, przyniósł węzełek. Biere pan, kładzie na stół.

— Ozwiązuj, pada. Pachółek ozwiązał smatecke.

Pan ukazuje palcem na skóre i pada do Symona:

— Słuchaj ze ty, sewce. Widzis skóre?

— Widzem, pada Symon, Wielkomożny Panie.

— Ino ty se weź do głowy, jaka to skóra.

Pomacał Symon skóre i pada:

— Zje ta skóra bedzie godna.

— Godna! Ty durniu, takiej skóry aniś jesce nie widział. Skóra to je mości panie, miemiecka, pięć dwadzieścia papierków trza za niom.

Zląk sie Symon i rzece:

— Ka ta nam do taki skóry!

— Otóz to. Cy ty se podejmujes z tej skóry usyc buty na mojom noge?

— Zje cemuz, mogem wielkomożny panie.

A pan nań krzycy:

— Ha! juźci mogem! Ty se przódzi pomiarkuj dla kogo i z jakiej skóry mas syć. Usyj mi takie buty, cobyk w nik rok wychadził, coby sie nika nie krzywiły, ani nie pruły. Kie zdoles — bier, kraj skóre, a kie nie zdoles, — ani mi się waz tknąć. Ja ci z góry padam: — Kie mi sie buty skrzywiom abo ozedrom, zakiel rok wyńdzie, ja cie do więzienia zapakujem. Kie zaś bez rok caluški sie nie skrzywiom i nie ozeprujom — dam ci pietnaście papierków za robote.

Zląkł się Symon, ani nie wie, jako rzec. Obeźre się na Michała.

Trącił go łokciem i sepce:

— Brać cy ni?

Kiwnom głowom Michał: bier.

Ustłuchnon Symon, podjon sie takie buty usyć, coby się bez rok nie pruły, ani nie krzywiły.

Krzyknie pan na pachółka, kazał se but z lewej nogi ściągnąć, wyprościł nogę.

— Bier miare!

Zesył Symon papierek na pietnaście cali, wygładził, wyzdajał miarke, klęknnon, ręce o fartuk wytarł cysto, coby pańskiej onycki nie pokalać i wzion brać miarę. Zodmierzował podezew, zodmierzował w narcie, kciał w łydce mirzać. — nie schodzi sie papierek. Nozysko w łydce hrube jak kłat.

— Uwazuj, cobyś cholewy nie zwęził.

Wzion Symon dosywać jesce papierka.

Pan siedzi, rusa palcami w onyccie i lud w izbie ogląda. Uwidział Michała.

— Cóz to za jeden, pada, u ciebie?

— Zje to mój majster, on ta i syć bedzie.

— Uwazuj ze, rzece pan do Michała, zbac se i tak syj, cobyk bez rok nosił. — Obeźre sie i Symon na Michała i widzi, co on na pana ani nie patrzy, ino patrzy w ką, za panem, kieby sie do kogo przypatrzował. Patrzył, patrzył Michał i nagle się uśmiechnon i całke się rozjaśniał.

— Cóz ty, durniu, zęby scyrzys? Racej patrz, cobyś mi na cas nie chybił.

Jużci rzece Michał:

— Bedom akuratnie gotowe, kie ik trza.

— To tez.

Wzuł se pan but, oblek futro, zatulił sie i ruszył sie ku dźwirzom. Ale zabacył se zgiąć sie, uderzył głowom w ocap.

Zaklon pan, potarł głowe, siadł do budy i odjechał.

Pan se pojechał, a Symon pada:

— He! jak krzemień. Tego byś kijaniom nie dobił. Ocap łbem ruszył, a jemu ta nic.

Jużci Hanka rzece:

— Ale! jakizby ten miał być, kie ma zycie dobre. Takiego i śmierć nie śmie wziąć.

VII.

Jużci rzece Symon Michałowi:

— Robote my ta wzieni, ino coby nie było ś niej biedy. Skóra droga, a pan narennny, kaby cosi kansi nie pokłamać. Słuchajze Michał, ocy mas bystrzejse a i w ręcak więcej zdania, bier miare i kraj. Ja za ten cas dosyjem cholewy.

Nie sprociwił sie Michał, wzion skóre, ozpostarł na stole, biere nóz i kraje.

Podesta Hanka, przyjrze sie, jako on kroi i zcu-
dowała się, co on zaś robi. Hanka tez sewskom robote
rozumiała, patrzy i widzi, co Michał kroi skóre nie na
buty, ba na póncochy.

Kciała mu rzec, ale se pomyślała: — Musik nie
zrozumiała, jako to panu buty syć, dy Michał lepiej
wiedział bedzie, nie bedem sie wtrącać.

Skroił Michał pare, wzion dratew i syje, ale nie
jako buty na dwa końce, ba jako póncochy na jeden.

Zcudowała sie Hanka, ale zmilcała, — wse nie kce
sie wtrącać. A Michał wciąż syje. Wzieni połedniować,
wstał Symon, požre, a tu z pańskiej skóry póncochy
gotowe.

Jajknon Symon. — Cóz sie to stało, myśli se, Mi-
chał bez rok cały sył i nie okłamał sie nika, a dzisiaj
telij biedy narobił. Pan kazał buty z cholewami i wy-
pustem syć, a on póncochy przez nijakik podezew usył
i skóre skwasił. Jakoz ja teraz robił bedem? Dy takiej
skóry nika nie najdzies. I pada Michałowi:

— Coześ chłopie zónacył? Zabiłeś me cysto, piknie!
Dy pan kazował se buty syć, a tyś co zrobił?

Lemze wzion Michałowi wycytować, zazbyrcala za-
wora, cosik do dźwirzy burzy. Wyźrom bez okno — co-
sik konno przyjechało — konia wiąże. Ozwarli dźwirze —
wchodzi to samo pacholęcisko od pana.

— Witajcie!

— Witajcie. Cóz powiecie?

— Pani przysłała skrony butów.

— Cóz, skrony butów?

— Zje ka tam buty! Butów juz nie trza. Pan
juz tam.

— Ludzie na świecie!

— Od was dó domu nie dojechał, tak w budzie i zmarł. Podjechała buda pod ganek, wyńdom go wysadzać, a on, jak wykrot się zwałił i całke stęzał — leży martwy. Przez siłę go z wozu dobyli. Jużci pani posłała i pada: — powiedz ze sewcu, co pan był u nik i skóre ostawił był, nie trza, pada, butów, ino, jacy, niek póncochy dla nieboscyka pilno usyjom. Pockaj, pada, zakiel usyjom i cobyś ze sobom je przywiózł. Jużcik przyjechał.

Wzion Michał ze stołu restki skóry, zwinon, wzion i póncochy gotowe, strzepnon jedno o drugie, fartukem otał i podał pachołkowi. Wzieno pachołcysko póncochy.

— Ostońcie z Boge, gazdowie.

VIII.

Przesel jesce rok i drugi, siedzi Michał u Symona juz seć roków. Zyje, jako zył. Nika nie chodzi, co nie trza nie powie i bez cały ten cas ino dwa razy sie uśmiechnon: raz, kie mu baba dała wiececzać, a drugi raz skrony pana. Nie moze sie Symon dość naciesyc swoim celadnikiem. Ani go wiecej nie pyta, skąd on sie wzion, ino sie boi, coby go Michał nie odbióg.

Raz, siedzom se doma. Gazdzina garnki do pieca stawia, dzieciska po ławak hipcom, bez okno pogłądajom. Symon u jednego okna brusi, Michał u drugiego napiętek przybija.

Podbiegło chłopcysko do Michała, opre sie na plecy i patrzy bez okno.

— Ujku, patrzcie, miescka z dwoma dziewczyskami, jacy do nas idzie i jedno dziewczysko kulawe.

Lenze to rzekło chłopcysko, Michał prason robote, obrócił sie do okna i patrzy na droge.

Zcudował się Symon. Nikany przecie Michał na pole nie wyzierał, a teraz ciśnie sie do okna i na cosi patrzy. Wyżre i Symon bez okno: patrzy, rzetelnie, idzie kobieta na jego obore, odziata cystotnie i wiedzie za rącki dwoje dziewcząt w kozuskach i chusteckach tybetowych. Dziewęciska podane na sie tak, co ani ik odróżnić nie mozna. Ino u jednej lewa nózka zepsowana — idzie a przypada.

Wesła kobieta na ganek, do sieni, namacała dźwirze, pociągnena zawore — otworzyła. Puściła przodke dziewczęta i wesła do izby.

— Witajcie gazdowie!

— Dziękujem piknie, witajcie. Co wam trza.

— Skrony trzewicków. Coby na wiesne skórzane trzewicki dla dziewcząt usyć.

— Zje cemus, usyć mozna. My ta takik malučkik nikany nie sywali — ale się syćko da zrobić. Mozna i takie na rant i takie na płótnie, jako kcecie. Haw je Michał, on ta u mnie za majstra.

Obeżre się Symon na Michała i widzi: Michał robote zucił, siedzi, ocu z dziewcząt nie spusca.

Zcudował sie Symon. Prawda, dziewczęta pikne, ocy carne, same tłuste, rumienne i kozuski i chuścięta na nik pikne, zje cóz z tego, wse nie wyrozumie Symon, bez co Michał tak sie przypatruje, kieby je znał.

Pocudował sie Symon i wzion s kobietom ukwalować — godzić się. Ugodził sie i miarke wyzdajał. Wziena kobieta na kolano te kulawom i rzece:

— Weźcie z tej dwie miarki — na krzywom nózke

usyjcie jeden trzewicek, a na zdrowom trzy. Nózki ik jednake, jedna w drugom. Dy to bliźniątka.

Wzion Symon miare i pyta skrony kulawej:

— Jakoz, co sie to ś niom stało. Dziewce telo pikne. Cy to tak od urodzenia?

— Ni, matka przydawiła.

Wtrąciła sie Hanka, kciałaby przeznać, co zaś za kobieta i cyje dzieci, jużci rzece:

— Jakoz, alboście wy nie ik własna matka?

— Ja, ani ik matka, ani nie rodzina, gazdzinko, całke nie pile — chowanice.

— Nie wase dzieciska, a teloście lutościwi dla nik.

— Jakoz byk sie ik nie lutowała, ja je obie własnom piersiom wykarmiła. Było własne dziecko, ale Bóg wzion, nie było mi telo zal, jakoby mi ik było luto.

— Zje cyjes ta one?

IX.

Ozgadała sie kobieta i wziena ospowiadać.

— Bedzie seć roków, kie odumarli rodzice tyk sierotek: ojca pochowali tak, jak we wtorek, a matce zmarło sie w piątek. Ostaly sie sieroty od trzok dni po ojcu, a matcątko ani dnia nie przeżyło. My z chłope wte we wsi siedzieli. Zje ba i somsiedzi byli ś nimi — chałupa o chałupe. Ten ik ojciec, takie to było płone, opuscone chłopiątko i w lesie robił. Jużci zwaliło się drzewo i w poły go przygnietło i het do nuka syćko zeń wydusiło. Lemze go przywieźli, hnet panu Bogu duse oddał, a ta jego baba w tym tez tyźniu wziena i urodziła dwoje — same te dziewczęciska. Biedne to, opu-

scone — baba była sama, — ani babki, ani dziewczyska. Jako rodziła sama — tako sama umarła.

Przysłał ja na raniu zażreć do niej — wejdem do izby, a ona, chudziątko, juz zastygła. I jako konała, zawała się na dziewczysko, na samo to i nóżke wykręciła. Zebrał się naród, — umyli, przyodziali, truchłe wydajali i pogrzebli. Syćko ta przecie ludzie dobrzy. Ostały się te dziewczątka same. Co ś nimi robić? A ja, pomiędzy babami jedna byłak z dzieckiem. Pierse chłopcy od ośmi tyżni karmiłak. Juźci wzienak je do sobi, jacy na kwile. Zebrale się chłopci, ozmyślowali, ozmyślowali, co ś nimi pocąć, i pedajom mi: — Wy, Maryna, weźcie te dziewczęciska, pókico, do sobi, a my ta, za jakiś cas, cosik o nik uradzimy. A ja, razek pokarmiła piersiom te zdrowom, a te ozgniecionom anik nie karmiła. Nie spodziałak sie, coby ona wyżyła. Ale, na ostatek, myślem se: bez cóz ty jamielska duso, bees tak mdleć — luto mi było i tej. Wzienak karmić, to jednego swego, to tyk dwoje — trojek piersiom wykarmiła. Młoda byłak, siła była we mnie, a i stawek miała dobrom. Mleka tez w piersiak Bóg nagodził telo, co te dzieciska jaz sie zalewały. Dwoje karmiem, a trzecie ceka. Odpadnie jedno — bierem trzecie. I pan Bóg tak zrobił, cok tyk niepilik wykarmiła, a swoje pochowała na drugi rok. I więcej Bóg dzieci nie dał. A majątek wzion sie ozwijać. Zje teraz haw u młynarza siedzimy, płaca wielga, zycie dobre. A dzieci nimas. Jakoz by ja tak sama żyła, kaby nie te dziewczęciska. Jakoz ik nie mam lubić. Telo mojej radości, co od nik.

Przytuliła do siebie kobieta dziewczynke kulawom jednom rękom, a drugom wziena łzy z twarzy ocierać.

Westchnena Hanka i rzece:

— Widmo przymowa nie kłamie: przez Ojca, przez Matki wyzyjes, a przez pana Boga nie wyzyjes.

Gwarzom tak oni pomiędzy sobom i nagle z kąta, ka siedział Michał, kieby zorza zaświeciła. Obeźrom sie i widzom siedzi Michał, ręce złożył na kolanak, do wirchu patrzy, usmiecha sie.

X.

Posła se kobieta z dziewczętami, wstał i Michał z ławy, położył robote, odpasał fartuk, pokłonił sie gazdowi i gaździnie i rzece:

— Przebaccie gazdowie, mnie Bóg przebacył, przebacciez i wy.

I widzom, co od Michała zenie jasność.

I wstał Symon, pokłonił sie Michałowi i pada mu:

— Widzem Michale, coś ty nie prosty cłowiek i nie mogem cie zatrzymować. Ino mi powiedz jedno: bez co, kiek cie naseł i przywiód do chałupy, tyś był pochurniawy i, kie baba podała ci wiecerzom, tyś sie do niej uśmiechnon i od tej pory pojaśniałeś. Pote, kie pan przyjechał zamawiać buty, tyś sie uśmiechnon drugi raz i od tej pory jesseś bardziej poświetlał. A teraz, kie kobieta przywiedła dziewczęciska uśmiechnoneś sie trzeci raz i całkeś oześwietlił sie. Powiedz mi Michale, bez co tela światłość od ciebie zenie i bez coś do trzok razy sie uśmiechnon.

I rzekł Michał:

— Bez to światłość odemnie idzie, cøk był pokarany, a teraz Bóg mi odpuścił. A uśmiechnonek sie trzy razy bez to, co trza mi było wyznać trzy słowa

Boskie. I przeznalek słowa Boze: jedno, kie twoja zona zlutowała sie nademnom i bez to uśmiechnonek sie wte po raz pierwszy. Drugie słowo przeznalek, kie bogac buty zamawiał, i drugi raz sie uśmiechnonek, a teraz, kie uwidziałek dziewcęta, przeznalek ostatnie, trzecie słowo i uśmiechnonek sie po raz trzeci.

I rzece Symon:

— Powiedz ze mnie Michale, za co cie Bóg pokarał i jakie som te Boskie słowa, cobyk ja tez ik wiedział.

I powiedział Michał:

— Pokarał me Bóg za to, cok go nie usłuchnon. Byłek jamiołem w niebie i Bogak nie usłuchnon.

Byłek jamiołem w niebie i posłał me Pan, wyjąć duse z kobiety. Zleciałek na ziem, widzem: lezy kobieta sama, chora, urodziła bliźnięta — dwoje dziewcąt. Rusajom sie dziewecki przy matce, a nie moze ik matka ku piersiom podnieść. Uwidziała me matka, zrozumiała, co Bóg me po duse jej posłał, załkała i rzece: — Jamiele Boski! Męza mego lemze pochowali, drzewo w lesie zabiło. Nie mam ani siostry, ani ciotki, ani babki, nie mas kto sierotami memi opiekunować. Nie bier mojej dusycki, podzwól mi samej dzieciska napoić, nakarmić, na nogi postawić. Nie zdolom dzieci przez ojca, przez matki wyżyć. I usłuchnonek matki, przyłożyłek jedno dziewce do piersi, podałek drugie do rąk matce i uniosłęk się w niebo, ku Panu; przyleciałek do Pana i rzekem: — Nie mógek wyjąć dusy z rodzącej. Ojca drzewo zabiło, matka urodziła dwoje i pyta, coby ś niej dusy nie zabierać, mówi: — Podzwól mnie dzieciska napoić, nakarmić, na nogi postawić. Przez ojca, przez matki nie zdolom dzieci wyżyć. — Nie wyjanek z rodzącej dusy.

I rzece Pan: — Póđź, wyń z rodzącej duse i przeznas trzy słowa: przeznas, co je jest w ludziak, i cego ludziom nie dano, i cem ludzie zyjom. Kie przeznas, wróćis do nieba. Zleciałek dołu, na ziem, i wyjonek z rodzącej duse.

Odpadły niemowlęta od piersi. Zawaliło sie na łózkcu martwe ciało, przydusiło jedno dziewce — zwichneno jej nózke. Uniosłek sie ponad wieś, kciałek odnieść duse Bogu, porwał me wiater, zwisty skrzydła moje, odpadły i pośła sama dusa ku Bogu, a jak upadł przy drodze na ziem.

XI.

I przeznali Symon z Hankom, kogo odzieli i na karmili, i kto ś nimi mieskał, i zapłakali od strachu i od radości.

I rzece jamiol:

— Ostałek sie sam, w polu, nagi. Nie znałek wpierw biedy ludzkiej, nie znałek ani chłodu, ani głodu, i stałek sie człowiekiem. Uwidziałek w polu kaplice dla Boga wyzdajanom, podesełek ku Boskiej kaplicy, kciałek sie w niej ukryć. Kaplica była zawarta na zamek i nie mozna było weńść do niej. Usiadłek za kaplicom, coby sie od wiatru zatulić. Przyseł wiecór, przegłodniałek, zgliwiałek i całkemek był obolały. Nagle słysem: idzie człowiek, niesie buty i sam ze sobom gada. I uwidiałek śmiertelne lico ludzkie pierwszy raz, kiejek cłkiem ostał i strasne mi sie wydało to ludzkie lico, odwróćitek się odeń. I słysem, co gada ze sobom ów człowiek: jako ciało swoje od mrozu w zime przykryć i jako wyzywić

zone i dzieci. I pomyślałek: ja ginem z głodu i chłodu, a hań idzie człowiek i ino myśli, jako siebie z zonom kozukem okryć i chlebem nazywić. Nie pomoze mi on. Uwidział me człowiek, nachmurzył sie, jesce sie stał straszniejszy i przeseł mimo. I wziena me rozpac. Nagle, słysem, wraca sie człowiek. Pożrałek i nie mógek doń sie przyznać. Przędzi w jego licu była śmierć, a teraz stał sie żywy i w licu jego poznałek Boga. Podeseł człowiek ku mnie, przyodział i wzion ze sobom i powiód ku sobi, dó domu. Przysełek do jego domu i wysła na proci nas kobieta i wziena mówić. Kobieta była jesce straszniejsza, — martwy puk seł jej z gęby i nie mógek ani oddychnąć od smrodu śmierci. Kciała me wygnać na mróz, i wiedziałek co zemre ona, jeśli me wygna. I nagle mąż jej wspomniał o Bogu i kobieta nagle sie odmieniła. I kie podała nam wiecerzom, a sama patrzała na mnie i ja pożrałek na niom — nie było juz w niej śmierci i poznałek w niej Boga.

I zbacyłek se pierwse słowo Boze: — Przeznas, co je jest w ludziak. I przeznałek, co w ludziak jest je miłość. I uciesyłek sie, co Bóg zacon przedemnom odkrywać, co obiecował i uśmiechnonek sie pierwszy raz. Ale syckiego nie mógek jesce przeznać. Nie mógek przeznać, cego ludziom nie dano i cem ludzie zyjom.

Ostałek u was i kie przezyłek rok, przyjechał człowiek zamawiać buty takie, coby się bez rok nosily i ani nie pruły sie, ani nie krzywiły. Spojrzałek na niego i nagle za jego plecami użrałek towarzysza mego, jamiola śmierci. Nik go, próc mnie nie widział, alek ja go znał i wiedziałek, co zakiel słońce zajdzie, bedzie wzięta dusa bogaca. I pomyślałek: — sykuje se cłek na rok, a nie

wie, co do wiecora nie dozyje. I zbaczył se drugie słowo Boskie: Przeznas, cego ludziom nie dano.

Co je jest w ludziak, juzek wiedział. Teraz przeznatek, cego ludziom nie dano. Nie dano ludziom wiedzieć, cego im, dla ik ciała trza. I uśmiechnonek sie po raz drugi. Uradowatek sie, cok uwidział jamiola towarzysza mego, i temu, co Bóg mnie drugie słowo odkrył.

Ale nie syćko mógek pojąc. Nie mógek jesce przeznąć: cem ludzie zyjom. Zyłek, a wse cekatek, kie Bóg odkryje mnie ostatnie słowo. I w sóstym roku przysły dziewcęta, bliźnięta i przyznatek sie do nik i dowiedziatek sie, jako one wyzyły. Dowiedziatek sie i pomyslatek: — Pytała matka za dziećmi i uwierzytek matce, myslatek, co przez ojca, przez matki nie mogom dzieci wyzyć, a niepila kobieta wykarmiła je i wychowała. I kie rozculiła się kobieta dla cudzyk dzieci i zapłakała, uwidziatek w niej Boga zywego i przeznatek, cem ludzie zyjom. I przeznatek, co Bóg mnie odkrył trzecie słowo i przebacył mnie, i uśmiechnonek sie trzeci raz.

XII.

I obnazyło sie ciało jamiola i oblek sie on cały światłem, telo, co joce ocy nie mogły nań patrzeć i pocał on mówić głośniej, jakby nie ś niego, ale ś nieba seł głos jego. I rzekł jamiol:

Przeznatek, co kazdy człowiek zyje nie tem, co sie o siebie stara, ino miłościom. Nie dano było matce wiedzieć, cego dzieciom jej trza dla zycia. Nie dano było bogacowi wiedzieć, co potrzebno dla niego samego. I nie dano jest wiedzieć nijakiemu człowiekowi — cy

buty dla żywego, cy pónicochy dla niego samego martwego, ku wieczorowi bedom potrzebne.

Ostałek sie żyw, kiejek był człowiekiem, nie bez to, cok o siebie sie starał, ba bez to, co miłość była w przechodzącym mimo człowieku i w zonie jego, i oni sie zlutowali i polubili mnie. Ostały żywe sieroty, nie bez to, co o ik zyciu radzili, ba bez to, co miłość była w sercu niepiley kobiety i ona zlutowała sie i polubiła je. I syčka ludzie zyjom nie bez to, co sie o sobi starajom, ba bez to, co w ludziak jest miłość.

Wiedziałek przódzi, co Bóg dał zycie ludziom i kce, coby oni zyli, teraz przeznałek jesce co innego.

Przeznałek, co Bóg nie kciał, coby ludzie zyli osobliwie i bez to nie odkrył im, cego trza kazdemu osobno, bo kciał, coby oni zyli syčka wraz i bez to odkrył im, co im trza dla syčkik razem.

Przeznałek, co ludziom ino sie tak zdaje, co zyjom staraniem około siebie, a zyjom oni ino miłościom. Kto w miłości ten w Bogu i Bóg w nim, bo Bóg jest miłość.

I zaśpiewał jamioł chwale Bozom i od głosu jego zatrzęsa sie izba. I ozwarła sie powała i dźwignon się słup ognisty od ziemi do nieba. I rozwinęły się skrzydła za plecami jamioła i uniósł sie on ku niebu.

I kie sie obacył Symon, izba stała, jako wpierw stała i w izbie opróc swoik nikogo nie było.

1892—1907.

III.

OPOWIADANIE SABAŁY.

OPOWIADANIE SABAŁY.

— Witajcie Ojczyku.

— Dzień dobry, cy som zdrowi Ik miłość?

— Dziękuję, jeszcze się trzymię.

— Fałaz Bogu. A ja prosem ik piknie, takek przychorował, co źle się widziało se mnom. Jak juz psota, zawierucha, to ten gościec nie dobrze robi. Wlazła kolka za łopatke i w jednym noge — alek nic nie robił: — kędyś wlazła, to se idź! — Z tego coś tak chyciło, co widziało się nie porada na świat wrócić. Ino zamgleć i zamgleć. I, dobrze nie bardzo, przysłali państwo dóchtora. Juźci przyseł, uburzył po grzybiecie, uburzył jak zółna po zgnitym pniaku, i wzion jakomsi trombecke i słucał, cy ta owce ka we mnie nie becom. Mocny Boze! Dopiero przyńdzie Ślimak, dobił me bańkami, jak luptowski pas guzikami, umaścił okowitom — ale i z tego nic. Toz to wziena me drzeć krzypota, dodarła me godnie, wypucowało tutok, het! po pod pluca, cok ani smarowacki nie seł pytać, cysto, piknie me popuściło, cok teraz taki zdrów, jak piniądz.

Cłowiek musi wiedzieć, jak ma się ratować. Każda rzecz ma swojom siłę: marny kwiatek ma swoje nazwisko i swój dowód, a i dźwirz ma przecie rozum. Cłowiecy rozum ma, to jesce cłowieka na rozum przebiere — hej!

— A gościec, czy niedźwiedź ma?

— Cłowiecego stanu jest, to musi mieć. Kie je we psie jest, jakozby w niedźwiedziu nie miał być. Ale On sie lecyć wiel Kie niedźwiedź wstanie z dziury, to takie robaki je, a i do wody idzie i glon je, płuce sie, pote idzie na gorycke, ka gorycka przy kosodrzewinie — tozto pasie sie. Tak przegorzknie, co bieda co ś niego na wiesne flaków zjeść, — cheba w jesieni, to sam dobre. Raz my dwok ubili, to jeden takie żółciska miał jak dwie pięści. Ale On zna dóchtorskie rzeczy — medycyny.

Do sytkiego trzeba zdania. I do medycyny, i do wojny, i do polowania — a i ciekawości. Nimas to teraz takik ludzi ciekawy, jako my bywali drzewi. Mnie nie ciężko było do dnia doline oblecieć; cy haw co ciekawego nimas. Nie było juz tak ciekawego na wilka, na niedźwiedzia, — a i miał sprzęt do tego. Alek zrazu więcej wypsuł, wygnoił, niżli do uzytku przyniósł. Nie tak strzelać, jak nabijać nie umiał — hej!

Flinta kce być cysta. Niek po wirchu bedzie brzyćka, ale w nukak trza jom mieć cystotnie, — a i ogień, coby nie zdradził. Bo i od proku tak robi: — strzela się, strzela, to tam robi takom przyware i ogień sie proku nie chyci. Kie zaś na krzemień, to jak juz odchyliła osełke i skra siadła — dobrze, ale trza było prok zawilgły poruszyć, coby nie był zbarylony.

Nabij godnie, zamierzaj dobrze, strzel pewno! A jak strzelas daleko, albo płono nabijes — z tego nic! Po

jeden nabije tak, co albo ołowu przyłoży, albo proku chybi. Tak da proku mało, a ołowu moc — przebiere ciężarem — no, to źle! Ołowem nie trza przebierać. Prokem jak strzelec kłamie, to sie okłamie sam, bo to mu ino przylepi do dźwirza, a do nuka nie pójdzie. Dopiero, co flinta proku przyjena garzc, a i kulami dwoma strzelił na sto kroków, nie osfyrkły sie telo, jak dłoń — no to juz go mas!

Ni mas nad kule do niedźwiedzia! O, kuli usłuchnie! Cheba, co nizej pod kumore sie strzeli, to dziewięć dni bedzie żył, pokiel flasycka nie zgnijom. I broki przebijom, ale trzeba uwazać, kie pokrocy, uchyli łopatke — wtedy łupnąć. A to hrube, mocniejszego miesa, to juz trzeba tęgo strzelać — hej! Niedźwiedź ma kudły, to jak słabe nabicie, to się w kudły owinie i on od tego nie zdeknie, zarośnie piknie; który zaś w jesieni thusty je, to sadłem rane zawłócy.

I dobrze, kie juz wies nabić, cobyś wiedział jak strzelić. Z grzybietu, ze zadku, a i na gardło nie pewne strzelenie, — z przodku, z piersi samoto, to ino tak lotki uwieznom, jak w błocie. W głowe, tutok to się ospłascy kula, — ale haw, między ocy, to som takie dziury, sionki, to i lotek, kieby trafił, to do mózgu doleci.

A, i strzelec musi być serca zatwardzialszego, coby się nie bał — hej! Strzelec nie ma co sie go bać przed strzeleniem. Po jeden strzelec z radości, a po jeden ze strachu drgnie — takiemu nimas co wierzyc. Ale nimas strzelca, jako taki, co w sercu nie zedrzy.

Ale, to drzewi o sprzęt było twardo, nie było flinty, ino na krzemień. Skoro potem kapśliki nastaly, to juz to rzezało, jak brzytwy. Toz to z Polski, od księdzów przynosili, — ale wiedziątek o flincie w Chocho-

łowie, co i kulom rzezała — a i dwoma, a drugom znał u kapitana w Dzianisu, to i ta dobrze kulki nosiła. Przywiózł potem za półtorasta rymkik z Wiednia Homolac pierwszy, — he! to była drutówka dobra. A i na krze-mień dubeltówki dwie grzecne miał.

Było mi trzy dwadzieścia roków, kie kapślówke kupił, — ale to było twarde, to mało co chybił, to alboś przybocył, albo unizył. Spusty majom być lekkie w takik sprzętak, co sie strzela, — jak juz ma twardy spust, to musi unizyc — hej!

Było to tego pirwej, co było do cego strzelać. Do-piero pani z Orawy i gróf taki z Kębina odkazowali, coby Krzeptowscy nie bili, jużci Homolace pytali, coby ik nie despetować. I dobrze, zamnożyły sie koło Koście-lisk, a i dolinom sły, jak woda, bo to nie obitelne. Do-pi-ro sam ten gróf pismo posłał, coby Sabała strze-lał, — wzieni my krzesać, hnet wykrzesali!

Orawskik naucyli my stawy stawiać, — cy przyń-dzie z Luptowa, cy od nas, od polskiej strony, — bo to sędy ma swoje przechody. A Luptowscy zelaza stawia-jom — oklepce. Nie słysałek, coby Luptacy moc za-strzelili — ino do oklepca łapiom. Ale my — my bili!

Raz, co sie nie zrobiło, nalazł hutman orawski, ka do dziury na gniazdo naniósł cetyty. Ale sie bali oraw-scy strzelcy i odkazali po nas — babami odkazali, coby przyńść. Jużci, myslę se: — baby jako baby, babie plotki! — Dyc kie go hań mas, to bij sam! Dobrze nie bardzo, pošli cosi pięć dwadzieścia strzelców. A tam dziura była do skale, jak pod ten stół, — nie trza było i strzelać, mógł siekierom w kark zaciąć — zabiłby. Wzieli dwa psy owcarskie, idom pod te skale, — a ten se lezy w tej dziurze — ale nie śpi, bo On nie śpi.

Świstaki po Michale, kijek znalazł śpiące, tok go prasnon kielo dole mógek — nie obudził sie, — ale On nie śpi.

Jużci psy przyńdom do tej dziury: — Au! au! — a niedźwiedź, z nuka: — He! he! — idzie... pociskali flinty — hybaj! ka ftóry móg: — Niek cie sto bohów zabije, odebrałbyś mnie żywo życie!

Dopiero ja tam ide, było trzy tyżnie przed ostatkami, w miesopusty, — idem i widzem, cosik sło. I, cózby zaś miało być? Cłek nie cłek, — łapy duze, łamał ten śreń, — bo to na śniegu, — ale taka zima była, co desce lały, to takie śrenie urobiło, co bieda było przebić.

A to On był, — juz był wygnany, juz przesel bez trzy doliny. I haniok, na jednej skale woły legały, on sie tam pasał i legał. Miał gniazdo, ale łośskie, pod wolarniom i zawse słysał, cy ka ludzie drogom nie idom, — a i cuł, bo On cuje bardzo. Bez ocy mógłbyś go kijem zabić, — ale kie zacuje, kipnie!

Zdaleka trza go obeńść, bo jakby wlażł na ten ślak, coś go obchodził, to On juz wie, co go strzelec obeseł. Jużci obeńde go zdaleka — nie wyseł. — Tu ześ! Cóz ja ci tu bedem robił? — Bo to było wielgie, — obidwoma nogami byś stąpił do jego jednej! I, dobrze nie bardzo, obślakował go, przylecem po Jędrusia, po brata. Radzimy. My by go tam zabili choj który sam, na lezysku — coby kciał cekać. Ale, cóz sami dwa bedziemy robić? Kieby nas było choć śtyrok — hej! Skoda takiego dźwirza wypuścić, bo to jest wielgie, brzyćkie. Jużci uradzili po Siecke, po Maćka, wiedzom — zje ba jesce żywy — i po Samka posłać. Poleciał Jędredek, ja zaś ostał tamok w kolibie, przy węglarzak, — sędy mi nocnik grzeczny, — strzelec pierzyny nie nosi,

bo haw som gotowe, — jedne gałęzie se upościelam, drugimi się okryjem — i ciepło!

Przyleci Jędrus, — nie było ik doma, byli w Ma-górze, na bani, — pódź Jędrus za nimi. I, dobrze, zabrali sie ci, lecom na mroku i zajdź do karcymy, — a Homolac Edward prawiutko z Rąbki, z polowania przy-jechał i wlaźł ku nim.

— A co wy tu robicie?

— Tak i tak, Jasiek obślakował niedźwiedzia. He! zabrali sie panowie wartko, — choć i ćma była. Strzelcy lecieli na nogak, a pani chyba na wozie, zaś Mali sankami.

Dobrze nie bardzo, lezem hań w kolibie, przyleci Symcio Tatar: — Bywaj! przyjechali panowie! Dopiero wyjrzem: panowie haw! Ka jaki sprzęt mieli: — flinty, stućce, rewulwerty zabrali.

Juźci Edward Homolac rzece: — Powiedz mi Krze-ptowski, cy ten niedźwiedź jest?

— Jest je!

— A powiedz mi otwarcie, cobyś robił, kieby na cie przyseł?

— Przepraszam wielkomożnego pana, juz jak my dwa sie zeńdziemy, to albo ty mój — albo ja twój. — Takek mu pedział, — i takek mu wykonał.

Poślimy. Było nas sesnastu: Homolac, Mali, Sym-cio Tatar, Samek, Jędrus brat, Wawrzek Nędza, Maciek Siecka, Wojtek brat, nie wiem, cy go znali, co miał Gackule, Śleboda horar orawski, — i, dobrze nie zba-cem którzy ta jesce chłopi mieli być.

Ale, dobrze nie bardzo, podeśli my do doliny, a ten Śleboda poseł wyzej, a rąbał wykrota, ogień kładł, bo sie bał, coby na niego nie przyseł.

Ja wypatrzył z doliny takom przełęczce: — Musis

haw przyńść! Była pyrzść, ale taka między skale, i za-
rońniona skorusynom, smreckami, posprzywalana wan-
tami. Stanonek pod takim gałęzistym smrekiem — cekam.

Miał Jędrus psa, puścili — sceka, sceka, — ale
jednym razem ustał, ani telo nie skwicał, jak mys, bo
byk go słysał. I co sie stało? — A ten niedźwiedz tak
zrobił: kłapnon łapom w grzybiet i bechnon pieska
z turnie.

I dobrze, na kwile sie ucisyło — cekam. Aze do-
piero słysem, we wirchu kłoda hruba strzescała, — bo
to jest dźwirz ciężki. Stoje pod tym smrekiem i... trzask
druga. — Juześ ty! — Wnet patrzem, a tu skorusy,
smrceki rozchylajom sie, co jakbyś jedle puścić — idzie! —
No pódź! — Idzie prosto, — tu była wolarnia, ale on
nie seł ku niej, bo była huściawa — wzion sie po pod
nie. Casem widzem: tu usy, tu grzybiet, grzywa wielga...
Jak juz widzem na tej pyrzci, trzymam flinty przy py-
sku, — dopiro wytknon łeb, przysły przednie nogi, —
toz to łupnon pod łopatke, — alek wtencas strzelił wy-
rażnie! Nie becał nic, za to co bez same pluca mu kulki
przesły i zalało mu gardło krwiom. — Jednegok tak
trafił, co mu te zyły od serca odciął, to jako stał —
padł, ani wieprzek tak od noza pilno nie zdeknie, jako
O n. Cheba jak sie nie trafi, to jedzie w las becący.

Jużci padł! Juz widzem syćkie śtyry nogi wycią-
gnon. — Lezy na kwile ciutko... Aze pote dźwiga głowe,
dźwiga... Razem stał na przednie nogi i patrzy w to
miejsce, skąd strzelony. Ja sie łapiem gałęzi — hybaj!
na smreka. Po strzeleniu trza strasnie warować niedźwie-
dzia. Jak juz poraniony godnie — hipnie obces. O n nie
lubi, cobyś mu koło nosa klół — hej!

I, dobrze nie bardzo, jako stał na przednie nogi,

napirow słuca... ozmyśluje... Na ostatek sie obacył, zrozumiał, co jest dziubniony, jak wzion pyske prać po tyk ranak, gryźł, kopyrtał sie, aze poleciał skorusy targający. Ja za nim: — peu! w grzybiet! I prawiutko naseł takiego wykrota, leg se piknie, przednie łapy ułożył i głowe na nik jak do spania, — i widziało sie co zdek.

Przyńdzie Wawrzek Nędza i kciał ku niemu hi-pnąć. — Stój! — rzeke. — Strzelem mu po usak, to przecie pomyśli, co osy furkajom, to sie strząśnie, a nie strząśnie, to pójdzies, bo kie jest postrzelony, to waruj! — Nabitek biegunek seść — strzeliłek — ale ani drgnon. To był wielgi dźwirz. Dwanaście piędzi miał z pomiędzy usy do ogona. Stare to było, ale on rejestru nie nosi, cy mu ta pięć, cy seść roków — hej!

Dobrze nie bardzo, — przyleci taki Jasiek z Pa-jąkówki: — Wiecie, co pedział Śleboda, orawski leśnicy? Co go nie wyda, pokiel pismo od panów z Orawy nie przyńdzie. — Juźci rzeke: — Bede ja ci tu pisma cekał! Cemużeś go nie bił sam, kie je twój? Trzysta dyabłów zjadłeś!

Zleciałek ku panom i powiedział, — panowie pojechali, a od drugiej strony zašli. Juźci, pedzieli my Ślebodzie, co Józek trzy razy strzelił, ale chybił i On poseł na polskom strone.

Dopiro wzieli my tego niedźwiedzia i ciągli na wirch ku granicy, — a to było przykro, do wirchu. Juźci wciągli na turnice: — Tu mu będziemy śpiewać! Skrzy-celi my jednym głosem i strzelili sytka wraz. I były haniok takie rzeźnie, kany drzewo spuscali, ja puścił tego niedźwiedzia — jedzie! Siadek na toporzysko, jadę za nim, aze śnieg sie kurzy. Zjechali my dołu, konie uwidziały hnet się osfyrkły ka w jakim strone.

Tak my polowowali — hej!

Drzewi, kieś poseł na sarny — niedźwiedź tu! Bo to tego było moc, — ale to strzelcy stępiłi. Wawrzek Nędza, Samek, Myśliwiec i inni. Strzelcy duzo broniom od niedźwiedzia, od wilka, od złodziei, — a i zbójniki sie bojom strzelca — bo to chłop! Dziękuje Ci tez Boze, coś me nie stworzył popem — ba chłopem.

Mnie sie jesce prosem Ik miłości, strasnie śnijom wirchy.

1894 r.

IV.

OCIEC NĘDZA.

OCIEC NĘDZA.

Od czasu, kiedy lud przestał być, dla reszty społeczeństwa, stadem szarych wróbli, w którym nie rozpoznawano: kto Maciek — kto Wojtek i brano chłop a tylko jako rodzaj, jako tłum, nie przypuszczając nawet tego bogactwa indywidualności charakterów, które w nim dziś widzimy, znaczenie ludu w literaturze i sztuce wzrasta z każdą chwilą. Po za badaniami etnograficznymi, chłop wchodzi do powieści i poezyi, jako żywa postać, jako niezbędna składowa część obrazu polskiego społeczeństwa, wchodzi ze swemi szczególnymi cechami obyczajów, pojęć i gwary.

Dotychczasowy jednak stosunek literatury do chłopca był zewnętrzny — używała go ona jako materiału artystycznego, jako okraszy i uzupełnienia obrazu, lub jako faktu, dowodu potwierdzającego pewne społeczne dążenia; teraz jednak przychodzi, zdaje się, zwrot nowy w stosunku do umysłowości ludowej.

Jak Chopin wziął muzykę ludu w tem miejscu, w którym lud przestał ją dalej rozwijać i, niezatracając nic z jej charakteru, z jej istoty, treści, podniósł ją tak

wysoko, jak sięgał jego geniusz, podobnie z innymi stronami umysłowości ludu dźać się zaczyna. Pojawiają się usiłowania bezpośredniego zżycia się z ludową nie-pisaną poezją, użycia gwary ludowej, nie tylko jako dodatkowej przyprawy, ale też i jako samodzielnej formy wyrażania się duszy ludzkiej, formy, która może się rozwijać dalej z punktu, na jakim ją dziś u ludu znajdujemy.

Lud podtatrzeński, który dużo zapewne zawdzięcza przybyszom z dolin — inteligencyi, którą tu ściągają Tatry, i która przyniosła nie tylko pieniądze, ale i trochę lepszych myśli i uczuć, znalazł w swoim ubogim na pozór skarbcu chłopskim kilka cennych klejnotów, którymi się wypłaca za to, co ludzie dółscy mu dali.

I tutaj pierwszą była muzyka. Jak daleko sięga sława Paderewskiego, a sięga ona wszędzie tam, gdzie doszła cywilizacja europejska, tak daleko sięgnęły melodye góralskie. »Nuta Sabałowa i Słodyczkowa«, które w kompozycjach Paderewskiego nie straciły nic ze swego charakteru, ze swojej treści psychicznej, brzmią dziś od Tatr, aż po za ocean, na Dalekim Zachodzie Ameryki.

O Stylu Zakopiańskim wiedzą dziś wszyscy. W ciągu jakichś dwunastu lat, od kiedy myśl ta pierwszy raz powstała, dokonało się w tym kierunku tyle, postęp jest tak gwałtowny, że dziś już ani na chwilę wątpić nie można, że mamy bardzo poważny początek własnego budownictwa i własnej ornamentyki. Jest wiele wskazówek, że to powstanie Zakopiańskiego Stylu jest może odrodzeniem tego, co, w miarę jak możniejsze warstwy społeczeństwa ulegały wpływowi rozmaitych odcieni cywilizacji zachodniej, zniknęło ze dworu, zamku, a nawet chaty w dolinach, tu, za lasami i górami prze-

chowało się, jak utajona, zdolna do rozwoju siła cywilizacyjna, — że Styl Zakopiański jest może zaginionym Stylem Polskim. Tem lepiej. Rodowód taki przekonałby tych, dla których ludzie, rzeczy i zjawiska dopiero wtenczas mają prawo bytu, kiedy się z licznych wywodzą pokoleń, kiedy ich początki sięgają głęboko w dzieje. Badanie sztuki jest u nas tak jeszcze związane z zamiłowaniem do archeologii, że interes i urok budzą wyłącznie prawie ruiny i rzeczy stoczone przez móle i kołatki. Jeżeli Styl Zakopiański będzie mógł powołać się na przodków z przed kilkuset lat, umilkną ostatnie uprzedzenia, na jakie jeszcze natrafia.

Trzecim klejnotem, który znaleźli u górali ludzie z dolin, jest g w a r a.

Lingwistyka i etnografia oddawna już zajmowały się zbieraniem, porządkowaniem i badaniem pieśni, podań i bajek ludowych. Jakkolwiek nie zupełne jeszcze, materiały zebrane dotąd są jednak ogromne. Dość wspomnieć imię Kølberga, żeby uświadomić ten ogrom pracy i zdobytego przez nią materiału, przez jednego tylko człowieka. Lecz stosunek tych zbieraczy i badaczy do poezji ludowej był inny, niż Chopina i Paderewskiego do ludowej muzyki. To, co tamci zebrali, są to materiały, których może używać tak dobrze lingwista jak i poeta, które jednak pozostały tylko materiałami, dokumentami, mogącemi służyć do poznania duszy ludu, ale z tego stanu pierwotnego nie wyszły. Poezja ludowa urobiona przez bezimiennych twórców, związana z pewną melodyą, miała gotową, stałą formę, którą wprawdzie brali poeci, lecz, zachowując budowę wiersza i do pewnego stopnia nastroj psychiczny, odrzucali jednocześnie ludową gwarę. Podania zaś i bajki, albo

były zbierane dla ich treści, albo też jako materiały do badań nad formami językowymi. Wskutek tego nie zwracano uwagi na ich wartość literacką, na doskonałość formy, na zdolność poetycką opowiadającego, i tem samem nie dopatrzono żadnej wybitnej indywidualności wśród opowiadaczy; nie wydobyto żadnego imienia chłopą, władającego swoją gwarą tak, jak wybitni pisarze władają językiem książkowym. Był to dalszy ciąg patrzenia na lud, wyłącznie jako na rodzaj — na stado.

Pod Tatrami stało się inaczej. Tu żył Sabała — i to rozstrzygnęło o losie gwary podhalskiej. Nie tylko ta gwara sama przez się jest piękną i bogatą, nie tylko pociąga urokiem swoich archaizmów, w których słycać echa Orzechowskiego, Kochanowskiego i znacznie dawniejszych form polskiej mowy, lecz znalazł się jeszcze człowiek, który nią władał, jak pierwszorzędnny poeta, a że był obdarzony duszą szerszą, niż granice chłopskiej zagrody, więc gwara ta musiała się gnić i rozszerzać, dopóki w niej nie skryształizowała się cała poezya Tatr i góralskiego ludu. Ktokolwiek też miał poczucie doskonałości i piękności języka, ten się z zachwytem wsłuchiwał w Sabałowe opowiadania. Tu też pierwszy raz bajki i opowiadania ludowe zostały spisane, nie tylko dla swej treści anekdotycznej, nie tylko ze względów naukowo-lingwistycznych, ale i dla swego artyzmu — dla swej doskonałości literackiej.

Spisał je w najdoskonalszej formie Bronisław Dembowski, z zachowaniem, całej zwięzłości, siły, obrazowości i humoru, jakie opromieniały mowę Sabały. Drukowała je Wisła, i żałować należy, iż wskutek specjalnego charakteru tego doskonałego pisma, interesuje się niem niewielka tylko liczba ludzi, szczególnie miłu-

jąca ludoznawstwo, więc też prześliczne te bajki są prawie nieznanne czytającemu ogółowi.

Jedną z tych samych bajek opowiedział i rozpowszechnił Sienkiewicz. »Sabałowa bajka«, dzięki jemu jest jednym z bardzo znanych i lubionych utworów literackich.

Niedawno wyszła książeczka p. t. Sabała, napisana przez górala p. Stopkę, w której jest sporo materiału, charakteryzującego góralską gwarę.

Lecz potrącona raz ta struna ludowej poezji nie milknie. Nietylko bezpośrednio spisywanie i odtwarzanie tego, co i jak powiedział Sabała, pociąga ludzi. Kazimierz Tetmajer napisał gwarą piękny »List Hanusi«, który ma być fragmentem dotąd, niestety, nie ogłoszonego poematu.

Sienkiewicz w *Krzyżakach*, dla swoich Wojewodów, kasztelanów i władków znajduje w góralszczyźnie przepyszny wyraz. Jeżeli pisarz tej miary, władający, z tak bezprzykładną łatwością językiem, gnący go w tyle tak różnych i bogatych odcieni, nie waha się oprzeć na ludowej gwarze charakteru swego dzieła, nie waha się wprowadzić mnóstwa wyrażań i form językowych z niej wziętych, dowodzi to jej bogactwa, siły i żywotności.

[Od czasu, kiedy powyższe zdania były pisane, gwara podhalańska zdobyła sobie jeszcze szersze miejsce w literaturze polskiej. Kazimierz Tetmajer napisał świetne obrazy: *Na skalnym Podhalu*, w których ta gwara jest podstawową formą, nadającą zasadniczy charakter i ton językowi opowiadania, skrzącego się doskonałemi zwrotami czystej ludowej mowy. Lecz i w rozwoju samej gwary i w zakresie jej używania dokonał się zwrot jeszcze ważniejszy. Rasa tak nadzwyczajnie uzdolniona,

jak Podhalanie, przy zetknięciu się z wyższym poziomem umysłowości, nie mogła nie wydać z siebie pisarzy, których utwory treścią są bezpośrednim rozwojowym przejawem życia podhalańskiego ludu, a formą bezpośrednim rozwojowym przejawem jego gwary. Nie znam zapewne wszystkiego, co już się dokonało, ale tak wybitny talent i określona indywidualność, jak Władysław Orkan, którego utworom gwara podhalańska nadaje szczególne, pełne charakteru piętno, wskazuje już, że w ludzie podtatrzańskim tkwią pyszne pierwiastki siły twórczej, a w jego gwarze żywe i doskonałe formy językowe, świetne środki wypowiedania się ludzkiej duszy.

Notuję tu jeszcze książkę pani Władysławy Panek i drobne utwory Feliksa Gwiżdża, Dra Stanisława Eljasza Radzikowskiego, Wojciecha Brzegi. Czy utalentowany poeta Jedlicz pisze również gwarą — o tem nie wiem.

Ruch umysłowy rozbudzony na podtatrzu, rozwijający się ze świadomością szczególnych cech duszy góralskiego ludu, czerpiący wrażenia i obrazy z ziemi o tak potężnym charakterze i posiłkujący się tak doskonałym językiem, musi doprowadzić do wytworzenia się samodzielnej gałęzi polskiej literatury, która będzie dla nas tem, czem poezya prowansalska dla Francyi 1907].

Tymczasem jednak gwarze tej grozi zagłada. Szkoła ze swoim językiem bezosobowym, pozbawionym charakteru i życia, porywa biednego góralika, i tego twórcę i dziedzica przepysznego języka bierze w obcęg, wbija mu w głowę prawidła i nazwy części mowy, oduczając go jednocześnie od mówienia dobrze i pięknie. On, który, używając języka z dokładnością matematycznego wzoru, nie potrzebował żadnych sztudeł systematyki, dziś dowiaduje się o imiesłowie i zaimku, a nie

umie ich potem użyć. Straszniejszej gwary nad tę, którą mówią trochę poduczeni chłopci, a którzy, pod wpływem szkół, zaczynając gardzić gwarą ludową, usiłują mówić językiem podręczników i gazet — nie podobna sobie wyobrazić. Potem przychodzi pobyt w wojsku, gdzie większość nabywa mnóstwo zwrotów i wyrażeń niemieckich, które nagina i przeinacza dla pogodzenia z potrzebami swojej fonetyki, z tej mieszaniny tworzy się język kancelaryi gminnej, pokątnych doradców, rzemieślników, służby dworskiej, wszystkich tych biednych ludzi, których życie wydziera ze sfery ludowej i przerzuca na pół poduczonych, na inne pole pracy i zarobku. Niech kilka pokoleń przejdzie przez szkołę, wojsko, urząd, warsztat, niech przyjdzie gwałtowniejszy przypływ potrzeb i form cywilizacyjnych, a przepyszna ta gwara zaginie ze szczętem. Tak się stać nie powinno.

Gdzieindziej dyalekty ludowe, prowincjonalne, mają swoją literaturę i dziennikarstwo. Dość wspomnieć siły i bogactwo poezji prowansalskiej, rozpowszechnienie piśmiennictwa plattdeutschu, lub niespożytość dyalektów włoskich, których nie wyplenila tej jakości i tylu wieków kultura.

W angielsko-amerykańskich miesięcznikach *Century* i *Harpers Magazine*, miesięcznikach, należących do najznakomitszych wydawnictw w języku angielskim, drukują się powieści i opowiadania w rozmaitych dyalektach, jakie się wytwarzają pod wpływem objęcia olbrzymich przestrzeni świata przez rasę anglosaską. Można w nich czytać powieści pisane gwarą kanadyjską, zaprawioną francuszczyzną i powieści z życia murzynów, pisane tym językiem, jaki oni z angielszczyzny wytworzyli.

Najwznioślejsze i najcudniejsze bajki, jakie kto napisał, — bajki Tołstoja — pisane są gwarą wielko-rosyjskiego chłopca.

Sądzę, że przykładów tych dosyć i że próby pisania gwarą góralską znajdują, w zasadzie, zupełne uznanie, a miejsce w literaturze wyrobią sobie, oczywiście, o tyle, o ile znajdują się zdolni pisarze, którzy potrafią tą gwarą pisać.

Drukującą się tu bajkę, o Ojcu Nędzy, opowiadał Cypryan Godebski, kiedyśmy w sprawie pomnika Mickiewicza byli u niego w Carrarze. O ile przypominam, jest to bajka bretońska. Godebski, który wogóle jest jednym z najsympatyczniejszych ludzi, oprócz innych przymiotów towarzyskich, posiada nieporównany dar opowiadania. Bajka też w jego opowiadaniu — mówił po francusku — uderzała życiem i charakterem. Treścią swoją jest ona tak zbliżoną do pojęć i składu umysłu górali i tak się nadaje do ich gwary, że, zapamiętawszy treść, pokusiłem się o napisanie jej w gwarze podhalskiej, trzymając się, o ile zdołałem jak najbliżej tonu pojęć i charakteru mowy Sabaty.

Dusza ludzka jest wszędzie jednaka. Uderzającym jest też, że te szczególne cechy chłopskiego umysłu, układu myśli, kojarzenia się wyobrażeń, są te same w Polsce, Rosyi i Bretanii. Próbowałem tłómaczyć jedną z bajek Tołstoja na gwarę góralską. Każda jej myśl, zwrot mowy, wszystkie refleksye, zawarte w niej pragnienia i biedy są zupełnie te same, co u naszych Wojtków i Bartusiów, — oczywiście, góruje ona ideałami etycznymi, nie tylko ponad biednym światem chłopskim, ale i ponad całym współczesnym życiem.

I.

Wiel. 1021 Seł se pan Jezus ze świętym Janem wraz. Malučko namieniało na świtanie, kie sie zabrali iść, a na śródwieczerz słonka jesse nie pošlakowali nika, ani chałupy, ani chłopa. I śli bez takie strasne pustacie, nie jedzący i nie pijący, lemze wlokąc za sobom obolałe nogi. Juze prawie sie zmirkało, wiater zimny wzion poduchować i descyk przykrapował, jużci umyślili lódz se ka pod wantom, coby ino jako rania dockać. Ale, kaz w takiej ćmie wanty sukać bedzies?

Na ostatek, cosik w tej nocy błysnęło, co jakbyś ognia do fajki skrzesał. Jużci pošli za tem światłem i hnetki przyšli ku małej izbecce. Zburzyli do dźwirzy,— cosik wzięno hań z nuka krzypieć, dźwirze sie ozwały i wyseł ku nim starusecek siwy, taki nicpote, — dziad, ale na gębie miłosierny i takom słodkom miał gware, co aze poweselało w nik serce, kie Boga pokwalił.

No dobrze — wešli. He raty! Kie ten dziadek wzion ik po ręcak boćkać, a dziękować, co se o nim zbacyli, co go biedaka starego nie omineli, co mu telo uświadcyli, to aze sie hańbili słuchający.

Jużci ozduchał dziadek karkoski, coby w izbecce było widniej, usadził ik na ławie, przyniósł kraicek mo-skalicka i gruląt dwoje i kwaśnicy łyske na misecce, i rzece:

— Moiści wy kochani, kieście tacy grzecni, coście me w tej pustce nawiedzili, nie gardźciez mojom strawom. Nie moc ta prawda i mam, ale co mam, to sie tem podzielmy, a coby zaś chybiało, niek ze wam Pan Bóg przycyni.

Nie długo było tego jedzenia. Podzielili się, napili się wody z rajtoka i ułożył ik dziadek spać, piknie, na swoim łóżku. Zagłówka nie miał, ino taki potargany okłacek pod głowę dał, unakrywał starem cuzcyskiem, a sam se lóg pod proge. Ale od radości ni mógł usnąć, abo Panu Bogu dziękował, co mu gości nagodził, abo pozierał na ik głowy, co hań na okłacku aze jaśniały od świętości.

Na raniu, wzion dziadek po izbie sukać, cyby ka nie nalazł jakiego jadła dla gości. Juźci nalazł scypte owsianej mąki i klusków uwarzył. Skoro postawali, postawił przed nimi miskę i strasnie sie hańbił, co nic innego nie miał... Cóż bedzies robił, kie bieda!

Zjedli, podziękowali i zabrali sie iść. Juze prawie mieli próg przestępować, a Święty Jan rzece do Pana Jezusa:

— Panie! trzaby zaś temu grzecnemu clecątku jako pomódz — trza go zratować w tej biedzie.

— Zje ba i prawda, rzece pan Jezus i pyta:

— Dziadku, powiedźcie, jako sie nazywacie?

— He! jakoz byk miał sie nazywać, kie me wołajom W a w r z e k, a pisujom N ę d z a. Nik do mnie inacej nie przegada, ino Nędza i Nędza. Kie zaś kce me ududkować, no to zaś mówi: — Ociec Nędza.

Juźci Pan Jezus rzece: — No, Nędzo, teloście byli dla nas dobrzy i ludzcy, radzibyśmy wam jako odwdzięczyć. Powiedźcie, nie macie ta jakiej chęci ku cemu, jakiego zycenia?

— He! pada Nędza, — nie telo ja głupi cobyk miał zycenia! Kiek był młody, co me jesce zycie nie wybiło, tok nie raz, nie wyctajęcy Panu Bogu, paciorek mówił, a prosił coby me dał to, lebo tamto, abo zra-

tował. Ale jakok był Nędza — takek i Nędza ostał. Teraz me zyceniami nie przewiedzie nik. Dziękujem, nie wyctajęcy, Panu Bogu, za syćko co mam i cego nie mam, ale Mu sie nie naprzykrzam o nic.

Zesmucił sie Pan Jezus, zmilcał na kwile... na ostatek rzece:

— Moi drodzy, ale przecie, powiedźciez, moze tez Pan Bóg i na was se zbacy i nie ostawi was w tej biedzie.

— O cóz byk sie miał Panu Bogu przypochebiać? Cheba, wiecie jako: mam ja haw jabłonke, widzicie na oborze, i strażnie pikne jabłka na niej sie rodzom, ale cóz z tego, kie im nie dadzom chłopcyska zeżreć. Lemze sie które pocyrwynie do słonka, hnet z całej wsi dzieciska sie zlecom, pierom skalami, lazom na drzewo, gałęzie łamiom, co nie daj Boze, aze całke do ostateka objom, co mi sie ani jedno nie dostanie. Kiebyście, prosem Ik Miłości, mogli me w tem jako zratować, no to — toby juz było! Dy ja nie zawidzem nikomu i radbyk syćkim tyk jabłek dać, ino me to wej mierzi, co kradnom, a na ostatek i sam radbyk spróbować choć z jedno.

— Dobrze, rzece Pan Jezus, kie sie cosik do jabłoni związe, nie ślezie, pokieli nie podzwolis.

— Moiście wy! dziękujem bardz piknie! Niek Pan Bóg prowadzi, a nie zabacciez tez me wracajęcy!

— Ostańcie z Boge! — i pošli.

II.

Nędza ostał sam i myśli se: — Pockaj, ino mi ty wliż na jabłoń bedzies ty wiedział jako jabłka smakujom.

Jużci ceka kie tez te jabłka zeżrejom. Przysęł Wrzesień, słonko piknie zenie, owies zeżrał, ludzie kosom, — jabłka, kie malowane, cyrwieniom sie w liściak, jaze sie w ocak mieni.

Jednego dnia, na raniu, Nędza wyziera bez okienko z izbecki, a tu ku jabłoni skrada sie chłopcysko ze skalom w garzści. Przyznał sie do niego Nędza wraz, — ba jakoz by sie nie miał przyznać, kie to był Gackulin wnek Stasek, najgorse chłopcysko w całej wsi.

No, dobrze. Beu! skalom w jabłoń — przeleciała! Nędza jaze dek w sobie zataił, ani pary z gęby nie śmie puścić, ino sie cai za okne, jak kot na mysy... Beu! drugi raz — nic! Hybaj! na gałąź. Mój Nędza wypadł na obore. Złękło sie chłopcysko — kce uciekać, a tu przywarło go do pnia, co sie z miejsca nie moze ruszyć... Raty! ludzie na świecie! Sarpie sie w tyk gałęziak, jak kwical w sidlak — a jabłoń nie pusca. Ozdarł kufe i w bek!

A Nędza rzece: — Tak? bedzies ty mi jabłka kradł staremu dziadkowi? Nie puscem cie z tela do końca świata! Bedzies warował przy tyk jabłkak i drugik ucył, coby kraść nie śli. Cóżeś tak kufe ozdarł? Kciałeś jabłek, dy je mas — sameś wlaz, sprobuj se sam zleść!

Chłopcysko sie dre... pozlatowały sie baby i dzieciska:

— Co tu sie robi?

— A tak i tak! Jabłka mi krad, a me Pan Jezus wydał takie prawo i takom władę, co, kie zekcem, do końca świata hań na gałęzi siedzieć bedzie.

Nie kciał temu nik wiary dać. Jużci przyleci i Gackula: — Stasek! woła, psia kość zatracona, słaż mi tu hnet!

Ka ta Stasek! dre sie na gałęzi a śleźć nie moze — ani w te strone, ani w te.

Toz to wzieny baby Nędze prosić, coby sie zlutował, coby juz puścił, wzieny przysięgać za syćkie dzieciska, co zadne jego jabłek nie tknie.

— No dobrze. Kie tak, śliź ze Stasek i hybaj w dóm. A pamiętaj chłopie, cobyś mi jabłek nie tępił, bo kie mi sie ty, lebo który w gałęziak zapłace, nie puscem — przy sam Bogu, nie puscem, choćbyś hań miał skapieć.

Juźci Stasek ślaz i hybaj dó domu, ozesty sie baby i dzieciska. — Nędza ostał sam i zbanował se. Luto mu było i Staska i tyk dziecisków, — ale nie pedział nic. Ceka kie jabłka zeżrejom. Kie juz były godnie żrałe, — ale to były grzeczne jabłka, wielgie jak pięść, po jednej stronie takie cyrwieniate, po drugiej zółte, a słodkie jak miód, — juzci zebrał je Nędza piknie i do izbecki zniósł. Zapakło od nik po oborze tak, co aze cliwo za jabłke było, kies mimo seł. Baby i dzieciska ino sie obzierały na Nędzową chałupinę.

I dobrze, nabrał Nędza jabłek w kosałkie, idzie bez wieś i daje ludziom, babom, dzieciskom — napirwy Staskowi. Ale! on ta i zydowi dał, a i cyganom, kie go cały kierdel na drodze zastąpił, — bo to była straśnie miłosierna chłopina.

Toz to zesło jedno i drugie lato, jabłka sie rodzom, co nie tak ale, — a Nędza jako Nędza: był dziad i dziade ostał. Telo ino miał hasnu, co sie z tyk jabłek uradował, a ludziom ozdał.

III.

Jednej jesieni zesłało chłopiątko. Wziena go drzeć krzypota, juźci lezy se w izbecce, a bez okienko widzi jabłka, co hań kie świecki gorejom z pomiędzy liści. I tak se myśli: — Zjadłbyk z jedno, coby mi sie gościec nie doprociwił, — alek słaby.

Lemze se tak pomyślał, juźci słysy, cosik sie dźwirzy łapiło i otwiera...

... Ino malućko wyjrzało, Nędza hnet wiedział, co to Śmierć.

— Tu ześ! myśli se.

— Niek bedzie pokwalony.

— Niekze bedzie. I cóz ta powies?

— Zje ta i powiem nie wiele, ale moze przegadamy ze dwa słowa. Wis chłopie, juz na cie cas. Dosyceś na tym świecie pozył — hybaj na tamten, cobyś poźrał cy hań co ciekawego nimas.

— He! rzece Nędza, nie taki ja ciekawy tamtego świata. Abo mi tu źle? Ludzie me za co majom, — dudek sie ta, po prawdzie, u umie nie zwysy, ale co mi ta dudek płaci! Kiek rad co zyjem, kie me świat ciesy, ludzi rad widzem, dobrze mi, śleobodno i wesoło. Nie pilno mi z tela.

— He, bracie! Cy ci ta pilno — cy ni, moje prawo takie, co cie musem Panu Bogu odprowadzić, bo na cie ceka.

— Zje co mi ty sklis! Grześnik Panu Bogu, nie cudny, a i dziad ni. Nie bedzie mu za mnom cliwo, choćby me i sto roków dłuzej nie widział.

Ozezła sie śmierć: — Cóz mi sie ty dziadu

bedzies prociwił. Królowie me słuchajom, co im dwa razy jednego nie gadam, a tu mi taki stary grzyb kce przewodzić!

— Cóżeś sie tak ospajedła! Dy mi na ostatek, telo płaci tu żyć, jako i tam. Ka bedem, to bedem, nie bedzie mi cliwo, bo nie bedem sam, ba bedzie nas więcej.

— A najwięcej u dyabła w sopie! wrzescy śmierć ze złości.

— I co sie ja go mam bać! Abo Bóg Przenaświęty za mnie na krzyżu nie umarł? Stras baby dyabłe nie mnie.

Juźci widzi śmierć, co go pyske nie przesili, — mówi po dobroci:

— Wiecie ociec, ja by i sama rada was ostawić, ale cóz robiła bedem, kie je taka wola Boska.

— Ha! kie wola Boska, to co innego. Pański oskaz — chłopska służba, ja sie woli Boskiej nie spraciwim. Hnet ja ci sie tu wyzbierm, ino wies, jako ci powiem: wis, hań na oborze, jakie jabłka pikne, żrałe, radbyk z jedno zjeść, bo mi zaś hań takik nie dacie, alek słaby. Kie mas wolom i cas, wliź na jabłoń, a przynieś i mnie i sobie.

— Dobrze, pada śmierć ledwo rada, krztyne casu mam! — i posła ku drzewu. Skoro wlaźła, mój Nędza, choć i słaby, hybaj za niom — i woła:

— Wlaźłaś? No to se hań odpocnij, boś sie prawie domęcyła tak światami goniać, a lud kosąc. Jabłka ci paknom? Co? Psia kość zatracona! Bedzies ty tam siedzieć do dnia sądnego. He! śmiertecko, nie pozałuje cie nik. Cheba notareus po tobie zbanuje, co mu sie dostamentów pisać nie dostanie. Niekze! niekze! Ja ta po

tobi płakać nie bedem. He! jak to ci tam dobrze na tej gałęzi! Siednij se na kwile, zakiel na Sąd ostatecny nie zagrajom. Siednij, niekze i świat przez tobi odpocnie.

A Śmierć tardze sie hań, kie niedźwiedź w oklepcu i dre sie: — Bój sie Boga, cłeku, nie gub ty me do ostatka! Dy ja z Boskiego oskazu musem iść. Nie mieskaj me, nie despetuj, bo mi juz dawno cas do roboty.

— Kiebyś z dobrymi rzecami sła, puściłbyk cie hnet, rzece Nędza. — Aleś ty, jako ryś, ino patrzys ka ludziom do gardła skocyc. Ka sie ty powinies, ino płac, lament a sieroty. Dość tego — nie pódzies z tela!

— Cyś ty sie dziadu wściók, co sie Boskiemu prawu prociwis? Cóz ty se twoim głupim rozume bieres świecie rządzić? Cy ty nie wies, co kie je początek — musi być i koniec, kieś sie rodził — musis umierać!

— No, kie syćkiemu je koniec, to i na cie przysel. Siedz cicho, nie drej sie, bo cie i tak nie puscem.

— Puść! nie bede ja, przyńdzie inna. Dla jednego Nędze Bóg świata nie odmieni. Wis, słonko sie na odwiecerz chyli, a ty me tu trzymies. Śmierzci nie ujdzies, bo ci pisana, jako i kazdziućkiemu stworzeniu, jako i calućkiemu światu, ino me do kłopotu, do biedy przywie dzies i Pana Boga na sie ozgniewas. Puść!

— Ha! rzece Nędza — wola Tego, co świat Jego. Mam umrzeć tak, cy siak, niekze choć na kwile pozycem. Kiebyk cie puścił, hnet byś me tu zadźgała, racej pockam, zakiel innym pachółke po mnie odkazom.

Zmilcała Śmierć na kwile, ozmyśluje... Na ostatek rzece: — Wies Ociec, wydajmy se takie prawo: ty me puścis a ja cie na świecie ostawiem, pokiel ostatniego cłowieka nie zabierem. Puść!

Nie uwierzył odrazu Nędza.

— Ale! Ty byś me tu ostawiła! Cłowiekowi nie kazdemu mam wierzyć, — a tu dopiero takiej stworze, co cie djasi... Ani nie bedem kłął, ale kaz cie z twojem prawem bedem sukał — kie juz bedem tam?

Ozwściekliła sie Śmierć.

— I co mi ty kosałki, opałki — kapce, rękawice bedzies pleść! Jako ci powiem — tak i wykonam. Choć ta Śmierć ino Boski pacholek, ale proci ciebie dziadu — Wójt! Ty mi sie nie prociw! Uwazuj, cobyś zakiel słonko siednie, nie lezał w truchle — grześniku!

Zlął sie Nędza.

Myśli se: — Cóz ja ci tu bedem robił?..

Uchylił sie po za dźwirze i rzece: — No to se idź!

Ludzie na świecie! Kie cie Śmierć pomkła w świat, to sie ino za niom kurzyło!

A Nędza ostał i do dnia sądnego świata nie popuści.

1898 w Lutym.

V.

WOJTEK GANDARA.

WRITERS' GUILD

WOJTEK GANDARA.

Dusza ludzka w swojej zasadniczej treści jest jednak, we wszystkich warstwach społeczeństwa. Na najwyższych i na najniższych szczeblach hierarchii społecznej, władają ludźmi te same uczucia, dążenia i pożądanja, a najbiedniejszy obdartus różni się od najpotężniejszego arystokraty, tylko cienką warstwą zewnętrznego powłoki, wytworzonej przez nieraz czysto materialne wpływy warunków życia. Warunki te działają jednak z taką siłą, że między poszczególnymi warstwami społeczeństwa wytworzyły się przepaście, wypełnione wstrętami i niechęciami, różnice obyczajowe i towarzyskie, odcienie kultury, zawiści i nieufności, nie dające się łatwo przełamać i przeszkadzające we wzajemnym porozumieniu. Jakkolwiek blisko dotrzemy do duszy ludu, zawsze jeszcze wobec »pana« pozostanie cały świat najbezpośredniejszych zjawisk, do których nię możemy znaleźć na razie dostępu. Po za pewną granicą zawieszony jest, jakby jakiś święty Zaimf, za którym są rzeczy dla »pana«, dla »cepra« niedostępne.

W Zakopanem, wskutek szczególnych stosunków, wskutek pewnych, wyłącznie górali obowiązujących warunków życia, dziś i w przeszłości, wskutek rasowych tego ludu przymiotów, sfera bytu dostępna do poznania była szersza, niż gdzieindziej i do duszy górala można było zajrzeć bliżej i głębiej, niż do duszy innego polskiego chłopca. Zanim Zakopane stało się tem, czem jest dzisiaj: miasteczkiem na rozdrożu między wysoką cywilizacją wielkiego miasta a pospolitością parafialnego zaścianka, ci, co tu przyjeżdżali, żyli w warunkach tak bliskich życiu górali, tak byli tą sferą ludową ogarnięci, że stosunek towarzyski zbliżał bezpośrednio wszelkie warstwy społeczne, a z siedzących u jednego stołu hrabiów, profesorów, gazdów, juhasów, adwokatów, lekarzy, przewodników lub byłych zbójników wydobywała się wspólna treść duszy ludzkiej, górująca ponad formą ubrania, ilością rocznego dochodu, ponad manierami i akcentem mniej, lub więcej paryskim, lub chochołowskim. U wszystkich odnaleźć można było te same pobudki czynów, te same przejawy egoizmu lub uspołecznienia, te same porywy wzruszeń i podobne potrzeby umysłu. Wszyscy coś kochali, kogoś nienawidzili, pragnęli posiadać i żądali wrażeń. Literaturą jednych były epepeje Sabały i kazania księdza Stolarczyka, literaturą drugich Mickiewicz, uczone rozprawy lub romans francuski, ale literatura była jednym i drugim potrzebna, a potrzebna z tych samych powodów. Punktów zbliżenia było pełno. Pomimo to jednak do dna góralskiej duszy nie byle »ceper« mógł zajrzeć, nie przed pierwszym z brzegu »głupim panem« Sabała wygadał to wszystko, co w nim leżało z żywiołowych pierwiastków duszy ludowej i to wszystko, co stanowiło własną jego treść

indywidualną. Ta nieufność ludu, do ludzi z innych warstw, jest przyczyną, dla której wyniki badań folklorystycznych bywają nieraz tak niezupełne lub przepełnione fałszami, a wnioski o »duszy chłopskiej« tak ciasne, jednostronne i niesprawiedliwe. Toteż chłop, góral, który wskutek jakichkolwiek przyczyn rozpętał się z ciągłego uświadamiania, że Pan to coś, czego trzeba się strzedz lub bać, góral, któremu Pan niczem nie imponuje, który się czuje bezwzględnie niezależnym, a swoją mądrość uważa za jedynie słuszną, swój byt za wzór i ideał bytu, chłop taki przedstawia ciekawy i cenny okaz dla folklorysty, a dla człowieka poprostu współczującego ludowi typ ciekawy i wyjaśniający niejedną zagadkę życia ludowego.

Takim właśnie jest Wojtek Gandara.

— Tak byś pedział, co je głupi, a to przecie ma rozum — i kielo dobry!

Wołają go Wojtek, piszą Łukascyk, mówi się Gandara, a pochodzi ze wsi Murzasihla.

Lat pięćdziesiąt temu Wojtek był pięknym i silnym juhasem. Mężna, młoda twarz, o regularnych i energicznych rysach, świeciła się radością, a z siwych oczu patrzył spryt, przytomność i gotowość na wszystko. Żółte włosy, niestrzyżone od urodzenia, zaplecione z przodu w »kiecki«, zwisały mu na ramionach poza łopatki. Wojtek był z natury wesołym, czynnym, pracowitym i naremnym.

Właśnie się był ożenił i miał zacząć gazdować na »przyżenionym« gruncie, kiedy najniespodziewaniej pokazało się, że Wojtek ma niesłychanie pilne interesa w »Pisierze«, Weronie, Mantui, »Mailandzie«, że musi spieszyc bronic swoich gruntów w okolicach Solferino i Ma-

genty. Żółte włosy wymieciono na śmietnik »kasarni«, a może zrobiono z nich perukę dla jakiegoś wiedeńskiego teatru. Wojtek dostał »ciako«, kabał, »gwer«, tor-nister i poszedł. Był on pięknym żołnierzem. »Nogi proste, stopki małe, pierś wypukła a brzucha nic«; to też gdzie przyszedł »mruzgały« na niego panienki, a w jednym miejscu pewna pani chciała się, wraz z dwoma córkami, za niego wydawać i »kielo to woda sła jej z ocu, kie sie dowiedziała, cok zeniaty«.

Wojtek, jak wszyscy prawie górale, zaliczony został do dwudziestego pułku piechoty, którego miano podług Wojtka, brzmiało: — *Wilam princ preis fon fridlik este regiment lumero cwancik*; pułkownik, — pan odnerał Kostia Zemanja, nie był piękny: — Jedno oko miał, ka bywa, a drugie: tutok, mówi Wojtek, ukazując na prawą żuchwę, — za to miał głos donośny i pułk, jak jeden człowiek, słuchał jego ostrej komendy. Wojtka jednak mierzi ta niemiecka komenda. — I co mi ty bedzies mówił: — *Duchter-Fluchter!* — powiedz mi: — Kuba obróć sie, Kuba stój, Kuba zwróć się!

Trąbki, według Wojtka, grały zawsze na nutę: »Uciekajmy! Uciekajmy!« Ale Wojtek nie uciekał tak bez przytomności, jak inni. Kiedy w czasie ataku na obóz jego pułku odbieżono kotły z gotującym się mięsem, Wojtek, pamiętający dobrze, co to jest »stucka z wąsami«, to jest dobry kawał mięsa z łojem, wbił na oślep karabin w głąb wrzącego kotła, wychwycił na bagnet spory kawał wołowiny, napchał kaszy w manierkę i dopiero uciekał przed »taliańskimi« czy francuskiemi kulami, które mu koło uszu świstały. Jakkolwiek Wojtek był dzielnym i przytomnym żołnierzem i został instruktorem dwudziestu innych, jakkolwiek mógł wypić siedm-

naście »kielusków« na czczo i potem tylko sam się dziwił, »kielo to gwara sła ś niego«, kiedy musztrował swoich podkomendnych, chociaż nieraz jeszcze bronił mężnie pułkowych kotłów, nic nie pomogło, — interesa Wojtka w Lombardyi poszły lichoo..

Wrócił zatem do Murzasihla i jął się gazdowstwa, które mu jak cudowny raj śniło się przy obozowych ogniskach, wśród nocnych patroli i samotnych stanowisk w łańcuchu straży. Stara, czarna chałupa pod gajami, szopa, gdzie w stajni stał Siwy, a Cisula, Brzezula i Winocha żuły bez przerwy sieczkę w zamyśleniu, gdzie dwanaścioro owiec patrzyło mądrymi oczami z mrocznej głębi; a za oborą półka ciemnej zieleni gruli, płowego owsa, jaskrawego lnu i wąsatego jarcu, dalej polany płynące trawami popod las czarny, wstępujący z brzeżka na brzeżek aż na regle, i ponad wszystkim potężny, szczytny mur Tatr, odcięty na błękitie szczytami graniami, — cała ta »święta ziem« góralska ogarnęła Wojtka na nowo. Zaczęło się dobre stare góralskie życie. Z wiosną, skoro wiatr halny przeleciał ponad mokrą rolę, naremne sprzęganie ze spółnikami koni do pług; oranie nerwowe, śpieszne, na gwałt, sianie na świeżo odwróconą, nieskrudloną skibę; dalej grule posadzone, potem obsypane, okopane; statek wygnany do hal, chodzenie z obońkami po mleko na szałas; potem robota z sianem, nieustanne przetrząsanie, wyłapywanie każdego promyka słońca, żeby wysuszyć w mokre lato, czerniejące na ostrewkach kopy; potem zbiórki i ledwie skradziono przed jesiennym podmuchem halnego wiatru owies, ledwo, marnąc na ostrym wietrze, skopano grule, już po halach kłębiła się kurniawa, zlatywała w doliny, zasypując zielone jeszcze jesiony białą okiścią. Szła kur-

niawa za deszczem, pluta za kurniawą, lejba, lić, mokwa, kwaśba jesienna. Po boiskach dziwki tarły len, udajając coraz to nowe pieśni, zaczynał rozlegać się rytmiczny stukot cepów, ludzie gromadzili się około chałup, napełnionych ostrym zapachem świeżo ukiszonej kapusty. W końcu, kiedy już Tatry zmieniły się w jeden biały wał śnieżny, skrzący się w słońcu, kiedy poprzez śniegowe zaspy utarły się drogi, zaczynała się robota z drzewem w lesie, który tonął w bieli, przywalony okiścią, osrebrzony kryształami sacy, robota z drzewem, ciężka, ale jedna z najmilszych dla górala. Zwłaszcza, że w owych czasach, dla wszystkich »budownych« Wojtków i Maćków, las był własnością Boską, a potem tego, co go zrąbał, nie tego, kto się w »rzędzie« podpisał jako właściciel. Kraść las było czemś zacnem, zwyczajowem, tego się nikt nie zapierał, chyba przed tym teoretycznym właścicielem, który go bronił ciupagami i flintami leśnych.

Wojtek był z »rodu lekkiego«; od dziecka chowany dobrze, nie bał się pracy. Przy pługu, z kosą na niwie, czy z rąbanicą w lesie, robota paliła mu się w garści. Był z niego mądry i zamożny gazda i mało brakowało, żeby został »hrubym«, jak jego »ujek« po babie, którego ośm krów i dwadzieścioro owiec pasło się w halach. Ale tak pan Bóg dał, a ludzie wychowali, że Wojtek miał skłonność do bitki. Więc też nieraz on komu, albo ludzie jemu godnie popodbijali oczy lub łba nadszarpali, że się krwią zalał. Siadywał też czasem w hareście — ale to go nie zniechęcało ani do życia — ani tem mniej do bitek. Dość na tem, że kiedy raz przyszło do jakiegoś zatargu o las z innymi spółnikami i Wojtek bez niczego w garści znalazł się w lesie, jeden go potracił, drugi uderzył obuchem, a kiedy Wojtek upadł na twarz, bito

go tak, że zemdłał i bez tchu leżał weprany w gałęzie zrąbanego smreka, przy którym się powadzili. Kiedy się »obaczył«, krew »skłagała« mu się w gardle i nosie, co ledwo gębę mógł ozdrzeć i dychnąć. Porwał się biedz, ale nieprzytomny, z oczyma zalanemi krwią skrzeplą, wpadł, z całego rozpędu, piersiami na pień smreka z taką siłą, że go znów prasło o ziem bez przytomności. W końcu, kiedy ledwo żywy, »na racku« dowlókł się do chałupy, był taki dobity, że ledwo »dusę uprosił co przy nim ostała«. Głowa była skołatana i potargana, jak zbity cepami okłacek, na plecach ciało odstało od kości, porobiły się takie torby pełne krwi a gnoju. Wojtek był zupełnym »sietniakiem«, ze zrujnowaniem zdrowiem i zepsowanym rozumem. Gadał we światy, nie mogąc pozbierać do głowy wszystkiego, co się stało. Nie dość na tem, wynikły z tego sprawy, »pertykuły«, procesa, więzienia, wmięszali się żydzi, stępiono Wojtka do cna, do ostatniej jałówecki. Z honornego i mądrego chłopca stał się »głupim warjokem«, z gazdy — dziad.

Ale silna, nie dająca się łatwo złamać i zniszczyć, natura chłopska nie poddała się. Przetrwał wszystko. Pozrastały mu się kości, zagoiły się rany. Pozostały tylko blizny po ciele, a zresztą, dziś, kiedy przeszło siedmdziesięcioletni starzec goni drogami, z postawą prostą, żołnierską, z kapeluszem na ucho, z cuhą zwieszoną z lewego ramienia, z wąsem pięknie podkręconym, bystremi i wesołemi oczami, nikt by się nie domyślił, co Wojtek przeszedł, jak go zbito, nikomu by do głowy nie przyszło, że Wojtek niema ani gruntu, ani chałupy, ani statku — ani centa. Tylko garście do pracy, niepomowaną energię życia, a w biednej, skołatanej głowie

zepsowany rozum. Ale nie całkiem. Tak byś pedział co je głupi — a on przecie ma rozum, i jesce kieli!

— Kazdy na mnie wyrka: ty głupi! ty dziadu! A cybyście przezemnie wyzyli? Drwa rąb, wode noś, na miso do wsi: — idź Wojtek! na cukier: — idź Wojtek! Bibstycki se sami shamkajom — a ty Wojtek o suchej gębie zyj!

— A cy to mnie niewola za darmo robić! Cy ja nie mam gruntów, chałupy, siedm morgów lasu, ojczyzny jesce od praojców, z Wawrzka cy ta z Jędrzka. I co mi ta takie zycie z dziadulami! Niek mi się Zamoyski uchyli, przedam to Zakopane zydowi i pójdem do Murzasihla! Rąbcie se drwa sami! Bedzecie widzieć, cy przez Wojtka obstaniecie!

Ta wiara, że ojczyzna jeszcze wciąż do niego należy, wraz z całym Zakopanem, wiara, która się miesza z zupełną świadomością istotnego stanu rzeczy, a pomimo to nie ustępuje, nie rozwiewa się i stanowi fikcyjny, ale dla Wojtka najrzeczywistszy świat istnienia, ciągle pokrzepiająca myśl o takim rajach gazdowskim; wiara w ziemię obiecaną, która jest istotną dźwignią każdej ludzkiej nadziei, ta wiara, która wydaje się ludziom, patrzącym z boku obłudą, — jest jasną treścią życia Wojtkowego, bez niej byłby rzeczywistym dziadem, spadłby na samo dno nędzy, na żebranię, bez żadnych złudzeń i godności życia.

— Cuzysko stare, podarte, katańsko potargane, trzewicyska dziurawe, wsy me żrejom, nie mam przewlecenia, nik mi nie kce wyprać, nie mam co zryć, nie mam ani ka legnąć! — mówi Wojtek, w chwili wielkiego rozgoryczenia, ale gryząca świadomość nędzy, ani na chwilę nie zdoła ugiać jego hardej duszy. Wobec

»Pana«, który go chce poniewierać, który mu jego »dzia-
dostwo« wypomni, Wojtek, taki jak jest nędzarz, ze-
pchany na najniższy szczebel społecznej hierarchii, do-
bywa z siebie harde poczucie własnej godności i spo-
łecznej łączności z chłopskim narodem, i woła: — Głu-
piście! Nie bedziecie mnie oskazywać! Macie swojom
fameljom do oskazywania. I co mi ta pan! Jak ja ka-
zem zabębnować, za mnom stanie milion na milion —
a za panem nik!

Nie ma on ani własnej chałupy, ani nigdzie pe-
wnego kąta, ani pościeli w cudzym domu. Jeszcze latem,
jak latem, prześpi się w drwalni u kogoś, czyje drwa
rąbie, ale jak przyjdzie zima, mroźna noc wyiskrzona
tak, że się zdaje słyszeć chrzęst drżących promieni Sy-
ryusza, kiedy całe Zakopane śpi po napalonych chału-
pach, kiedy krowy i owce w ciepłej szopie tylko uchem
strzygą, na trzaskające w mrozie gonty, kiedy pies na-
wet zatuli się w jakimś kącie we własny ogon i śpi
cicho, — Wojtek musi szukać noclegu u jakiego dobrego
gazdy i za ten nocleg odpłacić robotą: sieckie rzezać,
gnój odkidować, albo drwa rąbać. Nieraz, kiedy napróżno
puka do drzwi, drepcąc w zdartych kierpcach na skrzy-
piącym śniegu, a Ślimacysko dźwirzy nie otworzy, idzie
Wojtek do szopy, włazi do żłobu, kładzie się w siano,
które z pod niego wyskubują krowy i bardzo taki noc-
leg chwali.

— Krowy me grzejom, lizujom po gębie, po rękak.

Nieraz kucharka, zła za to wszystko, co Wojtek
o jej czynach śmiało wypowiada, nietylko, że wszystko
sama »shamka«, ale wygna Wojtka z kuchni na mróz.
Wojtek cierpi, klnie, »sponiewiera panią godnie«, ale się
nie podda, nie będzie prosił łaski; ukarze »kucharcysko«

jak może: dREW nie urąbie, wody ze źródła nie przyniesie, do wsi po nic nie pójdzie, tak się zaważmie, że go niczem nie można przebłagać. Harda jego dusza wyrzuca wtenczas z siebie całą gorycz, która siedzi zatajona na dnie, pod przykryciem wrodzonego optymizmu i złudzenia, że on jest gazda, który, jak zechce pójdzie do swojej »ojczyzny«. Wtenczas to Wojtek woła: — Cy mnie niewola za darmo służyć! Niek sie teraz Zamoyski chyci pracy! Przedam to Zakopane, bo mi juz dajom za nie pięć-dwadzieścia milionów...

Stopniowo, pod wpływem własnych słów, wraca mu zupełna wiara w swoją niezależność, wiara w istnienie majątków po ojcach, w siedm morgów lasu, wiara oparta zresztą na oczywistym fakcie, że jego praca jest zawsze dużo warta — choć mało płatna, że sięga drzewa, które porąbał, liczą się na setki, że, czy pług wodzić, czy gnój odkidować, czy owies siać, wszystko to potrafi zrobić dziś jeszcze tak dobrze, jak najtęższy gazda, — że on jest naprawdę gazda — nie żaden dziad.

Ta hardość i poczucie niezależności, to złudzenie gazdowskiego stanu jest i źródłem radości Wojtka, ale też i nieraz prowadzi do nieporozumień z ludźmi mu życzliwymi, gdyż takich Wojtek ma i między »państwem« i między »sługami«. Nieproporcjonalność między tem, czem Wojtek jest w hierarchii społecznej, a między tem, czem się on sam sobie wydaje, wywołuje kolizye, w których z Wojtka wydobywa się hardy i naremny chłop z przed laty, który niechce wprawdzie cudzego, ale też z pewną zawziętością oblicza to, co jemu się od świata należy. Niema on nigdzie stałej służby, ale na jakiś czas zawiera milczącą umowę w znajomych i życzliwych domach i służy dobrze i wiernie, nie licząc się zbytecznie

z tem, co dostaje i pozostawiając tym, którym służy, złudzenie, że są jego dobroczyńcami, złudzenie, zresztą, często całkiem usprawiedliwione. Aż jednego dnia jakaś zasuwka w mózgu Wojtka się przekręca i wtenczas wszyscy za wszystko mu są winni, wszyscy żyją jego pracą, on jest wszystkich dobroczyńcą, on, gazda z Murzasihla, poniewiera się dla cudzych dzieci; wszyscy są ino głupcami leniami i dziadami, on jeden jest mądry i pracowity. W takich razach porozumienie z Wojtkiem jest niemożliwe. Wtenczas ani papierki za rąbanie drzewa, ani szóstki dawane na habrykę, ani okowita z cukrem i ciepłą wodą, którą mu przyprawia pani, ani obiad, który mu daje »Petrynka«, ani przyodziewek sprawiony przez »starszą panią« — wszystko nic nie płaci — ponieważ jemu się należy grunt, chałupa, siedm morgów lasu... Wojtek się złości, klnie, — aż przyjdzie znowu dzień uspokojenia i Wojtek z wesołą miną bierze się do siekiery i piły.

Wojtek nigdy nie żebrze, nie wyciąga ręki do nikogo. Jeżeli przyjmuje szóstkę na habrykę, zawsze prosi, żeby ją zapisać, że, jak Zakopane sprzeda, wróci, nie chce brać nic za darmo i nie lubi wyglądać, jak żebrak. Swoje biedne przyodziewki łąta skrzętnie i za uzbierane dudki kupuje sobie tak dobre portki i kapelusze, jak najhrubszy gazda, owszem, nie byle z kim się w tem mierzy, ma takie poczucie elegancyi, taką miarę tego, co i jak należy na portkach, lub cuze wyszyć, że z krawcem dobrze i długo uradzi, nim przyjmie nowy przyodziewek.

Słowem, wrócić mu gazdowstwo w Murzasihlu — będzie z niego rzeczywisty i dobry gazda — ale to gazdowstwo pozostanie na zawsze w wyobraźni Wojtka.

Komuś się zdaje, że on dziad bezdomny, a on tymczasem orze, sieje, las rąbie, buduje, chodzi po jarmarkach, kupuje i sprzedaje, bogaci się — jest tęgim, zamożnym i potrzebnym ludziom chłopem. Złudzenie zresztą tak powszechne! Wszyscy ludzie mają takie gazdowstwa w Murzasihlu, wszyscy żyją nie tem, co mają, tylko tem, w co wierzą, że mieć mogą. Nietylko jednostki, narody całe żyją taką myślą o idealnej ojczyźnie...

W obłądzie Wojtka każdy może się przejrzeć i zobaczyć własną duszę i własne życie. Ktoś, znający Wojtka dobrze i widzący analogię takiego stanu duszy u innych ludzi, nazwał to g a n d a r y z m e m, — bez g a n d a r y z m u ludzkość by nie wyżyła.

Nie tylko majątków dotyczą złudzenia Wojtka Gandary. Jest on pewny, że kiedy idzie ulicą lekkimi nogami, to, pomimo siedmdziesięciu lat, wszystkie panienki na niego »mruzgajom« i każda radaby zań się wydać, nie tak dla piękności jego gęby, jak dla pracowitości. Ale Wojtek byle kogo by nie brał. Dziewczyna taka, która by się jemu widziała musi mieć: — Gębusie okrągłą, rumieną, ocki siwe, włosy żółte, jak iskra, uski małe, piersi ładne, okrągłe — coby nie była taka skrzywiona. Jak ma długą płaskatą twarz, usy wielgie — to na nic; to ino do jedzenia. Je, a wse łacne. Jesce ta i carne ocy by były, ale nie ma juz tej przyjemności.

Wojtek doskonale obserwuje i ocenia przymioty i zachowanie się dziewczyny. Nie tylko ma być ona »na gębie miła i wesoła«, — musi być przystosowana do życia chłopskiego: silna i robotna. Czy się dobrze ze statkiem zaobchodzi, jak widłami na płask gnój z pod krów wykida, jak robi w polu, czy nie za dużo prasuje swoje chusty, czy nie jest głupia, zła, łakoma — wszystko to

Wojtek rozważa. Na ogół podziela on odwieczne do bab uprzedzenia — powszechne o nich mniemania.

— Baba jako baba! Głupie to, a wse by jadło, a wse gada, a ty za niom pracuj! A naremne, a złe, a krzycy, a złości się, a wycytuje, a wse jej nie tak! Przez babę robi się cały zamęt, wszelki kłopot, »Tryjont« życia, nawet wszy się przez babi niepokój na świecie znalazły.

— Wiecie, jak było? Seł se Pan Jezus i widzi po przed izbom, na pagródce baby sie iskajom. Pan Jezus pyta: — A co wy tu robicie? — A iskamy sie, ale wsy nimas! — Pan Jezus miał se tabacke w kieszonce, jak i dziś choćkie panowie tabak nosom, jużci wzion scypte i posypał babom na włosy. — Bedzicie wsy miały, kie wom tak pilno ik naleźć!

Głęboka i złośliwa ironia tej przypowieści streszcza ten niepokój, tę pobudliwość afektu kobiecego, to wieczne kłopotanie się, przewidywanie i trapienie się przyszłemi troskami, których wiejska baba, obciążona całym złożonem gospodarstwem domowem, ma znacznie więcej od chłopa, pracującego w prostej, wielkiej robocie w polu, czy w lesie po za chałupą.

Oparta o religię tradycya przedwiecznego zła, uczynionego przez pierwszą babę, służy i Wojtkowi i innym jako jeden z argumentów przeciw babie dzisiejszej.

— Wiecie jako było na początku świata? Nie wiecie? No to wam powiem.

Wzion Pan Bóg gliny do garzci, ino raz ścisnon i stał sie Jadam. I haniok był ołtarz, on se uklął zmówić paciorek, Panu Bogu podziękować, i cosik go swędzi w boku. On sie rafnon w ziobro pazdurem i stanena panienka ładna Jewa.

No dobrze. Zamkli ik do raju. Sytko mieli co im ino trza. Kiele to bogactwo! Izby wielgie, po pół kak sytkiego pełno — ka jakie jadło, ka jaki sprzęt, a po środku był stół. Pan Jezus złapił mys, położył na stole, nakrył przetacke, a zakazał to rusać.

Jesce Jadomisko — jak Jadomisko, dobry cłowiek był, pracował ciężko. Ale ta! Ozbuchala sie i radaby rusyc sytko, a wiedziec: — co to? Wziena i rusyla, i ta mys uciekla! I Pan Jezus wypuscil ik z raju, kie niesprawiedliwi, nie mogli siedziec grzecnie, a nie rusać. Bo to sie nazywa: — Nie rus, kie niemas podzwolenia — abo: o w o c z a k a z a n y.

A tu kazdy gotowke — ham! Panienke ładnom — ham! Ta zaś leci za chłopcami, jak najdalej, kie je ładny, a kie jesce majętny! Ho! ho! ho!

Dwie są zasadnicze ideje, wypełniające myśl i życie Wojtka: **P r a c a i Z i e m i a.**

— Ani raz niema wziąć do gęby, kto nie zapracuje!

Wszyscy ludzie obowiązani są do pracy, i nie tylko dla tego, że ona daje »życie«, to jest utrzymanie, ale że jest prawem powszechnem i jest cnotą ludzkiego społeczeństwa.

— A słońko, miesiąc, gwiazdecki, myślicie, co robiom? kie se po niebie idom? Pracujom. Jako to piknie słońko z po za turni wychodzi, a świeci, a grzeje. Cy przez jego pracy urośnie ci smrek, abo owies, abo zima popuści? A miesiącek pomiędzy gwiazdami jako idzie a świeci — pracuje tyz! Abo taka gwiazda wielga, co wysła z po za Granatów i zasała za Kotelnice, a gwiazdecki, jako mrzugajom, a to som łzy, co je Matka Boska wylała, kie sła płacęcy, co jej synaska umęcyl.

W powszechnym ruchu, w ciągłej przemianie form

materyi, w ciągłej zmienności zjawisk, w wichrach i naremnicach, w biegu spienionych potoków Wojtek widzi powszechne prawo pracy, zawsze dążącej do celów, nie koniecznie związanych z potrzebami ludzkiemi, ale koniecznych dla istnienia świata. Jak przychodzi kwestya pracy, Wojtek przestaje żartować. Z patosem i ruchami karnodziei, z twarzą poważną i surową wypowiada długie mowy pełne mądrości życiowej i wybornych obrazowych porównań.

Nad nikim też tak nie wydziwiał, jak nad »leniem«, widząc w tem źródło wszystkich chorób i zepsucia, »ozbuchaństwa«, które przywodzi człowieka do dziadostwa i wszelkiej »obrzydłości«.

Nie każda jednak praca jest w równym u Wojtka poszanowaniu. Nie widzi naprzykład nic szczególnego, ani celowego w pisaniu, w robieniu książek. Sienkiewicz, którego zna i chwali, jako »dobrego pana«, nie imponuje mu wcale.

— I co ta z tego! Ino se ocy zepsuje, a na ostattek i całke od taki pracy oślepnie. Cy sam bedzie to jad, abo krowom da? Cy ta z tego moze być, jaka dzielba? Kaby sie wzion do role, ziemecke świętom orać, grule sadzić, około statku chodzić, jesce by do dudka przysel i ludzie by go za co mieli. Ale tak! Tu Wojtek kiwa z dobroduszną ironią głową i robi rękami gest wyrażający całą nicość, w jego rozumieniu, literackiej pracy.

Dopiero praca około »świętej ziemi«, którą wspominając Wojtek zdejmuje kapelusz, jakżeby imię Boskie wspominał, jest tą pracą, która sama w sobie zacna, jedynie zapewnia człowiekowi istnienie i dobrobyt. Przykład własnego jego życia, nic nie osłabia dla Wojtka

uroku posiadania i pracy na roli. Zgubiła go łakomość ludzka, nie niewdzięczność ziemi, którą z taką miłością i czcią nawoził, orał i skrudlił.

To też dla Wojtka dość raz widzieć człowieka, pracującego około roli, żeby go szanować i uważać za bliskiego. Zwłaszcza tam, gdzie osobista praca około ziemi rzadko się widzi, między »panami«, Wojtek odrazu jest ujęty, i zawsze takiego pana, którego widział z motyką przy grzędzie, uważa za dobrego znajomego. Nie lubi wprawdzie kwiatów. — Tem krowy nie nakarmis, ani sam jeść nie bedzies, racej byście grule sadzili! — ale i tak jeszcze szanuje pana, który ma ręce czarne od przesypania »świętej ziemecki«.

Ta potrzeba pracy na roli, jest namiętą żądzą, przemożną koniecznością i dźwignią jego życia. Marzy on o swoim gazdostwie w Murzasihlu, radby doń wrócić i posiadać, ale najistotniejszą pobudką jego czynu jest nie chciwość, jest czysta rozkosz samej pracy na roli, jest oranie i skrudlenie »świętej ziemecki«, sianie owsa, sadzenie gruli, siekanie skib, obrusowanie, okopywanie i wszystko, co tylko można na tej ziemi uczynić, od pierwszego poruszenia kamienistych usypisk lodowcowych, do wiązania snopków i zsypywania w worki różowych i żółtych gruli. Wojtek pracuje na roli z radością i rozkoszą, nie pytając, czy ona należy do niego, czy do innego jakiegoś Wojtka czy Maćka. Z wiosną, na Bystrem, pod Nosalem rozlega się wesołe śpiewanie Wojtka, który przy pługu Jasia Harenckiego pogania, lub skrudli skrojoną w drobne skibki rolę, podług góralskiej zasady: — drobno órz — gęsto siej. W błaskach słońca, które, aż tam, daleko pod Obidową ukazuje skrawki pól zoranych, świecących rdzawemi pa-

smami, poprzez opar wiosenny, wśród ostrego zapachu świeżo rozdartej lemieszem ziemi, Wojtek jest jak w zachwyceniu, kroczy wesoło i mężnie, ogarnia go wiara w życie, w siebie, w wartość spełnianego czynu: — Ka pokrociem grule, jak wanty mi sie rodzom! — mówi ogarnięty nie pohamowanym optymizmem. Bo też w jego mniemaniu spełnia on najwyższy, najdostojniejszy czyn, do jakiego człowiek jest powołany.

— Wiecie jak było? Zešli sie do cysarza syčka pokazować, co kto umie, ospowiadać historyje. I przysel rolnik w takik portcyskak, jako ja teraz, na kolanak portargane, hawok ze zadku łatane a dziurawe, gnojem pokalane, jako to rolnik. Przysel i młynarz w białym kapelusie, cały mąkom osypany haw po plecak i kowal carniučki, zmurcany. A cysarz, patrzył, patrzył na syčkik, wzion tego kowala upozdrawiał i tego młynarza, a rolnika kielo to razy, tysiãc po tysiãc, w gãbke ucałował i ugładził. No, wiecie, co to rolnik? Ale cy ta teraz kto wie, co to rolnik! A cysarz z pomiedzy syčkik go wywysył.

Ale nie tylko ludzie, nie tylko »chłopi«, sam Bóg »ziemecke świętom« rad uprawia, a Matka Boska mówi o tem z rzewnością, streszczającą to serdeczne zżycie się z ziemiã chłopa polskiego, jak to widać z powieści opowiedzianej przez Wojtka.

— Pan Jezus ze Świętym Pietrem-Pawłem orali. Mieli štery konie, złote siodelecko. Na tem siodelecku sam Pan Jezus siedzi, a Święty Pieter-Paweł za pługe mu chodzi. Przysła Matka Boska ze śniadanke i pozdrówkała: — Niek bedzie pokwalony Jezus Chrystus. Daj Panie Boze wam tez tu scęście. A Pan Jezus odpowiada: Daj Panie Boze. Matka Boska rzece: Pro-

sem stawać, — bedziecie śniadać. A Święty Pieter Paweł mówi:

Jak skibke objedziemy,
Wtencas śniadać bedziemy.
Skibke objechali,
Siedli, pośniadali.
I tak sobie mówili:
Co bedziem siali,
Na tej świętej roli.
A Matka Boska gada:
Jo dam troche psenicki,
A wy dacie proso,
I bedzie to wraz rosło.
Bedzie snop przy snopie,
I kopa przy kopie.
Będziemy se chodzić, pomiędzy kopecki,
Jako ten miesięcek pomiędzy gwiazdecki.
A jak z pola zbierzemy, prosem gospodarzu,
Zaprządz konie, woły
Zwieźć to do stodoły.

Czy to nie przypomina nieba Fra Angelica? Wojtek dla wyjaśnienia dodaje: — Pan Jezus na koniu siedział, bo on zawse mądrzejsy był. Jak on dobrze jechał, to i pług dobrze seł, nie trza było nadnosić.

Ziemia, podług Wojtka, to nie tylko warsztat do pracy, nie tylko źródło zarobku, to coś, w czem utopiona jest część duszy chłopskiej, coś, co jest z nią związane tysiącem wzruszeń, trosk, radości, niepokojów i ukojenia. Wojtek też mówi o tem zawsze, z głęboką czcią i bezwzględną wiarą, że to jest jedyny skarb prawdziwy i jedyny godny człowieka cel trudu.

Wojtek, jak wszyscy prawie dawni górale, nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi, do obrządkowej strony religii. — Złego kościół nie naprawi, dowodzi, a dobrego

karcma nie zepsuje — a i wsy nie zjedzom. Choć ta i te wsy ciężkie! dodaje przytem wspomniawszy na codzienne doświadczenie. — Niek sie zydy poscom! odpowiada na nawoływanie do postu. Ale treść istotna religii: Wszechmoc Boska, zależność od niej człowieka, nad którym Bóg wykonywa nieustannie swoje sprawiedliwe wyroki i roztacza swoje miłosierdzie — ta treść jest mu zawsze przytomną. Dla Wojtka zresztą, jak dla całego polskiego ludu Bóg-Ojciec, jest pojęciem zbyt oderwanem, jest jakąś mądrością zimną, zawieszoną w abstrakcyi. Prawdziwy Bóg chłopski, to Pan Jezus, nie wyczerpanie miłosierny i ciągłą opieką otaczający chłopskie życie, tak uciśnięte przez nawał trudu, nędzy i wszelkich klęsk, zaczawszy od gradowej chmury, do »filanca«, wydzierającego podatki. Pan Jezus to przechodzi nad zagonami gruli, które pod jego cudownemi stopami plenią się obficie, On to przytuła do serca biedną, zbłąkaną w zawilościach życia chłopską duszę. Przebacza dużo, ale też karze za pychę, za łakomość, za krzywdę wyrządzoną innym. Bóg ten jest bliski, chodzi drogami, między półka chłopskie sam, albo z Świętym Pietrem-Pawłem, lub Matką Boską, która się też nieraz wstawia za grzesznikami i ludzką nędzą. Jest on miłosierny i łaskawy, ale jego wyroki są często niespodziane dla ludzkiego umysłu i swoją wyższą etyką naruszają rachubę opartą na egoizmie i pospolitem grubem pojmowaniu zjawisk.

— Nie powiadaj, żeś mądry, abo mocny, aboś bogaty, bo nie wies jako ci na końcu wyjdzie.

— Seł se Pan Jezus drogom i widzi, co jakisi hruby gazda orze parom, a nawozu nakładł powysy kolana. Pan Jezus Boga pokwalił, a ten ino zmyrcał: —

Na wieki! — A to trza pedzieć: — Niekze bedzie, na wieki wieków jamen. — No i Pan Jezus pyta: — Powiedźcie tez gospodarzu, cy sie tu co urodzi, kieście telo nawozu nakładli? — A ten se odpowie: — A kaz by juz było — kie nie tu! Na ostatek nie urosło w tem miejscu ino pięć kolan! Idzie Pan Jezus dalej. Juźci orzom dwa gospodarze płonom role, ziemecki cienko, pustka, bo to na wiersycku, woda zabiere choćbyś jako nawiózł. Pan Jezus ik pozdrówkał — ci odpedzieli: Daj Panie Jezu, Matko Boska. — Pan Jezus rzece: — Pracujecie, a cy wam tez tu, co urośnie, kie ta ziemecka popłoniata? Ci odpowiadają: — He! nie sytka my w raj, ba trza być i na kraju! Jak będziemy godni od Pana Jezusa, nagodzi nam Matka Boska. — Ale rolom piknie przezegnali, kie zajechali orać. Toz to zarodziło wysy głowy, choć i ziemecka płona była.

W innej przypowieści, widać, jak miłosierny Pan Jezus karze jednak takich, co żyją »ludzką pracą«, to jest ludzką krzywdą, przywłaszczeniem cudzego dobra.

— Był taki młynarz. Młynecek był nie wielgi, po za brzezke, ale woda bystra, mógł se mleć kie kciał, wse miał robote i mógłby żyć grzecnie, kieby nie łakomość. Ale to było złe a łakome i ludzkom mąke wse jadło. Raz napchał se pełnom gębe mąki, a tu pan Jezus, idący mimo, zburzył do dźwirzy. Juźci ten ozwarł, ale gęba pełna mąki, ni mógł nic odpedzieć, ino tak zmrawcoł: — Haaa! — Pan Jezus rzece: — Nie bedzie z tobi nic, ino niedźwiedz, kie nie umis Boga pokwalić. I wygnał go do lasu. Pošli se z babom, ale go ta mąka ludzka ospucyła i pękł piknie na dwoje. I ta baba-niedźwiedzica z niedźwiewtami tyz tam nad nim godnie becała — ale cóz z tego. Ludzka praca nie popłaca.

Takich i innych przypowieści i opowiadań umie Wojtek moc. Wszystkie są pełne prostej mądrości życia, krystalizują to wszystko, co stanowi treść pojęć i bytu chłopskiego. Wojtek nie jest takim bazarzem, który bez powodu takie rzeczy opowiada. Przychodzą mu one na myśl pod wpływem jakichś wypadków, jako konieczne kojarzenia się wyobrażeń, jako obrazowe oświetlenie jakiegoś pojęcia. Ten biedny, z zepsowanym rozumem Wojtek, nie stracił na manowcach obłądu, nic z tych skarbów doświadczenia, wierzeń, poezji ludowej, tego wszystkiego, co dziś wydaje się przeżytką barbarzyństwa, a co stanowiło kiedyś olbrzymi postęp w rozwoju ludzkiej umysłowości. Ta mądrość ludu została w nim nietknięta, a szczególny stan jego umysłu pozwala mu bez żadnych zastrzeżeń, z odwagą i powagą ewangelii, lub homerycznych pieśni, powiedzieć wszystko, co na myśl przyjdzie, pokazać dno chłopskiej duszy, tak często zakryte dla ludzi innych warstw społeczeństwa. A choć czasem »gada we światy«, zawsze na dnie tego leży treść wielkich, powszechnych praw życia.

— Tak byś pedział, co je głupi, a on ma dobry gazdowski rozum.

Tylko, że jego gazdowstwo zawisło gdzieś, między niebem a ziemią i nie może on ani się od niego odebrać, ani do niego dojść. Ale ma zawsze nadzieję. — A cy to mnie niewola za darmo służyć! Cy ja nie mam ojczyzny? Przedam to Zakopane i idem do Murzasihla!...

Sierpień 1901 r.

* * *

Nadzieje i marzenia Wojtka jednak się nie ziściły. Do Mursasihla, do tej roli, którą miał »jesce z Wawrzka, cy ta z Jędrka«, o której śnił i majaczył, przez tyle lat wygnania i nędzy, nie wrócił.

Wojtek oddawna już »pisał o śmierć« — i śmierć w końcu przyszła. Wzięła go w szpitalu, w tym »szpitalu«, którego nie cierpiał całą siłą wstrętu, jaki doń czują chłopi, w którym jednak miał i »ka legnać«, i »co zryć«, i gdzie opiekunowały go »grzeczne panienki« — siostry miłosierdzia. Przebył tam kilka dni, w usposobieniu pogodnem i jasnem, wspominając radośnie i wdzięcznie parę życzliwych sobie ludzi, a w końcu »lóg se na pęksowym brzezku na wiecne odpoczywanie«, wrócił naprawdę do tej świętej ziemecki, która była istotną treścią wszystkich jego uczuć i myśli i najbezpośredniejszą pobudką i dźwignią jego czynów.

Ci nawet, co żałują straty Wojtka, przez jakąś szczególną ku niemu życzliwość, muszą z pewną ulgą myśleć o przerwaniu się tego pasma dni i lat głodu, zimna, opuszczenia, poniewierki, nędzy bezdomnej, bez nadziejnej, bez wyjścia, gdyż zależnej nie tylko od wpływów zewnętrznych, lecz i od tego, jakim był sam Wojtek.

W życiu tego biednego, »głupiego« Wojtka tkwił tragiczny pierwiastek, który tkwi w życiu każdej silnej duszy, buntującej się przeciw fatalizmowi losu. To, co ludziom wydawało się głupotą, było tylko logicznem, upartem bronieniem swego ja, przeciw druzgocącemu bezwładowi warunków bytu, które dzisiejsze społeczeństwo przeznacza dla ludzi tej kategorii, co Wojtek.

Kiedy rada gminna przeznaczyła pięć koron zapomogi dla Wojtka, nie poszedł on je odebrać. Jemu się należy grunt, chałupa, siedm morgów lasu — gazdowstwo

w Murzasihlu, nie jakieś tam pięć koron. Niech mu oddadzą, co jego, on nie pyta o łaskę dziadów. Podobnie, kiedy ktoś mu życzliwy zapewnił dlań izbę i ciepłe »mlicko« przed zimą, Wojtek powiedział, że on nie będzie z dziadulami, starymi babami siedział »w smrodak«, — on ma grunt, chałupę, siedm morgów lasu, on nie jest dziad... Prasnął wszystko i poszedł tułać się od szopy do szopy, szukając miejsca na nocleg w żłobie, przy krowach.

Ten »głupi Wojtek«, nad którym tak wydziwiano, miał nie tylko odwagę powiedzieć: wszystko — albo nic, ale też miał odwagę żyć według tej zasady ludzi silnych i mężnych.

Stopień tragizmu życia jednostki, jest niezależny od znaczenia tego życia dla innych. Podstawmy zamiast gazdowstwa w Murzasihlu, Wszechświatową Monarchię, zamiast wygnania na skałę wśród morza, wygnanie do Zakopanego na głód i nędzę, — będziemy wprowadzić uieli inną dekorację i inną względną wartość jednostki, ale istota zjawiska będzie ta sama. Żeby Napoleon chciał cicho siedzieć na Elbie, miałby syte i spokojne życie, — żeby Wojtek chciał pogodzić się ze swoim losem, miałby tak dobre życie, jak krzywy Waluś, albo ślepy Orawiec z pod kościoła.

W najgłębszej głębi swojej istoty ludzie są nieraz jednacy i los ich jest podobny, pomimo ilościowych różnic pewnych przymiotów, innej wartości utraconych skarbów i innej dekoracji, wśród której rozegrywa się dramat ich życia. Ale ta dekoracja tak przesłania ludziom istotę zjawisk życia, tak powszechnem jest mierzenie wartości człowieka nie tem, czem on jest, lecz tem, co on posiada, tak bliscy są ludzie wiary w to, że godność

ich jest, poprostu, zależną od ilości posiadanych pieniędzy, że, po za tą miarą, nie widzą istotnej wartości dusz własnych. A jednak, czytając taki dziennik doktora B. E. O'Meary z pobytu na Świętej Helenie i porównując z tem, co mówi Wojtek Gandara, przychodzi się do przekonania, że, w pewnych chwilach, ubodzy duchem, nie są wyłącznie ci tylko, których »wsy źrejom«...

Schopenhauer mówi gdzieś, że ordery są potrzebne, byleby były sprawiedliwie rozdawane. Ludzie, mówi on, są za głupi, żeby mogli ocenić wartość lepszych z pomiędzy siebie — trzeba na nich zawiesić ordery, żeby inni przyzwyczaili się przynajmniej czcić tych, którzy tej czci są warci. I tak jednak ludzie by czcili nie istotę człowieka, lecz wynik jego życia, który zależny jest nie tylko od tego, czem człowiek jest sam przez się. Istotę człowieka poznaje ten tylko, kto umie czcić geniusz w dziecku, kto w głębi duszy ludzkiej potrafi dojrzeć utajoną moc czynów nie spełnionych, kto w nieśmiałym szepcie duszy, ledwie budzącej się do życia, dosłyszysz szum wichru myśli wieszczów, kto na wątych jeszcze barkach młodości dojrzy orle pióra potężnych lotów, kto w nagim nędzarzu, wyrzuconym na śmietniki odpadków ludzkich, dojrzy znamiona najwyższych pierwiastków ludzkiej godności — słowem ten, kto potrafi dotrzeć do rdzenia duszy, odartej ze wszystkich powiasek, z wszelkich zewnętrznych, kryjących jej istotną treść społecznych dobytów, kto duszy tej odbierze szcudła bogactwa, nauki, społecznego znaczenia i spojrzy na nią tylko jako na splot sił, które wszystko tworzyły i wszystko tworzą, które są najpierwotniejszą przyczyną zjawisk świata ludzkiego.

Któż jednak o to się troszczy, kto się tem zaj-

muje, kto się zastanawia nad doniosłością tych zagadnień? Nikt prawie.

Kiedy potężny nurt młodości przewala się, niepo-
hamowaną, mętną od własnego nadmiaru falą myśli
i uczuć, któż wtenczas czci tę młodość, kto dba o tę
energię, szukającą celu dla swego czynu? Nikt! Ludzie
czekają aż przejdą długie lata, żeby czcić pracę i za-
sługę, to jest skutek tej siły, koło której przechodzili
obojętnie, albo niechętnie, bojąc się jej żywiołowej mocy,
grożącej wydarciem nowych łożysk życia, idących w po-
przek utartych ścieżek... Ludzie czekają, aż będą mogli
czcić trociny pozostałe z promiennych niegdyś myśli
i uczuć, czcić zdrowie, które pozwoliło człowiekowi dożyć
do — sklerozy...

Gdzie są ci, którzy uprzedzając upadki, nędze, zbro-
dnie, starają się sięgnąć do dna dusz, odnaleźć i ocalić
nietknięte jeszcze rozkładem pierwotne siły ludzkiej istoty,
siły, które dzisiejsze ustroje społeczne, na własną szkodę,
wpędzają w podziemia bytu i zmuszają do walki z sobą,
lub druzgocą i zsypują w doły, cuchnące poniżeniem.
Ludzie czekają, aż będą mogli czynić dobrze i sądzić
sprawiedliwie... ratować »upadłe« kobiety, dawać przy-
tułki kalekom i niedołączom, sadzać do więzień zbro-
dniarzy... wogóle, aż przebieg życia, to jest wypadkowa
ścierania się siły jednostki z warunkami zewnętrznymi
wskaże im to, co [im się wydaje] wartością człowieka.

Jak górski wodospad ma swoją własną treść i war-
tość, nie zależną od tego, czy siły spadku jego wód
użyto do obracania żaren młyna, pił tartaku, indukto-
rów dynamo-elektrycznej maszyny, lub zostawiono ją
własnemu przeznaczeniu, podobnież człowiek ma swoją
treść i wartość, to jest pewien stopień napięcia energii

wszystkich, stanowiących jego istotę władz i przymiotów, nie zależnie od tego, czy ta energia wprzęgnięta jest w służbę interesów społecznych i ujawniona w pewnym wyniku czynu. Odkrycie i ocenienie tej energii jest rzeczywistym poznaniem istotnej wartości ludzkiej — co się tak rzadko zdarza i tak nigdy prawie nie wpływa na ludzkie losy.

Zapewne, na »wyższym zagonie« ludzkości, każda prawie, bodaj najmniejsza roślina, ma pewne szanse istnienia według własnej szczególnej treści; same już warunki materjalne ułatwiają tam rozwój indywidualności, o ile się jakaś wybitniejsza znajdzie, ale na »niższym zagonie«, na którym się tłoczą tak zwane masy, lud, tłum, żyjący pod naciskiem ciężkich, niemiłosiernych, bezwładnych warunków ekonomiczno-społecznych, jednostka ludzka z niesłychanym tylko trudem może utrzymać swoją niezależną odrębność, a nikt już jej napewno w tej masie nie będzie szukać i stwarzać dla niej właściwych warunków życia. Zatraca się też ona tak dalece w zwartym tłumie, że warstwy wyższe jej wcale z tego tłumy nie wyróżniają, widząc tylko stado, którego duszę badają zbiorowo, tworząc »psychologię tłumy« i rozumiejąc pod tem psychologię niższego rzędu, specjalnie właściwą warstwom »niższym«. A jednak życie uczy, że tłum z »wyższych i najwyższych«, nie różni się niczem, od tłumy z »najniższych« i w jednakich warunkach zachowuje się jednako. Dość przypomnieć pożar bazaru dobroczynnego w Paryżu, żeby ta prawda nie ulegała wątpliwości...

Na tym niższym zagonie, warunki życia są jak niemiłosierne sito, sortujące istoty ludzkie według ich wytrzymałości na najcięższe próby niedostatku i bezrozu-

mnego znęcania się nad niemi. Wszystko słabsze fizycznie, subtelniejsze, wszystko, w czem przeważają pierwiastki intelektualne, w czem palą się głębsze uczucia, wszystko, z czego się tworzy naprawdę wyższa warstwa ludzkości, ginie, nie począwszy żyć, nie mając kiedy się przejawić i nie mogąc doznać rozkoszy życia, według porywów własnej duszy. Przypatrzmy się pokoleniom chłopskim, przyjrzyjmy się wyrazowi oczu dzieci, podrastających dziewcząt i chłopców i porównajmy z tem, co widzimy u dorosłych, u starych, a ujrzemy, jakby przepaść psychiczną, która je dzieli. Z chwilą, w której każdy bierze trud życia, takiego, jakie jest przeznaczone dla chłopca, na siebie, gaśnie mnóstwo sił duszy, albo ginie mnóstwo istot, po prostu, zabitych, przez trud nadmierny, niedostatek i poniewierkę.

Ktoś powiedział, że sprawiedliwość społeczna wymaga koniecznie, postawienia wszystkich ludzi w jednakich warunkach życia, dla ocenienia ich istotnej wartości, jak się stawia na jednej linii konie u startu, żeby słusznie ocenić ich rącość w przebiegu do mety.

Dopóki zaś w świecie ludzkim dzieje się tak, jak dzisiaj, sąd o jednostkach lub całych grupach społecznych, wyprowadzony na podstawie wyniku ich życia, będzie zawsze nie ścisły i nie sprawiedliwy.

Wojtek się rodzi w Murzasihlu, zapadłej wiosce, odciętej od świata łańcuchami gór, łożyskami nieokiełzanych, chaotycznych rzek górskich, bezdrożem dróg zoranych wodami naremnic, odciętej, zresztą, samym brakiem potrzeby stosunku ze światem jej mieszkańców, których życie przygniata bezwład wiekowy warunków istnienia. Wojtek nie uczy się nic, prócz tej nauki, która wsiąka weń sama, siłą swojej konieczności życiowej:

paść statek, gnój odkidować, orać, siać, kosić, las rąbać, budować — oto wszystko, oprócz pacierza i religijnych praktyk. Jakkolwiek jednak głęboko zaszył się Wojtek w lasy i zapadliska, pamięta o nim państwo. Nie dlatego, żeby ułatwić rozwój jego indywidualności, żeby zazierać do jego duszy i wyławiać z niej cenne skarby społecznych przymiotów — nie, państwo szukało w jego tórbce grajcarzy, a w pewnej chwili porwało go za kołnierz, wywlekło na dalekie pola krwawych bitew i postawiło pod kartaczami, nie wiedzącego z kim i o co się bije i nie dało mu nigdy o tem się dowiedzieć.. Wojtek wraca znów do siebie, ze wspomnieniami okrucieństw wojny i doskonałości »carnego wina w Werónie«, i znów orze, znów gnój odkiduje, las rąbie, radzi z chłopami, kłóci się, godzi, bije innych i bywa sam bity... Zakres jego wrażeń, jego doświadczeń, jego »pomocy naukowych«, obraca się w granicach najelementarniejszych praw bytu: — głód, miłość, walka ze śmiercią, — wszystko na przestrzeni pól Murzasihla, sąsiednich regli, niedzielnych wypraw do kościoła w Poroninie i uroczystych pielgrzymek do Kalwaryi, na odpust. Jego umysł bada otchłanie nieba bez teleskopu i zawiłych rachunków, bada biologiczne prawa, warunkujące podstawy jego bytu, to jest: rolę i statek, bez pomocy naukowych teoryi, obserwacyi metereologicznych, lub doświadczeń chemicznych i fizyologicznych; jego politykę normuje »pan ze rzędu«, stosunki społeczne — wójt, — a jego dzieci urzeczywistniają zasadę koedukacyi, pasąc gromadnie krowy i owce, a koabitacyi, śpiąc w jednym łóżku, na kupie. Wobec wszechświata z jego niezmiernym ogłomem tajemnic staje on z »czystym rozumem«, któremu nie pomaga i którego nie mąci

książka; wobec sił natury, które musi pokonywać, żeby żyć, jest on uzbrojony tylko w swoje dziesięć palców; zawilosciom społecznego ustroju przeciwstawia on tylko egoizm niepohamowanej chęci życia, mus poddania się sile i nadzieję, że Pan Jezus, lub »cosik« go z tej matni wyratuje...

Ktoś inny rodzi się w zamku odziedziczonym po licznych szeregu przodków, lub w pałacu świeżo zbudowanym przez pierwszego przedstawiciela plutokratycznego rodu. Od pierwszego dnia życia, otacza go wyrafinowana wygoda, przepych i zbytek; całe jego życie gruntuje się na przywileju, wynikającym albo z prawa, albo z faktu posiadania nadmiaru bogactwa, wobec którego bliźni się upadają, zrzekając się swoich praw indywidualnych. Ma on przed sobą otwarte wszystkie horyzonty życia i wszystkie drogi świata. Hodują go, jak bezcenny okaz rasy ludzkiej, — jego funkcyje fizyologiczne są przedmiotem wysubtelnionej troskliwości, każdy nerw, każdy mięsień jego ciała pielęgnuje się stosownie, jego umysł jest ostrzony na osetkach mądrości całych tłumów nauczycieli. Ma on z góry już, przed zasługą, otwarty dostęp do wszelkich stanowisk, zupełną swobodę wybrania sfery działalności i zupełną pewność, że go nikt nigdy za kołnierz nie porwie... Za niego inni się biją, za niego inni myślą, dla niego odkrywają wielkie prawdy wiedzy, dla niego piszą, malują, grają, dokonywają wiwisekcyi; napętniają muzea i biblioteki; ułatwiają mu dostęp do wszystkich zdobyczy nauki, zbliżają doń najdalsze epoki geologiczne i historyczne i odsłaniają tajemnice przewidywanej przyszłości, ukazują mu wszystkie cywilizacye, wszystkie klimaty, wszystkie lądy i morza, i wszystkie zdumiewające zjawiska

przyrody i przejawy twórczości ludzkiego umysłu. Jego byt jest pochłanianiem ogromnych zasobów rzeczy użytecznych, wytworzonych przez szeregi pokoleń minionych i wytwarzanych, dla jego użytku, przez pokolenia współczesne. Cała pomysłowość wynalazcza wysila się, by oszczędzić jego siły, by przedłużyć wartość miary czasu, by ułatwić mu spełnienie każdej chęci, zaspokojenie każdego pragnienia, od najelementarniejszych instynktów, do najbardziej subtelnych marzeń wyrafinowanej kultury.

Oto straszliwe następstwa, skromnego, na pozór, faktu, że jeden człowiek rodzi się z tej, a drugi z tamtej strony okna, jak mówi Morris. Dwie ludzkie istoty, jedna bez winy, druga bez zasługi, są fatalistycznie, od urodzenia rzucone na dwa różne bieguny życia, umieszczone w sferze najskrajniej sprzecznych warunków rozwoju i możliwości czynu. Kiedy jedna, wyzwolona z pod przemocy pierwotnej walki człowieka z naturą, może korzystać z całego skarbu doświadczenia, zdobytego w długim pochodzie cywilizacyi, — druga, współcześnie, żyje w warunkach bytu, przypominających pierwsze chwile epoki żelaza, skazana na zużywanie życia dla odkrywania z trudem rzeczy dawno wiadomych, na bezużyteczne wynajdywanie prochu, którym już oddawna, na wyższym zagonie, strzelają do kaczek... Czy można wartość tych dwóch istot mierzyć wynikiem ich życia? Nigdy. Na ogół jednak, do dziś, dzieje się jeszcze gorzej, — na ogół, nie pytając nawet o ten wynik, z góry się wie, kto tu jest »wyższy« — oczywiście ten, kto się rodzi w pałacu, lub zamku...

Ale przychodzą powikłania życiowe, nie przewidziane skłębienia wypadków, które jednego i drugiego rzucają na ten sam poziom bytu: Wojtka wygania los

z gazdowstwa w Murzasihlu, pana z jego zamku, — teraz dopiero pokazuje się, kto jest wyższy, kto upada niżej, kto utraciłszy szczudła przywileju, lub bogactwa bardziej kuleje, kto ma większą moc duszy, kto jest męźniejszy, czyja godność i duma jest mniej zależną od zewnętrznych warunków? Nie mówię tu ze stanowiska demokratycznych złudzeń, co do bezwzględnej wartości chłopca, nie twierdzą, że on zawsze jest wyższym od pana, twierdzą tylko, że obaj są sobie równi i że istotna ich wartość leży w wartości wątku, z którego utkane jest ich człowieczeństwo, w wartości ich nagiej duszy, ich czystej indywidualności, ich wrodzonych przymiotów — nawet nie ich kultury. Widziałem jednych i drugich na szczycie i na spodzie, — tu i tam szczęście graniczy często ze świństwem, a nieszczęściem z upodleniem, lub naodwrot, w szczęściu widać wspaniałomyślną szczodrość, a w nieszczęściu dumny hart ducha.

Wogóle, chcąc naprawdę słusznie ocenić istotną wartość każdej jednostki, przesiejmy jej myśli, czucia, czyny przez sito krytyki, któraby oddzieliła z nich to wszystko, co ta jednostka wzięła z nagromadzonego skarbu cudzej pracy myśli, porywów czucia i skutków czynu. Oddzielmy to, co dała kultura, całe to środowisko życia, otaczające ją pewną umysłową atmosferą; wyłączmy z umysłu uczonego całą erudycję kupioną razem z tą lub ową encyklopedyą, z pracy eksperymentatora wzięte od innych metody doświadczalnych badań; usuńmy z dzieł muzyka cudze melodye i harmonie, z palety malarza cudze blaski barw, ze strof poety cudze obrazy, symbole słów lub wypróbowane rytmy, z prac myśliciela cudze idee, oddzielmy to wszystko i zobaczmy, czem by była wtedy taka jednostka, do jakiego

poziomu zeszlaby jej wartość bezwzględna, w jakich granicach obracałyby się jej myśli, jak wysoko sięgałyby jej pojęcia, dokąd zaniosłaby ją wyobraźnia, czem posługiwałaby się jej wymowa, jakim by było dzieło jej twórczości, jakiej miary byłby wysiłek jej czynu?

Takie doświadczenie, takie szukanie istotnych wartości ludzkich, jeżeli z jednej strony prowadzi do zmiany sądu, na niekorzyść pewnych jednostek, z drugiej, zato, z cienia tłumów dobywa na światło mnóstwo wyższych typów ludzkich i utwierdza przekonanie, że ludzkość dzisiejsza mogłaby być daleko więcej warta, jej byłby lepszym, wznioślejszym, siła jej czynu, szybkość rozwoju, sprawność społecznych funkcji doskonalsze, niż są dzisiaj, żeby ludzie nauczyli się rozpoznawać bezwzględną wartość dusz i dążyli do dania im możliwości zupełnego rozwoju, zupełnego przejawienia się. Z tego materiału dusz, jaki dziś jest w obiegu, możnaby tysiąc razy cudniejsze uczynić życie. Ale nędza i podłość ustrojów społecznych, głupstwo i płaskość pojmowania życia, nikczemne tchórzowstwo wobec siły pięści i bogactwa, zabobonna cześć dla powagi prawd zgniłych nie dają ludziom przejrzeć, i skazują tysiące najdoskonalszych ludzkich istot na zwyrodnienie i zaprzepaszczenie.

Historia umysłowości, to znaczy historia pomyłek ludzkiego umysłu, mówi o wielkich mędracach i uczonych przeszłości, których wiedza dziś wydaje się przeważnie stekiem ciemnoty, zabobonnych pojęć, lub niemowlęcych domysłów; w naszych czasach całe gałęzie wiedzy przeobrażają się tak gwałtownie, że wczorajszy uczony staje się nazajutrz nieukiem, a jednak w historii umysłowości pozostaje, jako liczba, której wartości nie można całkowicie przekreślić, pozostaje, ponieważ w wy-

siłku myśli, którym on zdobył wczorajszą prawdę, tkwi, bądź co bądź, niepospolita, bezwzględna moc ludzkiego umysłu.

Zastosujmy taki sam sposób sądzenia do innych sfer ludzkiego życia, nauczmy się, poza koniecznymi błędami, a nadewszystko poza przypadkiem, który daje człowiekowi takie lub inne miejsce w hierarchii społecznej, nauczmy się widzieć i cenić rzeczywiste siły i przymioty duszy, a z bogacimy ludzkość tłumami doskonałych ludzi.

Czem był Wojtek w hierarchii społecznej, nawet stojąc na szczycie swego znaczenia?

Był milionową częstką społecznej warstwy, której »ścierwo«
przeznaczone było specjalnie na żer dla armat, która była i jest surowym materiałem do wyrobu podatków, wybieranych z Wojtkowej kieszeni bezpośrednio przez »filanca«, a pośrednio przy pomocy propinatorów i szynkarzy, czuwających, by wewnętrzny konsument alkoholu nie próżnował... Po spełnieniu tych dwóch obowiązków, Wojtek, wraz z całym chłopskim narodem, mógł nurzać się w jakim chciał barbarzyństwie, ciemności i upodleniu. Powinien jednak był strzedz się wymierania z epidemii, nieurodzaju i nędzy ostatecznej, gdyż to osłabia siłę podatkową ludności — tyle o niego dbało państwo. Dla społeczeństwa był on siłą roboczą, wytwarzającą bogactwo krajów rolniczych, za co, po odrobieniu robocizny, szarwarków, stójek, posyłek, mógł zjadać to, co się urodziło na jego roli i pasać, gdzie mu pozwolono, mógł też być dobrym i cichym sąsiadem, a nadewszystko zadowolonym ze swego losu. Wszelkie bowiem niezadowolenie było naruszeniem społecznego ustroju, nieposzanowaniem władzy, religii —

było buntem i sprzeciwianiem się wyrokom Opatrzności. Niczego też, tak państwo, jak społeczeństwo, nie bały się bardziej, jak zbliżania się do wszelkich Wojtków książki lub żywego słowa, któreby mogły wytworzyć w nich świadomość ich praw, pojęcie sprawiedliwości społecznej i, co zatem idzie, chęci zmiany stosunków. I dopóki Wojtek i towarzysze byli zadowoleni ze swego losu, nazywano ich »naszymi wiernymi poddanymi«, z chwilą kiedy zaczęli wątpić, że los ich jest najszczęśliwszym, stawali się: »obałamuconymi tłumami ciemnego chłopstwa«.

Była jeszcze jedna sfera życia, w której Wojtek przypominał się państwu i obarczał je swemi sprawami, to sfera nazywana przez górali: — pertykułem albo prokotułem, która zaczynała się od bitki, a kończyła w hareście. Ponieważ Wojtek nie mógłby powiedzieć o sobie tego, co mawiał inny ostrożny Wojtek: — Kaby syćka byli, jako ja i sędzia i hajduk, pomarliby od głodu, — więc spotykał się nieraz z pertykułem, a w końcu »bez te przycyne« spadł jeszcze niżej i w hierarchii społecznej i w opinii ludzkiej.

Nie był już nawet jednym z tej »ciemnej, lecz bądź co bądź groźnej« masy chłopskiej; był tyle wart, co liść urwany z drzewa, którym poniewiera wicher, był zupełnym nędzarzem, którego jedyną własnością stało się tylko samo życie: — czuł, myślał, cierpiał głód, chłód, poniewierkę — to było bezwzględnie jego. Został nędzarzem, a był nieukiem od początku. Jedyną wiedzą, jaką posiadał, była gorzka i radośna mądrość życia, zdobyta w bezpośrednim zetknięciu się ze światem — bez żadnej pomocy szkoły, czy książki.

— Ja już nie wiem, jako me Bóg umiłował, co

ja nigdy nie pisał. Przy wojsku to ta lumera licył. Ale z tyk książek to ino ocy bolom i całke cłowiek na ostatek oślepnie. — Taki jest pogląd Wojtka na tak potężną dźwignię umysłowości, jak pismo i książka.

W polityce zasady Wojtka są zdecydowane:

— Wiecie co to konstytucya? — ktoś go pytał. — Wiem — odpowiedział Wojtek — dy to sie zwie po polsku konwisyja.

O przyczynach wojny, w której nadstawiał swojej płowej głowy, Wojtek wie tylko, że: — Był król jeden Francuz, drugi Piment, trzeci Serdyn i cosik się tam pomirwiło z cysarzem i z tego była wojna.

Wojtek siebie uważał za Polaka, ale reszta Polaków poza Podhalem, były to Lachy, ubrane w ciężkie buciska i górnice. Nie jasno uświadamiając swoją łączność z własnym narodem, tem mniej mógł on wiedzieć o jakichś ludach, bytujących na dalekich lądach. Zetknął się wprawdzie z Talianami i umiał po swojemu przedrzeźniać ich mowę, ale myślał, że: — Turki to som jakiesi ciężkie Miemce. Znacząc zaś narożne rysie swojej chałupy i sprzęty drewniane krzyżykiem niespodzianym, żeby ich »cosik nie porobiło« — nie zczarowało, ani przypuszczał, ani śnił, że kładzie na nich symbol serca Buddy, sanskrycką Svastikę, będącą jakby znakiem rodowym aryjskich ludów, a którą budyzm wyniósł z Indyi i rozpowszechnił od południowych archipelagów Azji po cieśninę Berynga. Nie wiedział też, że Mieszko I i Bolesław Chrobry, znaczyli tym samym znakiem swoje monety. I coby mu zresztą z tego przyszło, żeby wiedział? Nie miał on nigdy piastowskich denarów, a wkońcu ani marnego austriackiego cwancygiera...

Wojtek w swoich poglądach myli się co do wielu faktów, o których nie tylko filozofowie, ale przeciętny uczeń ma wiadomości pewne i, na dziś, prawdziwe, ale poza swemi błędnymi pojęciami o tych faktach, widzi on jasno głębsze przyczyny tego, co się wśród ludzi dzieje.

Jakkolwiek jednak wątpliwą była wartość naukowych poglądów Wojtka, nie przeszkodziło mu to spełnić do ostatka obowiązków względem państwa i społeczeństwa. Swoje »ścierwo« oddał na żer dla armat, które go jednak nie tknęły, »filance« wzięły z jego dochodów, co im się należało, robocizny i szarwarki odrabiał, jak każdy inny z chłopskiego narodu, płacił za chrzty, msze i wypominki, stawał do pertykułu i siadywał w harescie, był zdrow i pracowity i jego siła podatkowa była niezmożoną.

Wojtek nie zastanawiał się, ile człowiek, pracujący ciężko, powinien zjadać białka, tłuszczów, węglowodanów, wiedział natomiast, że, żeby pracować ciężko a sprawnie, trzeba »wse żyć« — mieć zawsze co jeść, ale przyszedł czas, kiedy to stało się niemożliwym i wtenczas Wojtek ocenił całe dostojęństwo okowitki... Nie był on pijakiem, ale z ciężkiego doświadczenia znał wartość wypitego w porę półkwatka, dla człowieka, którego bije zima, głód, zgryzota, ból, nędza i rozpacz.

Wbrew fizyologom i patologom, Wojtek twierdził, że wódka rozgrzewa i dodaje energii, płacił też państwu i propinatorom swój skromny podatek od alkoholu i życzliwych sobie ludzi ostrzegał, żeby się od wódki nie wyprzysięgali:

— A, nie trza nigdy ślubować od wódki. Moi ostomilioni! Pamiętajcie! Pamiętajcie! Wódka najpo-

trzebniejsza, bo to z Boskiego daru, ze ziemniaków. A ściąga zołądek i śmiałości dodaje, ze i do śniega hipnies! A ognia dodaje, choćbyś nic nie zarł!

Z wysokości, z jakiej na Wojtka patrzy świadomość państwowa, to jest mózg urzędnika, z oddalenia, z jakiego nań patrzy nauka: ekonomia polityczna lub socjologia, jest on tylko cyfrą w rachunku sił, dających się zużyć dla pewnych celów, leżących poza jego świadomością i potrzebą, lub ogniwnem rozumowania, prowadzącego do pewnych wniosków o prawach, rządzących zjawiskami zbiorowego bytu, — ale dla siebie, Wojtek jest Wojtkiem, istotą żywą, świadomą swoich pragnień i dążeń, i na swój sposób rozstrzygającą sprawy, któremi kierują rządy lub które badają uczeni. To, co w państwowym rachunku nazywa się wywóz i przywóz, siła podatkowa, podatek pośredni, co się nazywa podażą i popytem, walką klasową, rentą gruntową lub czemś podobnem, to dla Wojtka jest odczuwaniem nacisku tej bezwzględnej siły, której pięść w każdej chwili bezpośrednio trzyma go za gardło — jest sprawą życia i śmierci, i nie tylko jego osobistą, — on widzi łączność swoich interesów z interesami tłumów i o ekonomicznych zagadnieniach wypowiada poglądy, których zasadność i logika są niezachwiane.

— A jak nie masz co żyć, proś, a będzie ci dano. Ma ci ten dać, co ma! Tak napowiadał wse stary ksiądz na kazaniu — takek go słyszał, jako was dziś słyszę i ludzie słyseli i z państwa słyseli — a wyście słyseli? A jak narodu przybywa, to ma i ziemi przybywać i lasu. Wody wse jest i soli wse jest tam, ka po niom ludzie drzewi jeźdzowali i dziś jesse jeźdzujom. Ale ziemi, ale lasu ma przybywać

Słyszycie jako wam mówiem? Tak ma być, jako wam mówiem. Tak wam wyńdzie, jakék wam napedział. Oj!

Statyści, ekonomiści tę prostą a wielką prawdę życia badają, jako kwestyę agrarną, kwestyę socyalną, odnajdują przyczyny, które ją wytworzyły, które ją w danej chwili na czoło zagadnień bytu wysunęły, ale istota tej kwestyi agrarno-socyalnej leży tam, gdzie ją widzi Wojtek, ponieważ on sam jest tą kwestyą i wszystkie jej najistotniejsze składowe pierwiastki tkwią w jego życiu, w codziennym jego trudzie i powszednim chlebie, w tym punkcie, gdzie jego grube i twarde ręce dotykają ziemi, którą on nazywa świętą. Jego siła twórcza, jego moc rozradzania się, głód jego brzucha i głód duszy przeciwstawione dzisiejszemu podziałowi dobra materyalnego i duchowego, są temi rozstrzygającymi czynnikami powikłań społecznych.

I Wojtek ma zupełną słuszność: — T a k m a b y ć, jako on mówi, innego wyjścia z tej sprawy być nie może. »Ziemi musi przybywać, bo narodu przybywa« i ci, co mają jej nadmiar, muszą dać tym, co jej nie mają. Ci, co mają całe powiaty, muszą dać tym, co mają skrawki włók lub nie całe morgi — jest to nieprzełamana logika sprawiedliwości społecznej i materyalna konieczność przeobrażania się stada ludzkich zwierząt — w ludzkość.

Jak wiadomo, wobec tak postawionej zasady podziału dóbr, ludzie, najlepsi zresztą, chcąc uratować »masy« od zawodów, wynikających z utopijnych, jak im się zdaje mrzonek, to znaczy z dążenia do radykalnych, nieuniknionych przewrotów w społecznym ustroju, ludzie najlepsi, występują z argumentem, opartym na naiwnym rachunku, że podział ziemi doprowadziłby tylko

do tego, że wszyscy by jej mieli za mało, alboby nawet nie starczyło dla wszystkich. Sądzę jednak, że Wojtek pomimo całej swojej chłopskiej pasji do roli, pomimo całego indywidualizmu w pojmowaniu własności, prędkoby zrozumiał, że w istotnym podziale dóbr nie idzie o zszatkowanie ziemi, jak kapusty, lub podzielenie jej jak tabaki, na szczypty, tylko o podział tego, co ziemia ta, dzięki ludzkiej pracy, rodzi; podobnie, jak nie idzie o rozebranie fabryk na pojedyncze cegły i rozdanie ich zarobnikom, tylko o podział tego, co praca tych robotników wytwarza. Zresztą Wojtek wie, że pan o »najwspanialsym żołądku niemoc więcej zeżre« od chłopa, którego żołądek ściąga się wódką, dla dodania śmiałości i ognia »choćbyś nic nie zartł«...

Tak się stanie, »tak wyńdzie«, jak mówi Wojtek, ponieważ od chwili, w której powstała myśl, że choćby poza ziemią, wobec Boga ludzie są równi i między duszą króla a duszą żebraka niema, wobec tej najwyższej sprawiedliwości, różnicy, z tą chwilą ludzkość znalazła się na pochyłości, która musiała doprowadzić do wniosku, że nie tylko w niebie i w piekle, lecz i na ziemi ludzie muszą być równi. Myśli tej nikt już nie pchnie wstecz, nie wydrze z ludzkiego sumienia i nie zatamuje jej biegu, jak nie zatamuje biegu górskiej rzeki. Wzbiera ona coraz szerszym i potężniejszym nurtem i obejmuje coraz szersze granice życia, dotykając podstawowego matecznika, w którym egoizm ludzki się obwarował — dotykając istoty pojmowania i podziału własności. Równe prawa dla wszystkich muszą koniecznie, niechybnie doprowadzić do równości posiadania, do równego udziału w korzystaniu z dóbr duchowych i materialnych. Brońąc się przeciw uznaniu tej prawdy i przeciw formie,

w jakiej ona może wcielić się w życie, ludzie, szukając dowodów racjonalnych, wytaczają, jako niezbity argument, że równość między ludźmi jest utopią, ponieważ jest przeciwną, nie dającym się, rzekomo, naruszyć prawom natury, gdyż ludzie są już z urodzenia nierówni. Lecz czemuż jest całe istnienie ludzkości, jeżeli nie walką z temi, na pozór nienaruszalnymi, prawami natury? Żeby ludzkość ich nie łamała w sobie i w naturze, dotądby zapewne goniła na czworaku za słabszym zwierzem, lub, jako wszystkożerna, jadałaby bez wstrętu własną połędwicę...

Wobec myśli o uspołecznieniu własności, jakże wymownie ludzie bronią indywidualizmu swojej duszy i indywidualizmu swojej kieszeni — »świętości« indywidualnego posiadania. A jednak, twierdząc, że indywidualna własność, to jest żądza jej posiadania, jest konieczną pobudką ludzkiego czynu, jest niezbędnym ośrodkiem społecznego związku i porządku, ludzie jednocześnie skwapliwie się godzą na kolektywną i beznadziejną pracę robotników w fabrykach — byleby zysk z tej pracy był indywidualnie przez kapitalistę pochłaniany...

Wogóle, patrząc jednostronnie na życie dzisiejsze ludzkości, ludzie myślą gorzej o człowieku, niż on na to zasługuje. Twierdząc, że tylko najniższe instynkty chciwości mogą utrzymać energię ludzkiego czynu, nie słucha się tego, co mówi życie, nie rozumie się, że jeżeli na sto milionów ludzi znajdzie się jeden, który jest w stanie działać i tworzyć, nie szukając podniety w chciwości i zawiści, w żądzy posiadania, to znaczy, że cała ludzkość taką być może. Tylko trzeba dążyć do tego, żeby taką była, zamiast, jak dziś hodować starannie

w duszach ludzkich wilka i hyenę, lub ostrożnego i oszczędnego lisa...

Przyrodzona nierówność ludzi, jako przeszkoda w urzeczywistnieniu sprawiedliwości społecznej, okazałaby się o wiele słabszą, żeby ludzie naprawdę zaczęli poznawać istotną wartość dusz swoich, żeby tej wartości doszukiwali się ponad warunkami, w których ktoś się urodził, warunkami, które mu nadają pewną zewnętrzną formę i pewien numer w dzisiejszej hierarchii społecznej. W gruncie rzeczy, im bliżej się poznaje chłopą, tem mniej się go widzi — tem mniej go jest. Jako jego specyficzne cechy pozostają w końcu tylko pewne formy obyczajowe i pewne rzeczy, które, mając szczególne praktyczne znaczenie w jego bycie, są silniej związane z jego namiętnościami, ale pod temi formami obyczaju i pod wartością względną tych rzeczy, kryją się te same wszechludzkie pierwiastki psychiczne. To naprzykład, co nazywamy: chłopską pasyą do ziemi, jest o tyle chłopską, że ziemia jest jedyną rzeczą, którą chłop posiada, jedynem źródłem środków bytowania i warsztatem do pracy. Pasyę tę zresztą podziela z chłopem szlachta, w końcu, biorąc rzeczy głębiej, trzeba się zgodzić, że, czy kto ma pasyę do ziemi, czy do kasy ogniotrwałej, różnica to niewielka i całkiem zewnętrzną w obec zasadniczej tożsamości pierwotnych pobudek tej pasyi. Zapewne, między ziemią a chłopem, wytworzyło się mnóstwo związków czuciowych, wskutek odwiecznego bezwładu wzajemnego stosunku człowieka i ziemi, wskutek tego, że praca ludzka nie jest tu rozstrzygającym czynnikiem, że są siły wyższe, które, raz dają taki, drugi raz całkiem inny wynik tej pracy, siły wyższe, o których chłop myśli z zabobonnym lękiem,

lub religijną grozą, siły, które skupia w swojej mocy i uosabia Bóg i do którego zwraca się ostatecznie myśl i uczucie chłopskie po rozstrzygnięciu zawilosci życia; ale, czy między kapitalistą, a kasą ogniotrwałą, nie wiążą się wkońcu również jakieś węzły czuciowe i czy nie odczuwa on istnienia siły wyższej nad jego szacherki, na którą patrzy również z zabobonnym strachem, — czyż nad nim nie panuje wszechmoc w postaci — giełdy?...

Tak jest z mnóstwem chłopskich właściwości. Te jednak zewnętrzne formy i stemple, nadane przez sferę urodzenia i bytowania, są płaszczyzną, w której się ludzie z sobą stykają, w której siebie spostrzegają, odczuwają i sądzą — i dlatego mają tak przesadne wyobrażenie o wrodzonych różnicach, które ich dzielą. Wszystkie dotychczasowe przebudowy społeczeństwa w stylu demokratycznym, cała demokratyczna liryka literacka i demokratyczna frazeologia życia codziennego, w gruncie rzeczy, nie przeobraziły wcale istoty ludzkich stosunków, nie usunęły wzajemnych uprzedzeń i wstrętów.

Któż się pokłoni ludzkiej duszy, która się tuła przyodziana w potargane katańsko, pokalone gnojem portki i zdarte kierpcyska, kto naprawdę myśli, że to ta sama dusza w panu, który codzień zmienia koszulę w Wojtku, którego »wsy źrejom«? Gdzie są ludzie, którzy zbliżają się do jednego i do drugiego z tą samą ufnością — lub z tem samem uprzedzeniem? Kto się dosłucha głosu wspólności ich dusz, w Wojtka myśli, idącej swemi drogami z prawiecznych ostępów ludzkiego bytu, w jego mowie, płynącej prastaremi łożyskami wiecznie żywego symbolizmu, powstającego przy każ-

dem zetknięciu się umysłu ze zjawiskami życia? Takich, którzy naprawdę o tem wiedzą, jest jeszcze strasznie mało...

Na ogół, chłop oglądany jest, albo z głupkowskim uśmiechem, jako coś zabawnie ciekawego, albo też z niedowierzaniem, nawet ze strachem, gdy z mas ludowych »błyśnie w ogniach twarz człowieka«, gdyż inne grupy społeczne odczuwają w tych masach siły wrogie, z którymi nieuniknioną jest kiedyś ostateczna walka o doszczętną przebudowę ustrojów społecznych, albo też musi być zawartą umowa na podstawie dobrowolnej rezygnacyi.

Pomimo zniesienia pańszczyzny, pomimo »obdarowania« ludu prawami ludzkimi i ziemią, pomimo wreszcie procesu rozsypywania się dotychczasowego układu sił społecznych, procesu, który się streszcza w słowie: *parcelacya*, — istota tej sprawy nie jest załatwioną, ani nie są ukojone żądze i namiętności, które ją kiedyś wytworzyły i które, przeniesione w inne warstwy społeczne — w lud, są siłą, która do rozwiązania tej sprawy musi konieczne dążyć. Tam też, gdzie się budzi świadomość społeczna ludu, na pierwszy plan życia występuje jego walka z tą warstwą społeczeństwa, która odziedziczyła po dawnej szlachcie jej przewagę ekonomiczną — jej nadmiar bogactwa.

Żeby walczyć trzeba mieć odwagę, żeby mieć odwagę czynu, trzeba wierzyć w siebie, swoje siły, swoją wyższość, swoją doskonałość i wartość, nie tylko dla siebie, ale i dla innych. I oto lud, idący walczyć o zniesienie wszystkich przegród prawnych, wszystkich kopców społecznych, wszystkich resztek obyczajowych, które go czynią ludem, chłopską masą — chło-

pe m, — ten sam lud zaczyna idealizować »chłopa«, przeciwstawić go »klice pańskiej«, wmawiać w siebie i innych, że on jeden jest jedyną zdrową częścią narodu, że on jeden, taki, jak jest, jest wcieleniem najlepszych sił ludzkich i on jeden może ojczyznę, zaprzedaną przez panów, wyrwać z niewoli — i że Polska może być tylko ludową — chłopską.

Duch kastowy zaczyna działać w odwrotnym kierunku i działa z siłą prawie taką samą, z jaką działał pierwotnie, wytwarzając dzisiejsze ustroje społeczne. Suma pogardy chłopu dla pana, jest proporcjonalną do pogardy, którą miał pan dla chłopu, a w żądy wyrównania niesprawiedliwości podziału bogactwa, tkwi odwrotna fala żądy, która tę nierówność w życie wcieliła. Są to nieuniknione konsekwencje pierwotnych kamieni węgielnych społecznej budowy: — siły i przemocy, — i dopóki nad nimi nie przejdzie druzgocąca fala nowych dusz, nowej ludzkości, dopóty będą koło nich pnieć się męty walk społecznych.

W tej nieuniknionej samoczci ludu tkwi niebezpieczeństwo dłuższego zastoju milionowych mas ludzkich, na pewnym poziomie zdobytego dobrobytu i praw społeczno-politycznych, zastoju, który może uczynić z polskiego ludu taką bierną masę, tak mało znaczącą w rozwoju ludzkości, jak chłop niemiecki naprzykład, który rzeczywiście zdaje się być w społeczeństwie ludzkim tem, czem specjalne odmiany istot tego samego gatunku, przeznaczone do szczególnych usług, jak to się dzieje u mrówek, pszczoł i termitów. W egoistycznym interesie klas »wyższych« dotąd leży takie obezwładnienie, takie sparaliżowanie biegu procesów rozwojowych w masach, które, gdyby się porwały ku wyższym, do-

skonalszym formom bytu, musiałyby rozwalić wszystkie wiązania dzisiejszych ustrojów społecznych. Ale w interesie ludzkości, która nie zwątpiła doszczętnie w siebie, która ma, choćby w dalekiej przyszłości, urzeczywistnić wyższe treścią i formą życie, w interesie ludzkości jest, by te masy się ruszyły i wydarły się z inercyi duszy, utopionej w przeżuwaniu świadomości spokoju i bezpieczeństwa sytego i zadowolonego zwierzęcia.

Polska, jak ludzkość, nie może być ludową — chłopską, jak nie może i nie powinna być pańską. Ideałem przyszłości musi być, by za pługiem szedł nie chłop — lecz człowiek, stający na najwyższym poziomie, do jakiego istota ludzka wznieść się może. Chłoptwo, jako stan posiadania, musi zniknąć w imię sprawiedliwości społecznej, chłoptwo, jako poziom rozwoju duchowego, musi również zginąć i przeobrazić się na wyższy typ człowieka. Pod nazwą wyższy, nie rozumiem bynajmniej dzisiejszych »warstw wyższych«, tej bardzo jeszcze poziomej odmiany ludzkości, nie rozumiem nawet tych najwyższych, najdoskonalszych, na dziś, ludzi — rozumiem ludzi przyszłości.

Żeby ludzkość dzisiejsza była w stanie świadomie iść w przyszłość, żeby, z dotychczasowego przebiegu życia, umiała wnioskować o koniecznych w przyszłości formach bytu, żeby nie czekała gwałtownych przewrotów, by się opamiętać i ze zdumieniem dowiadywać o nowych siłach, które w jej łonie powstały, zwróciłaby całą moc czynu w tym kierunku, żeby przyspieszyć przeobrażanie się ustrojów społecznych i wewnętrzną przemianę człowieka. Tak jednak nie jest i przeobrażanie to odbywa się drogą kataklizmów, drogą wulkanicznych wybuchów — drogą Rewolucyi. Tak się za-

pewne dzieje i w naturze, lecz człowiek, mając pamięć przeszłości i świadomość swoich potrzeb i celów, mógłby przewidywać przyszłość i kierować się ku niej w każdej chwili, żeby przyszłość ta nie była groźną, dla pewnych dzisiejszych egoizmów, które też, w imię tego, co one nazywają najświętszemi zdobyczami ludzkości, kardynalnemi podstawami państw i społeczeństw, starają się ciągle stawiać jazy i tamy, przed którymi spiętrza się i kłębi nurt życia, dopóki nagłym uderzeniem fali nie zdruzgoce stawianych mu zapór.

Rewolucye przychodzą zawsze za późno i dlatego są tak straszliwe w działaniu.

Ale dziś, jak dawniej, nikt tego nie uświadamia, dziś, jak dawniej, rządzą narodami fikcye państwowych konieczności, przeżytki form i pojęć, i rządzą te pierwiastki ludzkie, które mają najwięcej instynktów i sił pierwotnej fazy wytwarzania się ustrojów społecznych. Nic też dziwnego, że tacy ludzie nie mogą posłyszeć tętna nowych pokoleń, nie mogą pojąć tego, co się nazywa duchem nowych czasów, i nie tylko pojąć — ale nawet dostrzedz jego obecności, dopóki nie spadnie na nich piorunujące uderzenie jego ramienia. Żeby było inaczej, możeby plugawa budowa dzisiejszych państw i społeczeństw, zmieniła się dawno już na szczytny i promienny przybytek wzniosłości i szczęścia.

Dawniej ludzie się mordowali wzajemnie, jak ro-bactwo, którego życie nie ma żadnej wartości, mordowali się całymi narodami w uroczystych dniach wojen i mordowali się w każdej chwili dnia powszedniego, w imię bóstw, w imię sprawiedliwości, w imię kary i zemsty, w imię nienawiści — i w imię miłości nawet. Dziś do morderstwa wprowadzony został »pewien meto-

dyzm, pewna wstydlivość, jakieś zastrzeżenia i ograniczenia, ale dziś, nie ścinając tak często głów i nie rozpruwając żywotów, niszczy się miliony istnień i zabija się miliony dusz, nie rozumiejąc w czym leży ich istotna wartość i nie mogąc tem samem ocenić ich znaczenia dla zbiorowego bytu. Potworność warunków tego bytu, wynikająca z ustroju społecznego i gruba, ciemna dzikość w pojmowaniu i ocenianiu ludzkich dusz, druzgocą w nich bezcenne skarby cudnych przymiotów i zsypują pokaleczone, wyłamane, potargane ich strzępy i resztki na śmietniki odpadków życia.

Na taki śmietnik rzucił też los Wojtka — na upodlenie i zgnicie. Ale on się nie poddał i do ostatniego tchu bronił swojej hardej i niezależnej duszy przed rozkładowem działaniem nędzy, poniewierki i najstraszniejszej dla duszy ludzkiej trucizny: — konieczności przyjęcia z pokornym uśmiechem jałmużny rzuconej z pogardą.

Życie jego przeszło pod naporem wszelkich form ucisku, jakie mogą człowieka dotknąć. Państwo i społeczeństwo trzymały go w pętach ograniczeń prawnych, ekonomicznych i obyczajowych, dławił go bezwład i ciasnota bytu sfery społecznej, do której należał; nalegały nań siły wyższe, przemocą zjawisk żywiołowych, z którymi musiał walczyć, lub znosić je z rezygnacją, — wkońcu, kiedy z utratą własności, przestał być cyfrą w rachunku siły podatkowej, znalazł się poza społeczeństwem i stanął pod pręgierzem pogardy, która spada na nędzarza i waryata — na dziada i głupiego.

Wtedy to Wojtek przekonał się, że: — Krzyż jest dobry, ino najciężej go nosić. I niósł, a nie poddał się przemocy straszliwego losu, który go spychał w dół upodlenia.

W miarę, jak jego umysł, z latami, wychodził z rzeczywistego obłądu, który go ogarnął wskutek straszliwego zbitcia i okaleczenia, Wojtek myślał coraz jaśniej i głębiej i coraz bardziej się cieszył ludźmi, którzy go chcieli wysłuchać i umieli mu współczuć. Myśl jego, w granicach kilku zasadniczych pojęć o życiu, przeznaczeniu i przyczynie wszystkiego, snuła nieraz zadziwiające kojarzenia obrazów i wyobrażeń i docierała coraz bliżej najistotniejszych prawd o wartości ludzkiego istnienia.

To, co czuł i myślał, wypowiadał Wojtek, nie troszcząc się o prawidła stylu, o których na szczęście nic nie wiedział, lecz wypowiadał tak, jak ludzie żywiołowo szczerzy, u których słowa są koniecznym głosem duszy, — to jest tak, jak przemawia każda istotna poezya.

Oto, co mówił raz Wojtek przed kimś sobie życzliwym, przed kimś, kto chętnie chciał wysłuchać głosu jego duszy i umiał jej współczuć: —

— Obłoki się otwierały, jako tu u was dźwirze do pokoja, do piątego razu się odmykały do nieba. A wicie co to niebo?

Jak się niebo zamkło, upadł na ziem krzyz. A ja podnios ten krzyz, bo zaden nie kciał go dźwignąć. Telo głupik wte było, co i dziś!

Krzyza to nie miał kto podnieść, to ja go wzion ten krzyz i podźwignon i poseł z krzyzem po świecie.. A kazdy na mnie do dziśka woła: tyś głupi, tyś głupi! Tak mnie wej wysło!..

A kieś ty mądry, cemuś ty nie wzion krzyza, nie wzion i nie poniós, tylkoś me do śmierzci zabił? —
»Zje to mój las, zje to mój las, zje to moja ziemia!« —

A to nie twój las, nie twój las, ani nie mój las, ino Boski, i ta ziemiecka święta nie twoja, nie twoja, ani nie moja, — ino Boska...

A jak się zamkły obłoki, to tak łupło!

A łańcuch leciał na ziem, a jak doleciał, to zgasnął, bo był tak, jakby z ognia. Jak gwiazda jasna, to ten łańcuch był jesce jaśniejszy, bo hrubszy był, to więcej świecił, — a gwiazdecka maleńka — malučka.

A głupi nie wiedzieli, co to niebo wskazywało. Jeden głupi krzycał: — Bedzie mór! — drugi głupi krzycał: — Bedzie wojna! — trzeci głupi krzycał: — Bedzie głód! A to niebo wskazywowało skarby: lase, ziemie, wody, sól.

— Gandareczku! A śrybła, złota nie wskazywowało niebo?

— Cicho! cicho ze bądźcie! Nie mówcie nic, coby nas głupi nie słyseli! My tu dziś ino sami dwa mądrzy! Słuchajcie, jako wam powiem: Śrybła, złota człowiekowi nie trza. Śrybło, złoto, to ino z dyjabła, to jest dyjabelska rzecz.

Pan Bóg dał człowiekowi sytko, sytko, co mu trza. Oj! Ino, ze człowiek głupi i leniwy i robić nie kce... A ja wse pracował, telok dorobiony, co cud! Oj! A was kto wychował? Coby nie ja, coby nie moja praca, aniby was juz dziś na tym świecie nie było dawno! Oj!

Słuchajcie ze, jako wam mówiem. Pan Bóg dał człowiekowi te ziem świętom. — W imie Ojca i Syna i Duka świętego. Jamen. I ku temu dał Pan Bóg człowiekowi jesce lase, wody, ziemie i sól — więcej nic nie trza. Pan Bóg najlepiej wi, co człowiekowi trza, a śrybła, złota mu nie dał. Ino dyjabeł mu dał śrybło, złoto, coby jego duse zagubić! Oj! Coby jego duse zabrać! Oj!

A jako mnie wte zabili! Oj! — »Zje to jego, zje to jego«. — A to sytko ino z dyjabła. A kazdy krzycał: — »Zje to moje, zje to moje!« — a to nie twoje, nie twoje, ino Boskie. Kazdy krzycał: — »Zabije cie, zabije cie!« — i mnie wte zabili w tym lesie.

A Pan Jezus i Matka Boska, ino rąčke podnieśli, a ja skoczył zyw, a był juz zabity, — nik mnie światu nie sądził!

I dziś mnie nazywajom głupim!

Głupi, głupi! A com widział, a com widział w śpytalu! A com widział w hareście! A przy wojnie — krwie! Oj!

A na co ta wojna? Na to, ze głupi naród.

A na co śpytal? Na to, ze lenistwo, ze niecystość, ze obzarstwo.

A na co hareśty? Na to, ze nik nie kce pracować, ino żryć.

A ty cierp i pracuj!

.....

1907.

VI.

KWIATKI ŚWIĘTEGO FRANCISKA

(FIORETTI DI SAN FRANCESCO)

WIEK XIII.

TŁÓM. Z WŁOSKIEGO.

KWIATKI ŚWIĘTEGO FRANCISKA.

ROZDZIAŁ XXI.

Wilcasek z Gubbio.

Kie Śty Francisek siedział w Gubbio, w Nietalii, wzieno się hań kansi okrutne wilcysko, brzyćkie i zajadliwe telo, co nie tak, coby ino statek, ale i ludzi tępiło, a nieraz do samego miasta się pchało, co ludzie nie śmieli wyźreć w pole przez flinty. Takbyś pedział, jako na wojnie. Kie sie przytrafiło iść ka samemu, nie mógę się ani obronić; — juści zestrasyli się ludzie telo, co nik nie śmiał z miasta wyńść.

Śty Francisek, bardz ten hań naród rad widział i, choć go ludzie jako odmawiali, zabrał sie iść ku temu wilkowi. Przegęnał sie, zmówił pociorek i wyseł z miasta z towarzysami. Ale im sie to nie widziało — ostali, a Śty Francisek poseł sam, ka wilk bywał. I dobrze, idzie wilk na proci, ozdziawił kufe, a Śty Francisek go przegęnał i pozwał ku sobi.

— Pódźze haw wilcasku, bracisku! Ozkazujem ci od Pana Jezusa, cobyś ani mnie, ani nikomu na prok despetu nie cynił.

Ludzie na świecie! Skoro go Śty Francisek przegnał, wilcysko, choć jako brzyćkie, zawarło kufe, ustało lecieć, przysło grzecnie, jako jagnie i lógło se przy nogak Śtego Franciska.

Juźci Śty Francisek pada mu tak: — Słuchaj wilku! Narobiłeś haw straśnyk łajdactw i skody moc, pomordowałeś boskie stworzenia, przez boskiego podzwoleństwa, i nie tak, cobyś ino dźwirzęta bił i zał, aleś telo śmiały, coś ludzi, na podobieństwo boskie stworzonyk tępił. Złodziej jesteś, łajdus, gałgoś morderca brzyćki, i wartes ino wisieć. Ludzie na cie krzycom, pomstujom i syćka w tem haw mieście nie radzi cie widzom. Radbyk przecie wilku, coby, pomiędzy wami, była zgoda, cobyś ludziom więcy despetu nie robił, coby ci ludzie odpuścili krzywdy, coś im ucynił, i coby nik, ani z ludzi, ani z psów cie nie prześladował.

Skoro Śty Francisek tak mu nakazował, juźci wilcasek, biedacek, jako móg, ogone i łbe, starał sie pedzieć, co on na to przystaje, co sie juz tego prawa trzymał bedzie.

Toz to Śty Francisek rzece: — No, mój wilcasku, kie mas wolom w zgodzie żyć i prawa dotrzymać, obiecujem ci, co cie od syćkiego złego obroniem, po-kiel bedzies haw w tym kraju, pomiędzy ludziami, żyć. Nie bedzies więcy z głodu mreć — bo ja juz wiem, coś sie ino bez ten głód złego zycia chycił. Ale, kie juz ci ludzie winy odpuscom, musis i ty obiecować, co nika nikomu do gardła nie skocys, cy ta z ludzi, cy z dźwirząt. Cy mi przyrzekas? Wilk, ale to wyraźnie,

łbe kiwie, co on juz przyrzeka. A Śty Francisek pada mu: — Cobyś mi wilku poręczył, jako wykonas, coś obiecował, cobyk ci móg do znaku wierzyć. I Śty Francisek wyciągnon rękę ku wilkowi, a wilk prawom łape grzecnie mu na rękę położył, aby jako dać znak, co on juz za sie ręcy.

No, kie tak, jużci Śty Francisek rzece: — Wilku, oskazujem ci w imie Pana Jezusa, cobyś hnetki, nie mieskajęcy se mnom seł. Pódziemy ucynić zgodę w imie boskie.

Nie sprociwił sie wilk, wybierał się hnet i poseł se ś nim grzecnie, jak jagnie. Cudowali sie ludzie, widzęcy, jako oba wraz śli, — ozešla sie gwara o tem po mieście i syčka: chłopi, baby, dzieciska, ka jaki cłek wielgi, cy to mały, stary, cy to młody, — syčka sie pchali, coby użreć Śtego Franciska z wilke.

Kie sie juz wielga cyrniawa narodu zebrała, wlaź Śty Francisek na wonte, co juz bedzie kazał. Jużci gwarzył, jako za grzechy ludzkie, Pan Bóg takie nieścęście dopuścił, ino co to nie nawiękse, bo watra w piekle, w której bedom gorzeć na wieki grześnicy, jesce strasniejsa, niżli złość wilca. — I co ta wilk! On ino ciało zdole potargać. Weźcie se do głowy, pada, kie z gardła jednego płonego dźwirza teli strach na was wyjechał, coście sie jaze trzęśli, jakoz macie sie bać gardła piekielnego. Moi ludzie kochani, obróćcie sie ku Panu Bogu, załujcie za grzechy wase, a Pan Jezus sie zlutuje i ustrzeze was hawok od wilka, a haniok od ognia piekielnego.

Kie juz skończył kazanie, jesce im napedział tak:

— Słuchajcie me moi brackowicze! Wilcasek, co je haw przed wami, przyrzekł i zaręczył, co juz bedzie

z wami żył w zgodzie i nigdy, nika, nijakiej krzywdy w nicem wam nie ucyni. Musicie mu za to przyrzec, co mu codzień dacie wyzywienie, co ino mu trza, a ja bedem za rękownika, co on słowa dotrzymie i jako pedział wykona. — Juści syćka jednym głosem przyrzekli dawać wilkowi jadło, jaze do końca jego zycia.

A Śty Francisek przy całym narodzie rzece:

— A ty wilku, cy obiecujes dotrzymać ś nimi zgody i nie ruszyć ani ludzi, ani bydłatka, ani nijakiej stwory? — Juści wilk klęknon grzecznie, pochylił łeb i upochlebiał ogone i usami, kielo zdoleł, co juz kce tej zgody dotrzymać.

Na ostatek Śty Francisek pada: — Mój wilcasku, radbyk, cobyś, jakoś w polu za się ręcył, cobyś haw, przed całym narodem poręcył, co me nie przewiedzies, nie ocyganis i do hańby nie przywiedzies.

Toz to moje wilcătko prawom łape podniosło i na ręce Śgo Franciska położyło.

He raty! Kie to ludzie uwidzieli, dopiero sie ciesyli z telego cudu, a błogosławili Śtego Franciska, a dziękowali Panu Jezusowi, co im takiego Świętego nagodził, co ik z gardła telego okrutnego dźwirza uratował.

Toz to pote wilk w onem Gubbio żył cosi dwa roki. Chodził se ka fciał, właził do chałup, pchał sie od dźwirzy do dźwirzy, nika, nikany, nikomu nijakiej krzywdy nie cynił, — ale to nigdy — przenigdy, ani jemu tyz nik, a syćkiego miał po gardło, bo go ludzie hań bardz radzi widzieli i zywili grzecznie, a ani jeden pies go nie zaciepiał, ani nań nie scekał, kie sie tak wiódł bez ulice.

Naostatek, po dwok latak zmarło sie wilcaskowi ze starości. Zbanowali se ludzi i bardz go załowali, bo kie go widzieli tak miłosiernie bez miasto idącego, to se zbacowali, kielo to dobry i bogobojny był Święty Francisek.

25 Kwietnia 1904.

ROZDZIAŁ VIII.

Jako idący drogą z Brate Leone Śty Francisek nauczył go, jakie to są najdoskonalsze radości.

Seł se Śty Francisek z Brate Leone z Perudzyi do Śtej Maryi jamielskiej, i ziąb ik przeimał godnie, bo to była zima. Jużci pozwał Śty Francisek ku sobie Brata Leona, co se seł po za nim i rzece: — Bracie Leonie, choćby nawet przysło do tego, coby Bracia mniejsi po syćkiej ziemi dawali przykład świętobliwości i pobożności, zapis se i pomiarkuj se dokumentnie, co to nie jest nalepsa radość.

Po kwili, idący dalej, znowu pozwał go ku sobie i powtarza: — O, Bracie Leonie! Choćby Bracia mniejsi oświecali ciemnyk, lecyli nawiedzonyk, wyganiali złe duki, choćby wracali słuk głuchym i chódze kulawym, i mowe miemym, i co je jest rzec jesce cudniejsza, coby wskrzesali nieboscyków, jaze po ćwiorgu dniak, zapis, co to wcale nie jest nadoskonalsa radość.

Malučko uśli dalej, znów Śty Francisek woła głośno: — I coby Bracia mniejsi gadali syćkiemi gwarami i przeznali wselinijakie mądrości i syćkie Pisma święte,

i, coby, nie tylko prorokowali jako ma być, ale coby nawet przeznali całom tajemność sumienia i dusy, zapis se, co w tem wcale nimas nalepsej radości.

Idęcy dalej, znów wzion Śty Francisek wołać: — O, Bracie Leonie! owiecko boza! choćby ta bracia galdali jamielskom mowom i przeznali ka idom i ka sie wrócom gwiazdy i wyrozumieli dowody wselinijakiego ziela i mogli odkryć syćkie skarby ziemi i przeznali dowody ptaków i ryb i syćkik dźwirząt i ludzi i drzew i skali i korzeni i wód, — zapis se, co w tem wcale nimas doskonałej radości.

I po kwili, idęcy Śty Francisek jesce raz wołał głośno: — O, Bracie Leonie! i choćby Bracia mniejsi umieli tak piknie kazać, tak mądrze nauczać, coby nawrócili syćkik pogan na wiare Chrystusa Pana, — zapis se, co i w tem nimas najdoskonalsej radości.

Juźci, kie tak bez dwie mile idęcy, mówił, Brat Leon zcudował sie straśnie i rzece: — Ojce, prosem cie w imie Pana Boga, cobyś z łaski swojej pedział, kaz to je jest ta nalepsa radość?

Śty Francisek odpediał mu tak: — Kie przyńdziemy do Śtej Maryi jamielskiej całke stoplani w tej lici, zgliwiali od mrozu, pokalani błote i lemze zywi od głodu, i zburzymy do dźwirzy i wyńdzie furtyjan, oze wre i spyta: — Coście za jedni? — i my rzecemy: — My som jest dwok wasyk bratów, a on nam powie: — Śklicie! jesteście gałgosie, co goniom drógami i świat cyganiom i kradnom jałmuzne biedaków — uchylcie sie prec! I nie da sie nijako przekonać i wyzenie nas do pola w telom mokwe, w teli ziąb, głód i ćmok, i kie my wte, nie bacęcy na telom okrutność, telom zniewage i trubacyjom, zniesiemy syćko cierpliwie, przez złości, nie

pomstując na niego i będziemy pokornie se myśleć, co ten furtyjan do nas sie przyznał, co to sam Pan Jezus kazał do nas tak gadać. O, Bracie Leonie! — zapis se co to je jest nadoskonalsa radość!

I kie my będziemy dalej naremnie do dźwirzy burzyć, a on wypadnie na nas w złości i jak ostatnik obiesi doklnie i obruci gnoje i będzie wrzescał, mówięcy: — Póďte se s tela łotry brzyćkie, idźcie se do śpytala, nie będzie haw nikt was karmić, ani spać nie da! — a my będziemy go ino słuhać cierpliwie i wesoło, o, Bracie Leonie! zapis se, co to je jest ta nadoskonalsa radość.

I kie my, coby jako sie zatulić przed nocom i przed ziąbem, i coby jako sie pozywić, będziemy wse burzyć i pytać, na lutość bozkom, jejcący, coby sie on zlutował i puścił do nuka, i kie on wyjedzie na nas z jesse więksom złościom i będzie krzycał: — Nie bedom to ino huncwuty najostatniejse! hnet ja tu wam wypłace, jako się wam nalezy! — i skocy na nas z kijem sękatym i chyci za kaptury, praśnie o ziem i^utarza w śniegu i dobije, kielo sam zekce, i, kie my zniesiemy syćko to cierpliwie i z radością, jako dane od Pana Jezusa, błogostawione cierpienie, co go mamy cierpliwie dla Jego miłości, znosić, o Bracie Leonie! zapis se, co to je jest ta nadoskonalsa radość i wymiarkuj se, bez co to tak ma być i bez co to je jest prawda: Ze syćkik łask i darów Duka Świętego, Pan Jezus oddał przyjaciołom swoim: przezwycięzanie siebie i chętne, dla miłości Chrystusa Pana, znoszenie obelg, znekania się i obmowy, nie mamy sie tez z innyk darów boskik kwalić, bo nie som nase — ba bozkie. Jako pedział Apostoł: — Cóz mas, cegobyś nie miał od Pana Boga, a kie mas od Pana

Boga, bez cóz Go nie kwalis tak, jakobyś sie kualił, kiebyś miał od sobi? A z krzyza trubacyje i cierpienia mozemy sie ciesyć, bo je jest naski. I bez to pedział Apostoł: — Nie kcem sie ciesyć, ino krzyzem Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Lovrana, 1904, Grudzień.

ROZDZIAŁ IV.

Jako jamioł bozki zadał jedno pytanie Bratu Helijosowi, przelozonemu jednego klastoru w dolinie Spoleto, i jako mu Brat Helijos odpedział niegrzecnie, i on se poseł drogom, ku Świątemu Jakóbowi, kany sie zeseł z Brate Bernarde i całom historyjom mu ozpedział.

Z samego kraju i początku Zakonu, kie jesce było nie moc Braci i nie było pozakładanyk domów, Świąty Francisek, bez swojom pobożność, seł do Śtego Jakóba w Galicii i wiód ze sobom kilkoro Bratów, a pomiędzy nimi Brata Bernarda. I idący se tak drogom wraz, przyšli w jedno miejsce, kany našli jakiegosi biedacka chorego. Juźci Śty Francisek zlutował sie nad nim i rzece do Brata Bernarda: — Synasku, radbyk, cobyś haw ostał i temu choremu posługował. Brat Bernard pokorniućko ukląkł, schylił głowe, usłuchnon oskazu Ojca świętego i ostał hań w tem miejscu, a Śty Francisek z restom towarzysy pošli do Śtego Jakóba. Kie hań przyseł i bez noc sie modlił w kościele Śtego Jakóba, objawił mu Pan Bóg, coby zakładał moc domów, het po świecie, bo jego Zakon ma się ozwijać i wielka moc Braci doń

przystanie. I od tego objawienia wzion Śty Francisek zakładać domy po różnyk krajak.

Wracający tom samom drogom naseł Śty Francisek Brata Bernarda i ónego chorego, z którym go ostawił, całkiem zdrowiućkiego. Pote, na przysły rok, posłał Śty Francisek Brata Bernarda do Śtego Jakóba.

Kie sie zaś wrócił sam do doliny Spoleto, siedział hań w takiej pustaci z Brate Maseo i Brate Heljose, i jesce ta z któremisi Bratami. Syćka oni pilnie patrzyli, coby nie mitrężyć i nie przeskadzać Śtemu Franciskowi kie sie modlił, bez to, co go bardz sanowali i bez to, co wiedzieli, kiele wielgie rzecy Pan Bóg mu objawiał, kie on sie modlił.

Juźci jednego dnia, kie Śty Francisek mówił se paciorki w lesie, jakisi pikny chłopasek, przyodziaty po wędrownemu, przyseł ku dźwirzom domu i zburzył mocno, naremnie i telo długo, co sie Bracia moc zcudowali telemu niezwycajnemu burzeniu. Wyseł Brat Maseo ku dźwirzom, ozwarł i rzece temu chłopaskowi: — Skąd idzies synasku, widno, coś haw nigdy nie był, boś i do dźwirzy burzył nie tak, jako trza. — Juźci chłopasek pyta: — Zje jakoz to trza burzyć? — A Brat Maseo mu pada: — Zburz trzy razy, raz po razu, pote cekaj, jaze Brat zmówi pociorek i wyńdzie ku tobi, a kie bez teli cas nie wyńdzie, zburz se po raz drugi: — A chłopasek mu pada: — Bardz mi pilno i bez to takek naremnie burzył, bo idem w okrutnom drogę, a hawok przysełek, coby przegadać z Brate Franciske, ale on w lesie sie modli i nie kcem go mieskać, ale pódź i pozwij Brata Helijosa, mam tyz go o cosi spytać, bok słytał, co on je jest bardz mądry. — Juźci Brat Maseo pódzi do Brata Helijosa i powiada mu, coby wyseł ku

temu chłopaskowi. Ale Brat Helijos sie ozgniewał i nie kciał wyńść. Sturbował sie Brat Maseo, nie wiedzący, jako ma być. No, bo, kie powi, co Brat Helijos nie moze wyńść — skłamie, — kie zaś powi, co Brat Helijos ozezłut sie i nie kce wyńść — bedzie zgorsenie. Tymcasem, zakiel Brat Maseo namysłił sie obrócić, chłopasek zburzył drugi raz, jako i przódzi. Po kwili wyseł Brat Maseo ku dźwirzom i rzece: — Bez cóześ nie usłuchnon, jakiek cie ucył burzyć? — A chłopasek mu pada: — Brat Helijos nie kce wyńść ku mnie, ale pódz i powiedz Bratu Franciskowi, cok haw przyseł ś nim przegadać, ino nie kcem mu w modlitwie przeskadzać, niekze pośle ku mnie Brata Helijosa.

Posel Brat Maseo do Śtego Franciska, co sie hań w lesie modlił z twarzom wzniesionom ku niebu, i pedział mu, o co pytoł chłopasek i jako mu zrobił Brat Helijos, i co ten chłopasek nie bedzie nik inny, ino jamioł bozki w cłowiecej postaci. Toz to Śty Francisek, nie rusajęcy sie z miejsca, ani nie opuscajęcy twarzy, rzece: — Pódz i powiedz Bratu Helijosowi, coby bez posłuseństwo, nie mieskajęcy, hnet seł ku temu chłopaskowi.

Kie usłysał oskaz Śtego Franciska, Brat Helijos, moc porusony w sobie, wyseł, z wielgom naremnościom i hałasem ozwarł dźwirze i pada do chłopaska: — Cego kces? — Jużci chłopasek mu rzece: — Waruj się Bracie, cobyś nie był taki ozgniewany, jako sie wydajes, od złości mirknie dusa i nie bedzies wiedział ka prawda. — A Brat Helijos ino pada: — Powiedz mi, cego ty kces odemnie? — Chłopasek rzece: — Pytam cie, powiedz, cy wierzący w Świętom Jewangelijom mogom jeść syćko, co sie przed nimi najdzie, jako Pan

Jezus powiedział uczniom swoim, i pytam cie jesse, cy nijakiemu człowiekowi nie wolno postanawiać rzeczy, co som jest prociwne prawu Jewangelji? — Juźci Brat Helijos odpedział mu hardo: — Dobrze wim, jako ma być, ale odpowiadał tobi nie będem, — idź se, ka ci trza. — Na to rzece chłopasek: — Wiedziałyb lepiej odpedzieć, niżli ty.

Toz to Brat Helijos zgniewał się, z wściekłościom zatrzasnon dźwirze i poseł se. Ale pote wzion medytować nad tem pytaniem, i zwątpił, i nie wiedział, jako to osądzić. No, bo on był, jako wikaryi w Zakonie, i wydał takie prawo, coby ani jeden z Bratów nigdy misa nie jad, — a to jest prociwne i Jewangelji i Regule Świętego Franciska. Bez to tez ono pytanie chłopaska było mu prociwne. Juźci, nie mogący sam tego wyrozumieć i bacący na skromność tego chłopaska i na to, co on pedział, jako mógłby lepiej, niżli on, Helijos, na to pytanie odrzec, wrócił się ku dźwirzom i kciał go spytać skrony tej rzeczy — ale ten sie juz zabrał i poseł, bo tez hardość Brata Helijosa niegodna była mówić z jamiole.

Kie sie to stało, Śty Francisek, któremu Pan Bóg syćko to objawił, wrócił z lasa i mocno, wielgim głosem strófwował Brata Helijosa: — Żleś uczynił, hardy Bracie Heliosie, coś odegnał od nas świętyk jamiołów, co haw przychodzili, coby nas naucać. Mówiem ci, co sie bardz bojem, cobyś bez twojom hardość nie skończył ka inendy, niz w tym Zakonie. — Tako tez sie i stało, jako Śty Francisek mówił, bo Brat Helijos umarł daleko od Zakonu.

I w tym samym dniu, o tej samiuckiej godzinie i w tej samiuckiej postaci, ukazał się jamioł Bratu Ber-

nardowi, co se seł z powrote od Śtego Jakóba i stał na brzegu wielgiej wody. Pozdrówkał go jamioł swojom gwarom, mówięcy: — Boze ci pomóz, dobry Bracie Bernardzie. — Zcudował sie strześnie dobry Brat Bernard, pomiarkował se jego pikność i to, co on go pozwał po imieniu i zbacył se jego miłosierne pozdrówkanie i jego twarz miłom, i spytał: — Skąd idzies dobry chłospasku? — Idem hań z niedalekiego miejsca, ka mieska Śty Francisek, sełek hań, coby ś nim przegadać, alek ni móg, bo on w lesie ozmyśluje nad rzeczami boskimi i nie kciałek go mitrężyć. I haniok tyz som jest Brat Maseo, Brat Jegidzi i Brat Helijos, i Brat Maseo nau-cył me, jako mam burzyć do dźwirzy podla ik zwyku; ale Brat Helijos zaś nie kciał odpdzieć na moje pyta-nie, — pote się obacył i kciał me uwidzieć i przega-dać — ale juz nie zdoleł.

Kie tak rzekł jamioł, pote pytał Brata Bernarda:

— Bez cóz nie idzies na te hań strone? — Bojem sie, bo zaś widzem kielo głęboka je woda — odpdział Brat Bernard. — Juźci mówi mu jamioł: — Pódzmy wraz — nie bój sie nic. — I wzion go za rękę i w ocy-mgnieniu przewiód na drugom strone rzeki.

Toz to Brat Bernard przyznał się doń, co to je jest jamioł bozki i z wielkiem usanowaniem i radościom rzece głośno: — O jamiele błogosławiony od Boga, po-wiedz mi, jako cie wołajom? — Jamioł mu odpdział: — Bez cóz pytas, jako me wołajom? — Wołajom me Cu-downy. Lemze to rzekł jamioł i hnetki juz zginął i ostawił Brata Bernarda telo uciesonym, co juz bez całom drogę sie wiód w wielkiej radości i zbacował se dzień i godzine, kie mu sie jamioł ukazał. Skoro przy-

seł w to miejsce, kany był Śty Francisek z towarzy-
sami, ozpedział im syćko, kraj krajem, i wymiarkowali
se wte pewniučko, jako ten sam jamioł, w tym samym
dniu i o tej samej godzinie, ukazał sie, jako im, tako
i jemu.

Lovrana, Styczeń, 1905.

ROZDZIAŁ XII.

Jako Święta Klara jadła ze Śtym Franciskiem i jego towarzyszami, Braćmi, wraz, u Śtej Maryi jamielskiej.

Kie Śty Francisek bywał w Asyżu, wse odwiedzał Śtom Klare, dający jej świątobliwe nauki. I ona miała wielgom wole, coby choć jeden raz jeść s nim wraz, ale, choć go jako o to pytała, po wiele razy, nie kciał na to przystać, coby jej te ucieche ucynić. Jużci jego towarzysze, widzący telom chęć Śtej Klary, mówili doń: — Ojce, my se miarkujemy, co tela twoja surowość nie jest podła miłosierdzia bożkiego. Jakoz by to miało być, cobyś ty nie usłuchnon prośby Śtej Klary, panienki telo świętej i Bogu oddanej, w telo maluńskiej rzeczy, jako jedzenie z tobom wraz? A i to przecie trza se zbacyć, co przecie bez twoje naucanie, porzuciła ona tele bogactwa i chwałę świata. Po prawdzie rzec, coby ona o kielo więksom, niżli ta, łaske, pytała, miałbyś jom ucynić dla tej gałązki twojej dusy. — Toz to Śty Francisek pada: — Miarkujecie, co mam prośbe jej spełnić? — A towarzysze rzekli: — Tak Ojce, godna jest je rzec, cobyś jej te łaske i radość ucynił. — Kie tak,

Śty Francisek rzece, kie wam sie tak widzi, to i mnie tak sie widzi — jako wy, tako ja. Ino, coby ona miała jesce więksom ucieche, trza, coby to jedzenie było u Śtej Maryi jamielskiej. Ona tele casy jest zawarta u Śtego Damiana, toz to miło jej bedzie užreć Śtom Maryjom jamielskom, ka była postrzyzona, oblecona i stała sie oblubienicom Pana Jezusa — haniok bedziemy se jeść, w imie bozkie.

Jako se tak pomiarkował i upostanawiał, toz to Śta Klara wysła z klastoru z jednom towarzyskom i towarzysami Śtego Franciska i przysła do Śtej Maryi jamielskiej, i napirwy powitała Naświetsom Panienke przed ołtarze, ka była postrzyzona i oblecona, a pote wiedli sie, oglądający syćko, kraj krajem, jaze przysła pora śniadać. Toz to Śty Francisek kazał przysposobić wrzekomo stół do jedzenia, ale to było na gołej ziemi, jako u nik był taki zwyk. I dobrze, kie przysła pora śniadać, Śty Francisek ze Śtom Klarom usiedli se wraz, a przy nik jeden z Bratów i towarzyska Śtej Klary, a dalej syćka inni Bracia, usiedli se pokorniućko. I na pierwsom potrawe Śty Francisek wzion mówić o Panu Bogu telo słodko, telo wzniośle, telo cudnie, co bez moc łaski bozkiej, co na nik stąpiła, syćka byli rzekomo w Bogu zachwyceni. I kie tak ostali z oczami i rękami ku niebu wzniesionemi, ludzie z Asyzu i z Bethanii i hań z całej dziedziny dookoła, uwidzieli, co Śta Maryja jamielska i cała dziedzina i las, co wte hań rósł, syćko gorzało mocno, i tak sie zdało, co to wielga watra ogarnena i kościoł i dziedzine i las, syćko razem. Toz to ludzie z Asyzu lecieli hań wartko gasić ogień — no, bo im sie zdajało, co syćko gore. Ale, kie sie tam zbiegli i nie widzieli nika nic, coby gorzało, wešli do

nuka i ujrzeni Śtego Franciska ze Śtom Klarom i całom ik kompanijom, jako byli zachwyceni w Bogu i siedzieli se około tego popłoniatego stołu. Juźci pomiarkowali se, co to je jest światłość, którą Bóg ik cudownie oświecił, coby objawić i ukazać ogień bozkiej miłości, który gorzał w dusak tyk świętyk Bratów i świętyk Sióstr. Toz to odešli z tela z wielgom uciechom i ze świętem zbudowaniem w sercak. Po długim casie, opamiętali sie Śty Francisek i Śta Klara i syčka inni i telo byli skrzepieni tom strawom dusy, co ani nie dbali o warze dla ciała.

Kie juz to błogostawione śniadanie sie skończyło, Śta Klara, piknie przeprowadzona, wróciła do Śtego Damiana. Uradowały sie tez Siostry, kie jom uwidziały! Juźci sie bały, coby Śty Francisek nie posłał jom ka inendy, rządzić w drugim klastorze, jako posłał Siōstre Jagniesie, świętom jej siostrzycke, coby rządziła klastorem w Monticelli, we Florencyi. No, bo Śty Francisek raz pedział do Śty Klary: — Sykuj sie, cobyś była gotowa, bo trza bedzie, cobym cie w jedno miejsce posłał. A ona, jako córecka świętego posłuseństwa, odpediała: — Ojce, wse jestem gotowa iść, ka mi oskazecie.

Straśnie tez ta radowały sie Siostry, kie ku nim wróciła. A Śta Klara ucisyła sie i ostała w wielkiej radości.

Lovrana, 1905, Styczeń.

ROZDZIAŁ XXXIV.

*Jako Święty Ludwik, król francuzki we własnej osobie,
poseł w pielgrzymskiej odzieży do Perudzyi, coby zażreć
na Stego Brata Jegidziego.*

Śty Ludwik, król francuzki, seł se po świecie, rzekomo pielgrzym, nawiedzający miejsca święte, i dosta doń gwara o wielkiej świętości Brata Jegidziego, co był jesce z pomiędzy napiersyk towarzysy Śtego Francisca, juźci wziena go chęć i upostanawiał se, coby nań zażreć. Poseł tez ta do Perudzyi, ka Brat Jegidzi siedział. Przysel ku bramie klastornej rzekomo nieznaný biedny pielgrzym, nie moc tez mający towarzysy ze sobom, i strasnie pytał o Brata Jegidziego, ale nie pedział furtyjanowi nic, kto zaś jest ten, co pyta. Pódź furtyjan do Brata Jegidziego i pada mu, jako u bramy ceka nań pielgrzym, — a ten juz wiedział z bozkiego natchnienia, co to był król francuski. Toz to z wielgom zarliwościom wysel warciućko ze swojej celi, biezy ku bramie, i, ani o nic nie pytający, i choć nigdy, nika jeden drugiego nie widzieli, padli obaj na kolana, obłąpili sie i ucałowali z tak wielgom serdecnościami, kieby juz od kiela casy byli ze sobom w przyjacieli-

stwie. I bez cały ten cas nie rzekli nic, ani jeden, ani drugi, ino sie tak obejmowali z wielgom cułom miłościom, milcący. I kie juz tak bez długi cas sie trzymali, nie mówięcy sobie ani słówecka, na ostatek sie rozstali, — i Śty Ludwik poseł se w swojom droge, a Brat Jegidzi obrócił sie do swojej celi.

Skoro król odeset, jeden z Bratów pytał drugiego towarzysza, kto zaś był ten, co tak bardzo ściskał Brata Jegidziego. Toz to ten mu odpediał, co to je jest król francuzki, co przyseł zażreć na Brata Jegidziego. Juźci ten Brat pedział to innym i syćka bardz zbanowali, co Brat Jegidzi nic, ani słowa ś nim nie przegadał i tacy strubowani pedajom mu: — O, Bracie Jegidzi! bez cóżeś był telo niegrzecny? Telo święty król jaze z Francyi przyseł na cie zażreć i uslyseć od ciebie choć, kiele tele, dobre słowo, a tyś mu nie pedział nic? — A Brat Jegidzi pada im tak: — Moi mili braciskowie, nie cudujcie sie nic, bo ani on do mnie, ani ja do niego nie mógek rzec ani słowa. Skoro my sie objeli, światło mądrości odkryło i ukazało mnie jego serce, a jemu moje, jaze do nuka. I tak bez moc bozkom patrzący w nase serca, przeznaliśmy lepiej, co jeden drugiemu kciał rzec, niżli byśmy mówili to ustami, i więksom mieliśmy uciechę, niżli byśmy mieli, kiebyśmy kcieli wypowiedzieć to głosem, cośmy culi w nasyk sercak. Bez ułomność ludzkiego języka, co nie zdole jasno wyrazić tajemnyk cudów Boga, mogłoby się stać, co zamiast uciechy, byłoby ino zmarwienie dla nas. Wiedźcie tez co król poseł z tela cudownie uciesony i z pokrzepionom dusom.

1907, Styczeń.

VII.
JĘDREK CAJKA.

JĘDREK CAJKA.

W Jędrku Cajce kipiła nieokiełzana moc namiętnego życia. Jak z waru, gotującego się kotła, dobywają się gorące szumowiny i bryzgi, tak z niego, wydzierał się, przez brzegi, żar szalonego temperamentu, który go niósł bez pamięci za każdym wrażeniem, każdym pragnieniem, każdym celem, lub bez żadnego celu. Zdawało się, że w nim szamocze się siła, niezależna od jego woli i chęci, jakaś »nierówna moc«, która nim włada samodzielnie, szarpie, trzęsie, podrzuca i zmusza do tego nieustannego, bez wytchnienia, miotania się w radośnym tańcu życia.

Z małości Jędrak był takim. Ledwie od ziemi odrósł, kiedy już tańczył do zawrotu głowy, krzycząc, jak opętaniec: »...pięknie grać, a na nóżki pozierać«, grał mu do tańca inny Jędrak, piłując patykiem o drzazgę, cupkając bosą nóżką, jak Bartusiów Bartek i śpiewając: dylu! dylu!...

Mały, jak kogut, z nastroszoną ciemną czupryną, miotał się Jędrak po oborze, po szopach, pajtach i stry-

chach, kopyrtał się po łące, wspinał się na drabiny, przeskakiwał płoty, śmiał się i broił, uciekając, jak świstak przed tatowym opaskiem w regle, między szare turniczki, w różowe gąszcze kipszyny, zalegającej żleby w rąbaniskach. Tam, szalał od opętanej radości, jaką mu sprawiała niezgoniona wartkość drobnych nówek i siła przenikliwego spojrzenia jasnych i połyskliwych, jak stal, źrenic.

W miarę, jak Jędrrek podrastał, wydłużały się coraz dalej od chałupy drogi jego zagonów. Był on wszędzie, wszędzie doleciał, wszystko widział, wszystkim się cieszył, znano go też daleko, poza chałupą Cajków, a że nie robił nikomu krzywd złośliwych, więc go lubiono. Wszystkich cieszył ten mały, w którym najistotniejsze przymioty góralskiej natury »grały, jako struny wyzdajane«, na ton najwyższy.

Kiedy przyszły Zielone święta i całe Podhale jarzyło się, jakby od rojów świetlików, od ogni migocących po brzeżkach i miedzach, wtedy, we wszystkich okolicznych dziedzinach, wiedziano, gdzie nosił się, z gorejącą żagwią, Jędrrek. — Psia kość! wywyrtna tyz to śpata! — mówili starzy, wpatrzeni w mrok nocy, poszarpany szeregiem krwawych, latających ogników, wśród których jedno światło zdawało się opętaną iskrą, szamotaną przez chaotyczny wir wiatru; — wszystkie dzieci, dziewczęta i chłopcy, zlatywały się ku Jędrkowi, jak rój ciem, oczarowany blaskiem. Jędrrek szalał. Jego oczy wchłaniały namiętnie blask wszystkich światel, a nogi pędziły, jak opętane, wzdłuż zagonów i łąk, taplając się w młakach, przelatując ponad skalaniem miedzami i łożyskami potoków.

Skoro Jędrrek podrósł na tyle, że mógł pójść za

gońca na szafasie, pasał owce, raczej pasł się z niemi po upłazkach, wiszących, jak żyły malachitowe, w szarych krzesanicach turni. Kiedy rozsypane owce, pobrzękując cicho dzwonekami, pasły się, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, Jędrak, nic, tylko dla radości szalonego pościgu, świstał przeraźliwie i zganiał w najwścieklejszym pędzie wystraszone stado, któremu za oczy zalatywał równocześnie z luptowskimi psami. Nie było w całych Tatrach psa, któryby przed nim uciekł, któregoby mały Cajka nie zgonił, nie złapał za ogon i nie potoczył się razem z nim, nie pytając do kąd — w przepaść, to w przepaść, a w potok, to w potok. Niekiedy, na chwilę, kamieniał na turnicy w bezruchu; osłupiałe oczy rozszerzały się nadmiernie i zdawało się, że nie widzą nic... nagle budził się i z wrzaskiem: — E! chłopcy! — który rozdzierał, jak strzał z flinty, ocięzając ciszę skał niemych, porywał swoje stado i pędził w chmurze brzęku turconi i spizaków, beku owiec i ujadania psów ozpajędzonych do wściekłości.

Jędrak był z tego gatunku górali, których wzrok i myśl mija szczyty chałup i drze się tam, gdzie najwyższe szczyty Tatr, w swej kamiennej powadze, dźwigają się ku niebu.

— Nie będzie z tobi gazda, ino, lebo zbójnik, lebo polowac, abo bees taki nicpote, co z torbom za panami góni, — prorokowali mu retelni gazdowie, tacy, co mieli »maturé do roli i statku«, i patrząc na Tatry, mawiali: — Ja ta z tem nigdy nie rabiął.

Zbójnikiem nie został, bo nie miał ani dość twardego i mężnego serca, ani żądzy złota i srybła; polowacem również, bo nie miał możności skupienia się

w cierpliwem wyczekiwaniu, w przebiegłym ślakowaniu, podchodzeniu i zimnej krwi w strzale, no, a gazdą nie mógł być, bo gazdowstwa nie miał... Za to był przepyszny przewodnikiem.

Cajka był tak przystosowanym do życia w Tatrach, jakżeby go zrudziło powietrze halne, strome ściany krzesanic, głębie przepaści i bezmierne dale, odsłaniające się ze szczytów. W jego piersi biło serce o potężnej, niezmordowanej sile, jego płuca pracowały, jak tęgie nowe miechy kowalskie, niemogące się zadyszeć; jego ucho wchłaniało cały ten ogromny, przyciszony szum, błędzący w Tatrach za podmuchami wiatru, i wyławiało zeń odrębne głosy wód najdalszych, westchnień i szmerów wiatru, poszumów kosówek i traw na upłazach, dalekich tętentów kierdeli, zsypujących się na szalasiska, miękkich stąpań niedźwiedzi, prucia ziemi przez świstacze pazury, zgrzytu racic kozicy po usypiskach piargów, szumu skrzydeł orlich, i ech ludzkiego życia, przychodzących z bezmiernej dali, świecących w słońcu dolin. Ale najcudniejsze były oczy. — Za ocy, nie odśluzem Panu Bogu, choćbyk sto років zyl! — mawiał Jędrak. Oczy te dopatrzyły najslabszy ślad dotknięcia ludzkiej stopy na czarnym, suchym poroście, przywarłym do granitowych głazów i, sięgając do krańców widnokręga, widziały, co się dzieje w dziedzinach, ledwie majających w oparze oddalenia. Błądziły one po świecie widzialnym w ciągłym zachwycie, w nieustannej radości, zbliżając do Jędraka światy, zatracone w błękitnej dali, i ukazywały mu mnóstwo drobnych rzeczy pod stopami, wiodąc go w noc i we dnie przez chaotyczny świat Tatr z bezwzględną pewnością. Drobne ziarnka granitowego piargu, ledwo odchyłona gałązka jaferu,

schwiany liść paproci, mającą w gąszczu biaława podszewka liścia maliny, wszystko to, łapały te jego oczy i kierowały nim, z niezachwianą ścisłością, idącego do celu, pocisku. Z największego oddalenia, rzucał on promienie swego wzroku na rozplywające się w srzędzie turnie, i wypatrywał percie, źleby, występy skalne, bulki i szpary, po których potem szedł, nie myląc się nigdy. Stojąc na wirchu, zaglądał w dna dolin, i był obecny, choć daleki i niewidzialny, w szałasach, które zdawały się drobnymi skrzynczatkami. Śmieli się z niego towarzysze, że z Mięguszowieckiego wirchu widzi pstrągi w Morskiem Oku, inni, stojąc na szczycie Krzywania, pytali: — Jędre! widzisz ty w Podbańskiej wsi, na haw tym juhasie, na lewo? — Ka? — pytał Jędre, który nim się opatrzył, przez chwilę, był pewnym, że mógłby i to widzieć.

Orzeł, niedostrzegalny dla niczyich oczu, topiący się, w zaobłocznych wyżynach, w białych ślepiących blaskach słońca, nie uszedł jego źrenic; widział on świstaczę czaty, zatracone wśród want i szywarów, w mrocznych cieniach dalekich żlebów, widział strzygącego uszami capa; poznawał w drobnych punkcikach, snujących się na szałasiskach, każdego bacę, każdego gońca, wpijał się namiętnem, tęsknem spojrzeniem w czerwony promyk chusty i wiedział, że to Zośka, czy Jantka, ku której ze swojej wysoczyzny, spadał cicho, jak cień, nagle, jak kula i drapieźnie, jak jastrząb. W ciemnych obszarach lasów, zalegających dalekie regle i doliny, oczy jego poznawały śmigłe jedle i nastroszone smreki, stare buki wyciągały doń potężne, omszałe konary, wyliniate pnie jaworów błyszczały dlań z oddali, jak stojące dęba położy. Gdzie spojrział, ku wschodowi, ku zachodowi, na

jarzące się południe, czy na mroczną północ, pod nogi sobie, czy w sam szczyt kopuły nieba, wszędzie widział świat, pełen życia, cudownych zjawisk i radośnych wrażeń. W noc ciemną, czy w białe południe, w gęstej mgie, czy w przezroczy dzień wrzesniowej pogody, w mrokach jesiennych wieczorów i w ślepiącej zorzy wiosennych poranków, on widział wszystko, co jest, i widział jeszcze coś, co było jego wewnętrzną radością, rozkoszą zupełnego, bezwzględного użycia zmysłów. W jego oczach był geniusz widzenia, który mu dawał możność doznawania wrażeń, graniczących z szaleństwem. Kiedy Jędrak dał się ciemnymi żlebami, rozdartymi nad otchłanią przepaści, uczepiony na rękach i nogach do drobnych szpar i występów skalnych, parła go ku górze namiętna żądza jego oczu, spodziewana radość, która go tam czekała, rzucenia się w przestrzeń, jakby na skrzydłach, na promieniach tych oczu. Wylaływa on na wirch, jak wystrzelony, jak żeby go tam przyniosły, nie jego nogi, lecz, jakby go wydmuchnął z gardzieli żlebu, wiatr halny, wypadwał w światło i wyskakiwał jeszcze w górę, w powietrze, z okrzykiem: — E! chłopcy! — a jego siwe, ocienione czarną brwią, oczy, wpijały się w świat chciwie i namiętnie. Pił on oczami światło, jak spieczone pragnieniem usta, piją chłodną wodę górskiego źródła.

— Ocy tyz ta ocy! wołał w zachwycie nad ich doskonałością. — A i mam nogi ku nim! mawiał też Jędrak. — Ka juz moje ocy dożrom, tam moje nogi doniosom. Kiebyk jesce móg sfrunąć! Ale z tego nic. Próbował jednak. Kiedy wiatr halny dał się o granie, ciągnące się ze wschodu na zachód, Jędrak biegł na najwyższą turniczkę, napinał rękami cухę, podskakiwał

w górę, dawał się porywać podmuchowi i zlatwał w dół, kopyrtając się po piargach, dla złapania równowagi.

Te nogi, które go tak lekko nosiły po wirkach, stawały się czemś nieludzkim w tańcu. Jędrak, na dźwięk gęśli i basów weselnych, dostawał drżenia serca, dreszcz zimny przebiegał mu po grzbiecie, skóra na głowie chodziła wprzód i wtył, a włosy stroszyły się, jak pióra na łbie orłowym. I tańczył jak obłąkaniec. Na twarz bladą i spoconą, wybijało się jakieś przerażenie, oczy nie patrzyły na nic i na nikogo, ręce, wzniesione nad głową, chwyciły od czasu do czasu, za włosy i wicherzyły je, jakżeby coś przypominając. A nogi! nogi latały z tak straszliwą szybkością, że weselnicy pochylali się, by zobaczyć, czy naprawdę one się gną tylko w kolanach i biodrach. Zdawało się, że uda i gołenie mają też stawy i łamią się w pół w jakimś błyskawicznym gzygzaku, który je wyrwie z zawiasów i praśnie gdzieś w djasi...

Jędrak nie był naremny do bitki i nie bijał się o nic, ale przy tańcu, kiedy nikt nie mógł doczekać swojej kolei, bo Jędrak gotów był tańczyć, bez wytchnienia, przez całe wesele, inni tancerze, rzucali się nań całą hyrbą, obalali, wynosili w pole i zamykali na boisku, albo też, dawnym sposobem, dźwigali węgiel chlewika, wsuwali podeń garść długich włosów Jędrka i opuszczali napowrót. Skoro łupło — trzymały węgiły Jędrka za łeb, jak wilcze paszczęki. Leżał i darł się, klnąc i pomstując, aż dziwki nie uprosiły, by go puszczo.

Kiedy Jędrak pasał w halach, zatracony z owcami w chaosie skał, i wiatr mu przyniósł nikłe, jak brzęczenie komara, tony, Bartusiowych gęśli, które gdzieś grały

panom, idącym na wycieczkę, Jędrak, bez namysłu, porwał stado i pędził ku muzyce, żeby się stańczyć, gdzieś, na wązkim skrawku turni, do upadłego. Idąc z torbami, na wycieczkach, Jędrak szedł »tańczący«. Na każdym przystanku, jeżeli wycieczka była, »jako drzewi bywało«, z muzyką, Jędrak, zamiast odpoczywać, tańczył. — Inok piarg z kierpce powytrzepował i tańczyli my do rania! — powtarzało się w każdym jego opowiadaniu o wędrówkach z panami.

Tak żył Jędrak Cajka, niesiony wichrem swojego temperamentu, który mu nie dawał nigdy chwili odpoczynku, możliwości opamiętania się, zastanowienia się nad życiem i uświadomienia swego losu.

W pewnej chwili Jędrak się ożenił i przyżenił. Wziął dziewczynę od takiego Chmyni z brzezka. Miała jasne błękitne oczy w twarzy, mieniającej się rumieńcem i radością i jasne żółte włosy. Zresztą nie miała nic, oprócz skrzyni z pomarańczowemi chustami, granatowemi kieckami i czerwonemi zapaskami. Jędrak nie pytał o więcej. Ale ujek Zoścyn, stary, samotny Sihla, podpisał się jej z gruntu i chałupy. Gruntu było tyle, że granicę stanowiły ślady po wodzie, co kapiała ze strzechy, a chałupa stała tak, że chłopci mówili: — Co jom, cosik hań zgubiło. Stała ona, pod potężnym jesionem, na którego korzeniach opierały się jej węgły, bez podmurowania. Miała jedną izbę, o małym okienku, wyzierającym na perć między szopami, sionkę dziurawą i zgnity chlewi-czek, przytknięty z niżniej strony. Stara, zczerniała, zmur-szała i pochylona, w czasie wiatru halnego i letnich, naremnic, zdawała się przypadać ze strachu do ziemi, przed czarnem widmem jesionu, którego potworna korona ryczała nad nią, szarpiąc i chwiejąc nią, razem

z ogromnym płatem ziemi, w który wpiły się jego potężne korzenie.

— Nic to! — Nam dobrze, choć i płono — mawiał Jędrək.

Bóg zaczął mu błogosławić strasznie naremnie, a bieda ścisnęła za gardło.

Jednego roku Jędrək zliczył: — było ich siedmioro! — Cy was tu djasi... mam pedzieć, kaz wy sie u Pana Boga wzieni?! — zdumiał się Jędrək i poszedł do karczmy, żeby o tem uradzić ze swoim najmilszym towarzyszem, Suhym.

Suhy Jaś rad pijał, a nigdy się nie upijał. Lał w siebie potokiem piwo, wino, czy wódkę, i tylko mu oczy zachodziły coraz bardziej, jakimś dobrodusznem rozmaśleniem. Mawiał też: — Ani nie wiem, ka sie ten trunek dziewa, co go do sobi biorem!

Był to jeden z największych chłopów, nie tylko we wsi, ale w całej okolicy. Kiedy szedł ulicą, ze spokojem olbrzymich, nadmiernie ciężkich i silnych stworzeń, górował, nad całym tłumem, głową, osadzoną silnie na potężnych barkach. Z dobrodusznej, pięknej jego twarzy, o czarnych, łagodnie uśmiechniętych i wilgotnych oczach, zwisał melancholijnie, długi, trochę zaczerwieniony nos, a grube, czerwone usta śmiały się, pod czarnym wąsem, uśmiechem szczęśliwego dziecka.

Mawiano o nim, że: — Kie dostanie w pysk w Nowym Targu, to dopiero w Poroninie sie obacy, porwie go złość i karcymie ozburzy. — Tak też bywało, i wtedy Suhy stawał się strasznym. Szynkwias, z całym szkliwem, leciał w drzazgi i trzópki, stoły, ławy, stołki, wszystko zgruchotane, zawałało w bezładzie izbę, a wyważone słupki z ganku, sterczały krzywo, pod wiszącym w po-

wietrzu, daszkiem. Suhy Jaś zemścił się na Poroninie za Nowy Targ i szedł do domu, uśmiechnięty i łagodny. — Kiz byś ty cłeku miał się gniewać! — myślał, nie czując w sobie śladu złości, ani wspomnienia krzywdy i dokonanej zemsty.

Żonaty był ze starą, brzydką babą. Małe to było, o wielkiej, jednolicie, czerwonej twarzy, pooranej grubemi, mięsistemi fałdami, wśród których migotały jasne, drobne, ruchliwe źrenice. Szerokie, sine wargi zaciskały się niekiedy ze złośliwą energią. Ale jej złość była »ino w gębie«. — Jej ta zębów nie trza brusić! — mawiał Jasiek. Piła też baba godnie! — To takie odmieńce, mawiano o nich, — co baba jego miałyby z karcymy dó domu wieść, to on wie dzie babe.

Towarzyszyli się oni z Cajką i na ształasach i na wycieczkach z panami. Suhy brał na szerokie barki wszystko, co było do dźwigania i szedł, kołysząc się na potężnych nogach, spokojnie, pewnie, prosto, bez wysiłku, jakżeby go coś posuwało, — szedł i spozierał serdecznie i ufnie na Cajkę, który bystry i zwinny, widział i za siebie i za Jaśka i za pana, gazdował w torbach, wypatrywał »ka puści« i był, w stosunku do Jaśka, jak lotna myśl, w stosunku do ociężałego ciała.⁹

Snując się tak przez całe lato z dolin na wirchy, z wirchów w doliny, — z Polski, goniąc na Węgry i redykając z powrotem, by znowu zabrać się z innymi panami, i znów gonić z pod Gewontu na Krzywań i z Hawranu na Osobitą, wychodzili oni całkiem z karbów ciasnego, chałupnego życia. Dusze ich nabierały szerokiego rozmachu, ryzykownej odwagi, wspaniałej rozrzutności, pewności jutra, żądry gwałtownego czynu, żądry wrażeń i swobody. Nie słyszeli też »babiego

skrzeku i skwirku«, zapominali o wszystkich kłopotach, biedach, tryjontach i trubacyjach. Nurzali się w wolnym, wesołym trudzie, który im dawał radośną rozkosz świadomości siły, wytrzymałości, bystrości, zupełnego przystosowania środków do celu — skutków do zamiaru.

Ten rozmach, nabyty w górach, nie dawał się odrazu zdławić i wcisnąć w łożysko powszedniego życia. Suhy Jaś i Jędrak Cajka, po skończonem lecie, długo jeszcze nie mogli się opamiętać i poddać, na przewlekłe miesiące jesieni, zimy i wiosny, spokojowi, ciasnocie i drobnym, codziennym kłopotom pospolitego bytu.

Zakopane zabierało się do snu zimowego. Wyjechali wszyscy goście; drzwi i okna chałup zabito deskami; pozdejmowano znaki z wędrownych sklepów; restauratorzy, z pustych izb, wytaczali się na ulice i stali na moście, nie myci, z głową w pierzu, z opadłymi ubraniami, gburowatemi minami, odpoczywając po paromiesięcznym przymusie, w jakim żyli na usługach gości, ciągle padając do nóżek i całując rączki.

Po ulicach przelatywał wiatr halny, lub błyszczało przeczyste słońce wrześniowe, z gajów, osypywały się liście, na zagonach, roilo się od bab, kopiących grule, snuły się wozy, naładowane pękatymi workami, z których dobywał się ostry zapach ziemi skopanej i surowizny, różowych i żółtych gruli, podrapanych przez motyki.

Jędrak i Jaś protestowali przeciw temu pospolitemu bytowi, resztkami, nabytego w górach, rozmachu i resztkami krajcarzy, które im jeszcze baby nie wytrzęsły z tórbek.

— Jasiu! — wołał przeciągle, jak puhacz, Jędrak, wchodząc do wsi, i Jaś, zginając się w pół, żeby wy-

dobyć się z małej izbecki, przy boisku, w szopie, w której siedzieli z babą, ukazywał się na ulicy, jeszcze z tórbką i blachą przewodnicką i szedł za Jędrkiem, a baba wysuwała się przeze drzwi i pozierała za nimi, wietrząc »pijawę«.

Szli spiesznie, jak z pilną i ważną sprawą, wtaczali się do Kopka — i pili.

Suhy siadł ciężko pod oknem, zwaliwszy na stół potężne ręce, między którymi stawały, raz po raz, wielkie piwa. Cajka siedział na kraju ławy, jak ptak na końcu gałęzi, podpierał się na ręce tak, że mu oko gięło w fałdach skóry, a skrzywione i wyciągnięte usta sięgały ucha, — pił i ozmyślował...

Suhy pił i tylko coraz tkliwszemi i wilgotniejszemi oczami patrzył w Jędrka, którego ogarniał tuman pijanstwa i ze dna duszy wywiewał na powierzchnię nieznaną dotąd dlań ciężkie myśli. I jakkolwiek Jędrak obracał te myśli, nic nie pomagało: — Ik było wse siedmioro! — a on był jeden!

— Jasiu! wis, jako ci powiem, ale to juz tak, jak na świętej spowiedzi, co ik, niby tyk dzieciów, jest siedmioro.

— Zje kieloz by ik miało być, kie nie siedmioro!

— Anik sie nie spodział! I kaz to dja... niby, kiez Pan Bóg to syćko nagodził?

— Juźci Pan Bóg, a kaześ ty był, kieś... Tu Jasiiek spojrział rozmaślonemi oczami na Jędrka i wlał w siebie pół piwa wielkiego naraz.

— Siedmioro! Jasiiek, Wojtuś, Zosia, Maryna.

— Wiem! Jędrak, Tereśka i Maciek — wiem! Ja ni mam ani prok — ani pół nicego. Przydałoby mi sie, choć troje — ale nima! — Jaśka ogarniała żałość, roz-

maślone oczy zachodziły łzami. — Nima, mówiem ci, ani prok — ani mak! Na mój dusiu! samek, jak ten palec, i cóż ja bedem robił?

Jędrak milczał. Głowa zwisała na pięści, oczy zamglone błędziły po izbie — zdawało się, że się nie dźwignie z ławy. Nagle, skoczył do góry, do pułapu, z krzykiem: — E! chłopcy! — spadł na nogi, obejrzał się, podrzucił ramieniem cuhe, i z pokorną miną usiadł niezgrabnie.

— Cindre fukło! — zaśmiał się ktoś z boku.

»Cindra«, był to Jędrka przydomek, z którego był bardzo dumny. — Bo jakiz by ten cłek był, coby, kiego telego, przydomka ni miał! mówił Jędrak.

— Cy me fukło, cy nie fukło — ale ik, niby tyk dzieciów, siedmioro, to juz ci Jasiu powiem, jak na świętej spowiedzi!

Chwilę milczał — i nagle zaczął śpiewać, wpatrując się w Jasia:

Dyzek sobi pijał,
Pokił zynki ni miał.
Teroz ni mam za co.
Zienička ladaco.

— Jasiu! hybaj w dóm! Wies — bo me baba łeb susy o samo to.

— Cóż baba? Baba — jako baba! Jak baba na mnie z góry, to jo na niom jesce z wyzsa. Baba musi sie hamować! — gadał Jasiek, wytaczając się za próg karczmy.

Objęli się w pół, i trochę chwiejnie, ale ostro, szli i, wpatrując się w siebie z pasyą, wrzeszczeli:

Syćkie wirchy przeseł,
Syćkie przewędrował

.

Ulica była pusta, — wszyscy byli w polu, przy grulach i spóźnionym owiesku, Jędrrek i Jasiek szli podnieceni, dzielni, pewni siebie i, zbliżając twarze tak, że się prawie stykały, śpiewali dalej zaciekle:

Jedzies chłopce, jedzies!

Nie bois się...

Jędrrek nagle stanął, wziął Jasia za pas od tórbki, zmrużył prawe oko i, wpatrując się weń tajemniczo i poufnie, lewem, mówił:

— Nie wiem, cyk ci mówił, cy ni, ale to juz ci powiem, jak na świętej spowiedzi, co ik jest siedmioro!

— A niek ta ik będzie, choć siedmnaścioro! Bisna ze dolina! — Kłął Jaś, którego teraz dopiero ogarniało pijackie zamroczenie. — I co mi ta płaci, kielo ik jest! Bier syćkik djasi! Co mi ty bees wse krakał: — siedmioro i siedmioro, kie ci mówiem, co ik ni ma, ani mak, ani prok, ani pól nicego! — i zaczął śpiewać:

Zbyrcaly łańcuski, zbyrcaly okowy,

— kie nas prowadzili na zamecek nowy! — podchwycił Jędrrek, złapał takt chodu Jaśka i poszli dalej, napełniając wrzaskiem, swego pijanego śpiewu, ciszę wrześnieowego popołudnia, w której leżała wieś, i ciszę powszedniego życia, echami lata, wycieczek, zbójeckiego, panów...

Jędrrek tylko tak późno »ik« porachował, ale on dobrze wiedział, że oni są, jak koń, ciągnący wóz pod

górze, czuje, że mu przybywa ciężaru, choć nie rachuje cetnarów, które ktoś do wozu dorzuca. I jak dobry koń myśli, że to on powinien tylko lepiej się natężyć i naprężyć postronki, tak samo Jędrrek, równoważył ciężar życia, większem napięciem energii, której miał niewyczerpany zapas. Jego opętany temperament, nieopatrzna porywczosć życia i optymizm, wesoły do szaleństwa, nie dawały mu nigdy poczuć ciężaru bytu, potwornego trudu, który dźwigał, biedy, która wciskała się wszystkimi szparami, nędzy, która wlażyła po pod wszystkie łąty, z których się składał powszedni przyodziewek całej gromady Cajek.

Od pierwszego dnia, kiedy się znaleźli z Zośką w czarnej, stęchłej izbie, trzymała ich taka sama bieda, jak i tego dnia, kiedy Jędrrek zmiarkował »co ik jest siedmioro«. Czy pracować we dwoje na dwoje, czy we dwoje na siedmioro, to był już szczegół, który, dopóki w Cajce grała ta niepohamowana moc życia, usuwał się z pod jego świadomości. Była ich kupa wszystkich razem, z początku trochę mniejsza, potem trochę większa, skwirczało to czasem z głodu i zimna, jak skwirczał Cajka od maleństwa, to znowu szalało od radości, jak i on szalał, radości od byle czego, od promienia słońca, od kraicka czarnego moskala, łyżki sapki, albo nowej łąty na portczętach.

Zima była straszna dla Cajek. Przegnita chałupa trwonila w nocy całe ciepło, które dobywała przez cały dzień Zośka, ćmiąc, bez ustanku, uzbierane na jesieni gałęzie i szyszki, pozwlekane od budowy drzazgi, kawałki zbutwiałych kłatków, gnijące pod płotami gazdowskich obór. W nocy, na łóżku i przyległej ławie, leżała zbita gromada Cajek. Rodzice i dzieci, dziewczęta

i chłopcy, wszystko to cisnęło się do siebie, grzejąc się wzajemnie splecionymi ciałami i oddechem, pod kupą łachmanów, stanowiących pościel. A nad wszystkim bujała się kolebka z »ostatniem«, którego nigdy nie brakło...

W dzień było za to ciepło, jeżeli wiatr nie dął. Żar, idący z pieca, unosił na izbę parę z garnków, dobywał z kadzi ostry zapach przekisłej kapusty, z misek woń jełkiego sadła, z ciał ludzkich zapach potu, który w dusznym gorącu, spływał strumieniem z białych twarzy. Cajki topniały w tym żarze, rozkisały w tej gorącej wilgoci, wypadając, od czasu do czasu, do pola, w kryształowy mróz, w ślepiący blask słońca, w pachnące świeżością powietrze Tatr.

Cajki chwyciły się każdej pracy, każdego zarobku, byle tylko wydrzeć, kiel teli, dudek — byle przeżyć. Jędrzek szedł rąbać las, tonąc w zaspach i otrzepując się z okiści, która waliła się z wstrząśniętych gałęzi smreków i jedli; najmował się za stróża przy pańskich domach w zimie, obdzierał z kory smreki przy papierni, poganiał przy pługu, krzesał przy budowie, murował fundamenta, stawiał piece, klepał w kuźni, karcował rąbaniska, — na każde pozwanie i za każdą zapłatę, gotów był pracować, nie czując zmęczenia, nie zniechęcając się niczem. Nie wiedział, kiedy był wyzyskany, lub, czy kiedy, wyzyskiwał. Skoro krajcarze zbyrały w tórbce — kielo ik hań było — telo było — byle były.

Zośka szła też do każdej babiej roboty. Niosąc »ostatnie«, zawinięte w płachtę, szła skiby siekać, grule obrusować, gnój ozkidować, plewić sóstek z owsa, len targać, lub posługować panom. Wogóle, o ile baba może znaleźć zarobek, wszędzie tam pchała się Jędrkowa,

pracując cicho, chętnie, w skupieniu i zamyśleniu nad temi siedmiorgu. Cajki posiadały, w najwyższym stopniu rozwinięty, szczególny góralski przymiot: — umiały nie jeść, a pomimo to pracować — i jak pracować! — O suchym pysku! — nie było dla nich przenośnią — było rzetelną prawdą dnia każdego.

Podstawą ich dobrobytu, były zarobki Jędrka, na wycieczkach z panami. Jeżeli lato było suche, a panowie »fajni«, nie takie cepry, co to »góniom, jak psy kopowe, a o kazdego dudka w łeb sie skrobie«, Jędrak wspomagał się tak, że do samych mięsopustów prawie, taka już ostatnia bieda, nie śmiała zażreć do chałupy, pod jesionem. Uzbierane, zwysone pieniądze, Cajki pożyczaly takim, co mieli grunt, a nie mieli iścizny, i brali w zastaw zagonki pod grule, albo grzędy pod kapustę. Raz nawet stało się coś, co się wydało cudem, urzeczywistnieniem jakichś niedostępnych, niedościgłych pragnień, zdawało się, że sam Pan Jezus zatrzymał się, na chwilę, przed chałupą, dygocącą na korzeniach jesionu. W chlewiku, przy chałupie, stała krowa! Dostała się ona też, tym samym sposobem, co grzędy i zagony, była, jakby wynajęta, na jakiś czas, na służbę ku Cajkom. Szpetne to było krówsko. Nizka, z przełęczystym grzbietem, który się wygiął, pod ciężarem ogromnego, rozdętego brzucha, poza którym ledwo widać było wązkie krzyże i piersi, nogi, których kolana zginały się ku środkowi, wspierały się na wielkich, rozdeptanych ramiach. Na wygiętej, cienkiej szyi, wisiał ogromny łeb kwadratowy, rogi zgięte, jeden naprzód, drugi wstecz, jak u kozy, uszy wielkie, włochate, siny, szeroki, wilgotny pysk — tylko oczy były piękne, poczciwe krowie oczy. Cajki dygotały od radości, szalejąc dokoła Brze-

zuli, która stała cierpliwie, nieruchomie, przeżywając spokojnie sieczkę, i nie patrząc na wrzaskliwy rój, który się jej koło pyska i ogona wieszał. Wyglądała, jak potworna zabawka olbrzymiego dziecka, zgubiona gdzieś w kraju karłów. Ale była! Dawała się doić i ryczała, kiedy Zośka spóźniła się z putnią z pomyjami. Cajkom zdawało się, że w chałupie widniej, cieplej i szerszej. Trwało to niedługo... Brzezula wróciła do swego gazdy, a osierocony chlewicek przerażał dzieci swoją czarną pustką.

Oprócz zarobku na wycieczkach, był jeszcze jeden zarobek, który Jędrka nie mijał, to strzelanie skał — praca w kamieniołomie w Krokwi. Jędrak lubił tę pracę. Wprawdzie wykucie dziury na nabój, niecierpliwiło go, przewlekłością trudu, ale za to, co za radość: — Kie już fukło! Rył się też, z pasyą, w szarej opoce, odwalając z hukiem złom za złomem, prując się, po pod las, wiśzący nad urwiskiem, targając, wybuchami prochu, litą skałę, i z zabobonnym strachem cofając się przed ciemnymi wnętrzami graźni, które się otwierały nagle, z pod urwanych wybuchem, rdzawych odłamów. Jędrak pilnie przyglądał się, czy nie dobędą się, z czarnej gardzieli, P a n k o w i e, złe duchy, o »carnych pycyskach«, nasłuchiwał, czy nie odezwie się z głębi, w której dudnił dźwięcznie piarg, lecący z pod wystrzału, jakiś głos straszliwy. Niekiedy, myśl o skarbach, zapalała się nagle jak błyskawica i Jędrak, z potrójną energią, kuł skałę, miotany nadzieją — zawsze zawodną. Zwykle zdawało się mu, że tam czai się zła, przemożna siła, z którą on walczy, która broni tych skał, pełnych łbów smoczych, za które brał Cajka numulity, tkwiące w opoce. Wyłupywał on je i przynosił dzieciom, ukazując, »ka som

ocy«, — a Cajcęta dygotały od radości, ściskając w piąstkach smoczy łeb: — Wis! smoczy łeb, wis! haw gęba, a haw ocy! — i nosiły się z wesołym śmiechem po izbie i oborze. Bo to były, jeden w drugiego, »same te Cajki«. Jędretek, pomimo, że ich było siedmioro, lubił ich z pasyą, cieszył się tym gwarem wesołym i wodził po nich, swemi bystremi oczami, z radością.

Kiedy, o letnim wschodzie słońca, zaskrzypiały staciwa potrzaskanych, zczerniałych dźwirzy i, z ciemnej sionki, wysypał się rój Cajek, i odrazu, dokoła chałupy, po okolicznych brzeżkach, po miedzach i drogach, roztoczył się wesoły śmiech, śpiewy i wołania małych Cajek, sąsiedzi mówili: — E! Cajki sie poozlatowały! — i wszyscy się cieszyli.

Tak żyły Cajki, w twardej biedzie, w ciężkim trudzie i jasnej radości, radości najistotniejszej, gdyż źródło jej było w nich samych — nie w ich życiu. Życie było takie, że każdy inny, łeb by sobie oskubał, z tej niezachwianej pewności, że dziś jest bieda, i z tej nieustannej niepewności, co będzie jutro, pojutrze, za miesiąc i za rok...

Ale los ich był już zapewniony.

Jednego wiosennego wieczoru, kiedy słońce ginęło gdzieś za Gubałówką, zostawiając za sobą płomienną zorzę, kiedy w reglach rozlegało się jeszcze ciche pochrapywanie słońek, sarny snuły się brzegiem rąbanisk, a w głębi lasu, świstały, dźwięcznie i wesoło, kosy, Jędretek, wsypawszy, jak zwykle, w tórbkę, garść numulitów dla dzieci, zebrawszy sprzęt, wracał do domu. Kiedy, mijając kościół, zdjął kapelusz i żegnał się po bożnie, zaczęli go wołać z brzeżka chłopci, kujący kamienie: — Cindra! Jędrus! hybaj haw, fuknij ze nam

skale! — Zje cemuzbyk ni miał fuknąć! — odpowiedział chętnie i wesoło Jędrak, wspiął się lekko na brzeżek, natychmiast nabił prochem, wywiertaną już dziurę, zapalił lont i ukrył się z chłopami, za węglem. Iskra przebiegła po skale i skryła się w tulejce. Jędrak czekał — nic! — cisza... czekał jeszcze — nic, jeszcze chwilę — nic! — Cy cie dja... mam pedzieć, cóz to u Pana Boga!... i pobiegł ku ogromnemu odłamowi skały, który leżał w martwej ciszy. Przyjrzał się i dmuchnął w tulejkę: — Fukło!

Wiatr zwał dym i kurz na stronę. Na ziemi, leżały białawe odłamy, rozsadzonej skały i leżał, praśnięty plecami o kamienie, Jędrak, topiąc się we krwi... po nad całą doliną unosił się huk strasznych ech, które oddalały się gdzieś w świat, warcząc groźnie, ponuro, złowrogo...

Noc zapadała.

Po sprawdzeniu, że życie nie poszło w świat za temi echami, po jakim takim opatrzeniu, ponieśli Jędrka chłopci, na noszach, do domu.

Ćma już była zupełna, kiedy przyszli...

Przez całą noc, wbita w ziemię chałupa, nad którą wznosiły się groźne, potworne konary starego jesionu, zdawała się umierać w bezmiernej boleści. Wydzierał się z niej, poza ściany, po nad dach, straszliwy jęk Cajki, jęk bólu, strachu, rozpacz, obłąkania, z którym mięszało się żałośnie, przeciągłe skomlenie, dzikie wycie i wrzask Zośki, — barłóg, w którym spały dzieci, wstrząsały chlipania, łkania i urywane, nieprzytomne słowa...

Cicha noc wiosenna patrzyła do rana jasnymi gwiazdami na chałupę Cajek i słuchała ich jęku, wycia, bo-

leśnego skomlenia z łagodnym, zimnym, bezmiłosiernym spokojem.

Nazajutrz przyjechali od rana lekarze. Wchodząc, z blasku przecudnego dnia wiosennego, skrzącego się słońcem, smugami kaczeńców, cykoryi i żółtej mgły drobnych jaskrów, nie widziało się nic w izbecce Cajków. Czarne wnętrze, w którym wisiał mały kwadracik jasnego okienka, napełniał cichy, żalośny, nieustanny jęk...

Chałupa, obleżona była przez tłum bab i dzieci, które, jak skołowaciałe stado, pchały się we drzwi i oblepiały się na oknie. Przeciskając się do izby, lekarze słyszeli tylko: — Nie róbciez mu reparacyi, nie róbciez! On juz światu nie sądzony, nie męcciez go, dajcie, nie kse umre spokojnie. Kiz by ta taki zył!

Jędrak, zanim usnął pod chloroformem, rzucał się zębami na ręce, które się zbliżały do niego, w którym była tylko jedna świadomość — świadomość bólu. I oto leżał teraz odślonięty i spokojny. W słabem, zielonawem świetle, widać było, jak z tych jego przecudnych oczu, lała się krew, zmieszana z ziarnami prochu i pyłu kamiennego, u wyciągniętych po bokach rąk, zamiast dłoni, wisiały potargane krwawe strzępy, biała pierś, potrząskana, wznosiła się ciężkim oddechem, na nogach, gdzieś niedzie ślady, jakby karabinowych postrzałów...

Zośka posługiwała, milcząc, i starając się surowemi oczami, omijać Jędrka, wpatrywała się w lekarzy, spełniając wszystkie polecenia sprawnie i szybko. Ręce jej tylko się trzęsły, i na szyi targały się kurczowo mięśnie, w wysiłku, z jakim trzymała ściśnięte zęby, żeby nie krzyknąć straszny wrzaskiem, który jej się wydzierał z duszy i rwał za gardło.

Długo to trwało... W końcu lekarze wyszli do

pola, bladzi, ze spoconemi czołami i, nie zdejmując białych kitli, z zakasanemi rękami, siedzieli, milcząc i paląc papierosy...

Do izby, z której wywalała się fala, przesiąkniętego chloroformem, karbolem i jodoformem, powietrza, pchały się znów baby i dzieci, — pomagając Jędrkowej w sprzątaniu krwawych odpadków, lub tłocząc się w osłupieniu przy pościeli Jędrka.

Leżał on przez kilka dni w chałupie, do której zaczęło gwałtownie płynąć ludzkie miłosierdzie. Jędrkowa uczyła nagle, jak żeby jej »cosik« zdjęło z pleców cały ciężar powszednich trosk. Z jednej strony, żrący, rozpaczliwy ból o Jędrka, ogarnął całą jej świadomość, — z drugiej, coś się w chałupie stało szczególnego. Nikt niczego od niej nie żądał — a każdy miał, nie tylko to, czego potrzebował — ale i ponadto. Dzieci były, nie tylko syte, ale chodziły z twarzami, umazanemi czekoladą. Były nie tylko odziane, ale i obute, i każde miało jakieś przewleczenie na zmianę. Dla Jędrka nie trza było nic warzyć i nic kupować. W izbie, zamiast przekisłej kwaśnicy, pachniał z garnka doskonały rosół, pachniało stare wino i pomarańcze.

Dusza Jędrkowej słaniała się, rozdarta, między straszliwą boleścią, a radością, która wdzieriała się w czarną chałupę, wraz ze spokojem o dziś i o jutro. Dotąd nigdy nie potrzebowała myśleć o Jędrku z niepokojem i lękiem, nie chorował on nigdy, nie męczył się, nie smucił, — wszystkie jej trwożliwe myśli, przywarte były do dzieci, do niedającej się, ani na chwilę, zapomnieć, troski o ich dzień dzisiejszy i jutrzejszy. Wszystko to teraz odpadło — pozostał tylko, potargany na krwawy strzęp — Jędrak. Coś się stało, nie do poję-

cia: — szczęście i nieszczęście, jednocześnie, tłoczyły się we drzwiach chałupy, potraçały się i skłębily się w jakąś potworną zagadkę... Jędrkowi nie miała, ani czasu, ani siły umysłu do rozplątania tego chaosu.

Suchy Jaś przychodził zażreć na Jędrka. Zginał się w pół we dżwirzach, stał na chwilę, ze spuszczoną głową, która potraçała o tragarze w powale, zawałał się ciężko na ławę, ale nie mógł długo wytrzymać. W głębi ogromnego cielska, powstawała żałość kłująca, której nie znoził i porywały go mgłości, na widok krwi, przesiakającej przez opatrunki. Wychodził, oddychał szeroko i wiódł się do Kopka. Pił i ozmyślał, ale w myśli tej było tylko jedno jasne: — Cindre fukło! — Mamrotał też ciągle to: — Cindre fukło! i nie mógł dalej ruszyć w rozumowaniu. Rozmaślone oczy patrzyły, ze zwykłą dobroduszością, — niekiedy jednak, w piwo, lały się łzy i Jasiek wpadał w jakąś ciemną przepaść, bez dna, nie mogąc wyrozumieć, poco Cindre fukło!

Zaopiekowali się Jędrkiem, nawet »panowie ze rzędu« i, w kilka dni, zajechał, rankiem, policyant gminny, wsadzono Jędrka do wózka i zawieziono do Chabówki, a ztamtąd do Krakowa — do szpitala. Niepokonana żywotność i odporność, wkrótce zapanowały, nad okaleczeniem i osłabieniem Jędrka. W miarę, jak się goiły jego rany, w miarę, jak ból był coraz mniejszy, wracały mu siły i swoboda myślenia, Cajka, coraz bardziej, niecierpliwił się ciemnością nieprzebitą, o którą uderzał się czuciem i myślą, tak, jak o coś twardego, raniącego. On, który żył, nosząc się ciągle na promieniach swoich cudownych źrenic, teraz, nie mogąc przejrzeć, miotał głową, jak dziki koń, któremu zawiążą oczy, i targał się w pościeli, zrywając się biedz, gdzieś... Nie widział

nic i nie słyszał żadnego znajomego głosu, ani znajomej góralskiej gwary. Był on, jak człowiek, stojący w noc ciemną, nad morzem, miotanem burzą: — nic nie widać i nie słyhać żadnego głosu, który ma jakąkolwiek wspólność z ludzkim życiem. Ale Jędrak miał świadomość siebie i tego, co się z nim stało i cały jego wściekły temperament, zhamowany, spętany, skupiał się w sobie do jakiegoś szalonego czynu.

Jednej nocy, Jędrak zdarł wszystkie opatrunki, rwąc zębami bandaże na rękach i piersiach, trzepiąc rękami o łóżko i chwytając, krwawymi kikutami, za opaski na oczach. Miotał się i wściekał, rzucając się na Siostry miłosierdzia i posługaczy i gryząc ich po rękach. Usta, charczące obłąkanym bełkotem, pluły pianą, zmieszaną z krwią ran otwartych. Obezwładniono go; i szły dalej dnie szpitalne. Goiły się rany — ale w oczach stała ciągle noc nieprzejrzana.

Tymczasem tam, w chałupie pod jesionem, było coraz lepiej. Współczucie i miłosierdzie ludzkie obległy ten matecznik nędzy. Ludzie ze świata: — panowie i spółnicy: — górale, wszyscy szli tam skwapliwie z pomocą. Cajcęta, wśród gromady dzieci z sąsiednich chałup, wyglądały, jak dzieci ceperskie w marynarskich bluzach, portczętach i długich czarnych pończochach. O dzień jutrzejszy nie było niepokoju. Jędrkowa musiała, raczej, szukać miejsca, na przechowanie nadmiaru wszelkiego dobytku, a w rogu szmacięcia miała zawiązane dudki, których nie potrzebowała wydawać, schowane z myślą, powstała przy pierwszym zwyszonym krajcarze — kupienia krowy.

Kiedy Jędrak wrócił i, trzymając w dwóch ocalonych palcach, kulkę, macał przed sobą, szukając progę,

a wszyscy rzucili się ku niemu — Jędrak zaskomlił nagle, jak pies oparzony — nie widział nic i nikogo! Najmłodsze z dzieci, nie mogąc złapać jego spojrzenia, nie mogło go poznać i targało za rękaw, powtarzając: — Coście wy? coście wy?

Było już lato. Zjechali się panowie — goście wielkim tłumem i wszyscy rzucili się na ratunek Cajki. Ten tłum, w którym tkwiło mnóstwo społecznych przymiotów, nie mając nic innego do roboty, szukając zabawy i jakiegokolwiek czynu, chętnie łączył dnie odpoczynku z miłosierdziem. Dawni znajomi i życzliwi Cajków, skupiali te dobre chęci i doprowadzali je do czynnego przejawienia się. Chodzili po ulicach i domach »po pytaniu«, inni urządzali bale, rauty, loterye, odczyty. Cokolwiek się działo, wszędzie wypalone oczy Cajki były pobudką. Tańczono, grano, śpiewano, deklamowano, cieszone się, dlatego, że tam gdzieś, w czarnej, zgniłej chałupie siedział ślepiec i kaleka. Inni jeszcze szli ku Cajkom i pomagali Jędrkowej datkiem i dobrą radą. Jeden dobry pan, co go zwali: — »Pan dziadzio« — dał odrazu tyle, ile potrzeba było na kupienie krowy i Brzezula przyszła do Cajków, nie jak najmita, ale jak stała własna krowa. — Ani nie zal dó domu wrócić, mawiał Cajka, kie juz wiem, co ona tam.

Przed zimą, Cajki wniosły się do nowej chałupy, o dwóch izbach, z wysokimi dźwirzami i oknami. Rozłożyły się szeroko, po gazdowsku, ustawiły sprzęty, porozwieszały w białej izbie darowane przyodziewki, w komorze też »cosi ta było«, — a że Bóg dalej błogosławił, więc kołyska z »ostatniem«, które starsze dzieci nazywały: — Nase dziecko — bujała się wysoko ponad łóżkiem.

Jędrak, długi czas jeszcze, łudził się, że oczy są tylko chore, że one są, że przyjdzie dzień, w którym on przejrzy i zobaczy to wszystko, co się stało z ich życiem, że ten cud, o którym opowiadano, który ledwie mógł, gdzieniegdzie namacać, dwoma, pozostałymi, palcami, że ten cud ujrzy i przekona się, że to istotna prawda, — przywykł wszystko opierać na świadectwie tych swoich cudnych oczu, które miał niegdyś. Podrażnienia nerwów, które wywoływały jakieś przebłyski wewnętrznej poświaty, brał za przedzieranie się światła słonecznego w wypalone źrenice. Jeździł jeszcze do Krakowa, radził się znajomych lekarzy, którzy go łudzili, — aż trafił na takiego, który mu powiedział prawdę: — był ślepcem na zawsze, do śmierci.

Jędrak wpadł w osłupienie. Tępy smutek, kamienny bezwład rozpaczy martwej, która nie narzeka i nie buntuje się, ogarnął go na chwilę.

Jędrak, z temperamentu, był człowiekiem czynnym, a wszystkie jego władze przyrodzone były z tym temperamentem w zupełnej zgodzie. Szedł on zawsze za pierwszym porywem i spełniał to, co ten poryw nakazywał. Nie ozmyślał, nie zastanawiał się i nie marzył — nie miał na to czasu i nie miał potrzeby. Wszystko się stawało, jako zamierzował. Nie potrzebował on zamykać oczu na rzeczywistość i zatapiać się w wymarzonych światach, — ślepnąć duszą na to, co jest, by widzieć to, czego się pragnie. Jego myśli, jego uczucia, jego wyobraźnię wypełniały zjawiska i zdarzenia życia, w które wpijały się jego zmysły, znosząc mu nadmiar wrażeń ciągle nowych, świeżych, radośnych, a jeżeli nawet smutnych, to zawsze rzeczywistych. Nie miał on żadnych, zachowanych na czarną godzinę, two-

rów wyobraźni, obrazów, pojęć, nadziei. Z chwilą, w której dlań zgasło światło słoneczne i zginęła nadzieja, że ono się kiedyś znowu zapali, Jędrak znalazł się w zupełnej, bezgranicznej pustce. Pozostała w nim tylko świadomość nieszczęścia, smutku, rozpacz, której Jędrak nie umiał ująć w jakąś zasadę, ani wcielić w jakieś widzenie wyobraźni. Pograżył się w ciemność i bezwład..

Pewnego dnia, Jędrak jednak się ocknął i kazał się wieść chłopcy do karczmy. Suhy Jaś siedział tam, jak zwykle, pod oknem.

— Jasiu! Haweś!

— Hawok! kaz byk miał być, kie nie tu.

Jędrak siadł, odprawił dziecko do domu i zaczął pić. — Jasiu! dejze mi haw blisko gębe — mówił, od czasu do czasu, i przeciągał palcami po poczciwej twarzy Jasia. — Jasiu! cyś to ty? pytał znowu. — Zje ba któz by miał być, kie nie ja? — Pili — pili tęgo, a chociaż w Jędrku zaczynało się burzyć pijackie szaleństwo, jednak świadomość kalectwa, trzymała go, przykutego do ławy. Ale, w pewnej chwili, Cindre fukło, po dawnemu! Krzyknąwszy dzikim głosem: — E! chłopcy! — skoczył, obalił ławę, na której siedzieli inni, potoczył się i, przebierając gwałtownie i niezgrabnie nogami, gruchnął łbem w szynkwias. Cały szynk zadygotał od śmiechu. Podnieśli go i starali się usadzić na ławie, opierał się i krzyczał: — Cy djasi! Kany zeście me zawiadli w telom noc, w teli ćmok, co nic nie widzemy? Jasiu! nima tyz ta patycków? Ozpaluj lampe, cy watre, cy świecke, cy iskry — ino ozpaluj, bo nic nie wiem kak! — Dyześ haw u Kopka! Bier i napij się. — Jędrak znowu przypiął usta do kufla i po chwili wiedział znów

wszystko i pił, milcząc... Z pijackiego gwaru, szumiącego w izbie, gdzieś z kąta, zerwało się śpiewanie:

Ledwok cie uwidział w zielonej ubocy,
Hnet sie zakochały w tobi moje ocy.

Jędrak nadstawił ucha, ściągnął brwi i nagle zawył: — Ocy tyz to były ocy! I kazeście się podziały i bez cózeście przepadły, kto was zwypalował! Ocy, moje ocy! Nicek ni miał, alek was miał i mógek świat przeżreć od kraja do kraja, jaze do drugiego, do trzeciego świata! I kto mi was wzion, kto was zabrał, kto zwypalował! Jasiu! ratuj ty me towarzysie, ratuj! Zawieź me ku słońku, ku jasności! Późdz! nie mieskaj, uciekaj z tej nocy! Jasiu!

Jaś, który znowu doświadczał nieznośnej, kłującej żalości, miał już do syta tego piwa, w które ściekały jego łzy słone. Zabrał Jędrka i zawiódł do domu.

Odtąd Cajki w karczmie nie widziano.

Przez czas choroby, będąc w szpitalu, nie pijał; potem, po powrocie, długi czas nie przychodziło mu to do głowy, wśród mątu, który wrzał około niego. Odwykł od picia, a nagłe to upicie się, które nie wznieciło, ani na chwilę nawet, złudzenia światła w oczach, nie wydobyło ze dna duszy żadnej nadziei, żadnej radości, lecz przeciwnie, dobyło ohydną, wstrętną żalość, — zmierziło mu na zawsze, zwykły chłopski ratunek w strapieniu — szynk.

Teraz Jędrak, jak więzień w ciemnicy, zaczął ozmyślać. Opuszczał się na samo dno ciemnych pieczar, przepastnych graźni duszy, w których nigdy przedtem nie bywał, i starał się, w tym mroku beznadziejnym, wynaleźć jakieś światło przewodnie, jakąś zasadę,

któraby broniła jego myśl, przed szturmem potwornego zwątpienia. Ale tam, w głębi, czaili się nań Pankowie, złe duchy bezmiłosiernie trzeźwego rozumowania, które, rozpraszając złudną mgłę wierzeń, ukazywały mu potworny bezsens tego, co się stało.

Pojęcia zła i dobra, cnoty i zbrodni, kary i nagrody, sprawiedliwości i miłosierdzia, skłębily się w strasznej z sobą walce i zatrzęsły filarem, na którym wspierał się cały świat — zatrzęsły pojęciem Boga. Jędrak nie śmiał się zbliżyć do tego ogniska, w którym skupiały się wszystkie ostateczne przyczyny jego bytu, nie śmiał zaczepić zwątpieniem o to źródło wszystkiego, błąkał się myślą zdaleka, ale myśl ta, musiała, z konieczności, z nałogu, w jakim się wychowała i w jakim żyła, iść tam, i tam szukać odpowiedzi. Szła więc i pytała natrętnie, namiętnie, grubo, brutalnie: — Dlaczego tak się stało? — Ale odpowiedź na to dawał, nie kto inny — tylko sam Jędrak. Dobywał z siebie to, co włożył w pojęcie przyczyny wszystkiego i chaos w jego umyśle wrzał jeszcze straszniejszy, albo też, drogą logicznego rozumowania, powstawało zimne zwątpienie. To, co dotąd wyjaśniało wszystko i kierowało wszystkim, ta zasada, która służyła, jak klucz, do otwierania wszystkich tajemniczych zawór — ta właśnie zasada zachwiała się.

Ogniwa przyczyn wiązały się tak: — Jędrak cierpiał — nie ma cierpienia, bez kary, nie ma kary, bez występku, — cóż on, Cajka, uczynił tak potwornie złego, żeby nań spadła najstraszniejsza kara, jaka może dotknąć człowieka, który jednocześnie nie postradał rozumu i ma świadomość swego nieszczęścia? Jędrak z najbezwzględniejszą surowością, bezmiłosierdziem, roztrząsał swoje

sumienie. Prawda, był człowiekiem lichym, miał na duży moc grzechów, — ale, czyż w grzechach tych nie chodzili inni, czy nie dźwigali ich na sobie wszyscy, zacząwszy od jego towarzysza Suhego Jasia? Dlaczegoż wszystkim nie zwypalujom oczy, nie oberwą rąk, nie potępiają, nie pokarzą, jako jego pokarali?

Ale, czy pokarali? Czyż Jędrak nie jest teraz gazdą, czy nie ma chałupy, krowy, jądła, przyodziewku, on i Zośka i ośmioro ich dzieci? Czyż nie odwalił się z ich życia straszny ciężar nędzy, trudu, który w końcu byłby po nad siły, ciężar troski i niepokoju o los ich wszystkich? Jędrak wiedział, że tak jest i znał wartość tego bogactwa, które na nich spadło, ale on nie miał zmysłu własności, żądzy posiadania. Był on cały porywem czynu, żądzą użycia i doznania wrażenia. — Choćbyk milion miał w skrzyni, nie uciesyło by mnie telo, jako ostatnie dwa dudki, co ik dam za habryke, — miał. Świadomość dostatku, który mu się dostał, który nie był zdobyty jego energią i pracą, i zużywany z radością pasyą życia, nie mogła wypełnić ciemnej przepaści, w jakiej był strącony i powstrzymać, zbudzonej myśli jego, przed szukaniem rozwiązania sprzeczności, w których się wikała.

Ostatecznej przyczyny, dla której: — fukło! — Jędrak nie widział w własnej nieuwadze. Tyle lat, — zupełnie tak samo, obchodził się z prochem i skałą i zawsze było dobrze. Teraz: — fukło! — fukło w niego. Bez woli bożkiej, włos z głowy nie spadnie, — więc chyba ta wola to uczyniła? A to szczęście, ten dostatek skąd? — Z ludzkiego miłosierdzia? Doszedłszy do tego miejsca w rozumowaniu, Jędrak poczuł, że ta noc,

która mu przesłaniała słońce, przesłoniła wszystko w duszy.

Komu się należała wdzięczność i słowo błogosławieństwa — komu zemsta i nienawistne przekleństwo? Kto był źródłem złego, a kto krynicą dobrego?

Całe rusztowanie, na którem wspierała się moralna równowaga Jędrka, runęło; ten ster, który w zawiłościach życia pozwalał, jako tako, płynąć wśród labiryntu sprzeczności, złamał się; runęły podstawy całego tego stroju myślowego, którym się posługiwał Jędrak, wraz z całym ludem.

Jedno tylko było zupełnie jasnym, to, że dla jakichś niepojętych przyczyn, los nie godził się na to, by Cajka miał oczy i ręce, a jednocześnie życie wolne od ostatecznej nędzy. Dopóki miał swoje cudne oczy i zdrowe ręce do pracy — była nędza, zginęły oczy, poszły w strzępy ręce i jednocześnie nędza i troska, nie tylko wyniosły się z czarnej chałupy, ale zabrały ją z sobą, zostawiając Cajków w jasnych izbach i dostatku. Zatem za dobrobyt swojej rodziny, Cajka zapłacił sobą, zapłacił tem, co w nim było najlepszego, — oddał siebie, żeby ta rodzina miała zawsze pełną miskę i obleczenie.

— Kie ci trza było moik ocy, za to, coś im miał dać zryć, niekze bedzie i tak, cóz ci poradzem — ale... Jędrak z wysiłkiem zhamował myśl i pogrążył się w ponurem milczeniu. Ale myśl ta leżała w jego duszy, jak strzała na napiętej cięciwie łuku.

Był on, jak człowiek przeklęty, czy zadżumiony, którego wyrzucono za burtę, żeby nie pociągnął okrętu na dno, lub żeby nie wymarła załoga. On tonął w ciem-

nych głębiach, ale okręt szedł dalej, pełnemi żaglami i dobrze, że szedł — ale on tonął! Dlaczego? Dlaczego?

Raz przyszedł go odwiedzić ksiądz, i uderzony jego ponurym smutkiem, starał się obudzić w nim świadomość szczęścia, które nań spadło, wyliczał wszystko, co Cajki dostały, przedstawiał ogrom przewrotu, który się dokonał w ich życiu i ogrom miłosierdzia bożkiego, które to działało. — Jędrzeju, mówił w końcu, powinniście czuć bezgraniczną wdzięczność dla Opatrzności, która wejrzała na waszą nędzę, na wasze kalectwo i zaopiekowała się waszemi dziećmi, żoną i wami.

Jędrzek słuchał w skupieniu i milczał... Nagle, skóra z czoła ściągnęła mu się w groźny wał nad oczami, nos skrzywił się drapieżnie i Jędrzek krzyknął:

— A kaz som jest moje ocy? Ka? Cyk ja o to pytał? Miałek ręce i miałek ocy, siła we mnie była, choć na dziesięci, nie chodziłek po pytaniu, nie kłanek, nie skamlał — alek pracował, pracowała baba, myby se dali rady przez takiego miłosierdzia! A na ostatek, choćby ta skapieli, światby od tego nie wykopyrtnon sie do góry węglami! Miłosierdzie ta, miłosierdzie! Idzcziez pod kościół i dajcie w pysk dziadowi, a pote dajcie mu choć sto — choć tysiąc papierków, kie w nim je, kiela tela, dusa, nie zabacy on wam tego bicia, nie bedzie boćkać po rękak. Abo urwijcie cłowiekowi łeb, a pote włóżcie go, choć do złotej truchły, — niekze bądź ie wam wdzięcny! Kielo warce i ta chałupa nowa i syćko, co haw ludzie znieśli? Kielo? No, niek dwa tysiące — cy moje ocy, moje ręce, moje zycie, moja włada, nie warce telo? A choćby sto tysięcy, choć milion — cy me kto pytał, cy mam wolom, cy ni, sprzedać za dudki zycie?

Kieby jesce zycie! Kieby me hań potargało na strzepy! Ale tak? Ktoz ja teraz jestem? Wieprzek, co go zamknom z korytem do ciemnego chlewu? Co sie we mnie ostało? Ino to, co wiem, zek zywy, co ozmyślujem — ale nie zycylbyk takiego ozmyślowania nikomu! Miłosierdzie ta, miłosierdzie! Za telom iścizne, za wielga lichwa. Kiebyk zydowi sie sprzedał całke do niewoli, ostawiłby mi przecie ręce i ocy. Niekze wam kto zwypaluje ocy, a pote ucyni, choć Ojcem świętym? Nie wolelibyście ostać wikariem, jako jesteście? I cóz to ta za gazdowstwo takie pomirwione! Za co me pokarali? — Za co me nagrodzili? Kiejek był lepsy — kiejek sie stał gorsy? Telok grzesył z ocami, co i przez ocy — bez cóz, skoro ocy wypaliło, przysła nagroda? Dyć, kiebyk sam ze siebie, z własnej chuci, ocy zwypalował na ofiare, o dudki byk nie pytał — niekze me w te nagradzajom! Alek ja ani sie nie spodział, co moje ocy i ręce som potrzebne, na zapłate za bryje dla dzieciaków! A wy myślicie, co taka bryja, za tatowe ocy, smacna? Spytajcie mojej baby, jako to smakuje, kie płacki się w miske lejom — spytajcie, cy to dobra omasta!

Jędrek urwał, płacz go zdusił za gardło i trzął pochylonemi plecami. Wypuścił on strzałę, która leżała na napiętej cięciwie jego boleści, wypluł gniew i podał się żalowi.

Dobry ksiądz wikary milczał również, zgnębiony gorzką boleścią, przybity prostą logiką tego, co usłyszał. Przyszedł on ze szczerą chęcią spełnienia swego obowiązku, przyniósł z sobą zapas zwykłych i zawsze, jak mu się zdawało, skutecznych lekarstw na ból ludzkiej duszy, lecz nie mógł utrzymać się, ponad tą bole-

ścią i został sam porwany jej gwałtownym prądem — zamiast spełniać obowiązek, zaczął współczuć i cierpieć.

.....

Zhamował się jednak i usiłował, wyrwaną, ze zwykłej kolei, duszę Jędrka, ująć w moc swojej prawdy. — Widzicie, Jędrzeju, mówił, to, co wam się zdaje nie-
szczęściem, zamroczyło wam umysł, ośmielacie się są-
dzić wyroki Opatrzności i waszym ułomnym rozumem
badać tajniki jej mądrości. Może to kalectwo Bóg na
was dopuścił, bo was miłuje i chce wam zapewnić zba-
wienie, może was doświadcza, może, odbierając wam
rzeczy doczesne — wzrok, ręce, chroni was przed jakimś
ciężkim grzechem, któryby was pozbawił żywota wiecz-
nego i stracił na wieczystą mękę w piekło. Zamiary
i czyny Boga nie zawsze są zrozumiałe dla ludzkiego
umysłu...

Jędrzek słuchał z uwagą. Umysł jego usiłował zna-
leźć jakieś wyjście z tego chaosu ponurego, uczucie
jego pragnęło, bądź co bądź, zgody i jasnej radości, —
wzięłby on za prawdę każde rozwiązanie, któreby, choć
w jednym słowie, było zgodne z jego stanem duszy.
Jędrzek, nigdy przedtem, nie wdawał się w rozumowanie,
w roztrząsanie jakichkolwiek spraw, z bardziej oderwa-
nego stanowiska, nie miał też wprawy, ani w wewnętrz-
nej robocie umysłowej, ani w prowadzeniu podobnych
sporów. Słuchał on zawsze błyskawicznych nakazów
swojej chęci, swego uczucia, i to, co teraz mówił, było
tylko ujęciem w słowa tych uczuć, które nim szarpały,
pod wpływem straszego nieszczęścia.

Słuchał uważnie, ale w tej frazeologii, którą znał
zresztą i przyjmował za prawdę, dopóki umysł jego
nie zeszedł w głębiny bezwzględności, w tej frazeologii

nie mógł teraz dosłuchać żadnego głosu, któryby zrozumiała jego zboliałą dusza i znalazła ukojenie. Zauważył tylko i zakarbował sobie, że: — Pan Jezus zwypalował ocy — bo me miłuje. — I starał się wyobrazić sobie, czy onby zwypalował ocy, któremu z dzieci, Zośce, albo Suhemu Jaškowi. Jędrrek rozmyślał — ksiądz mówił dalej:

— Wobec Boga, wszyscy jesteśmy tylko nędznymi grzesznikami i każdemu z nas należy się straszna kara, może, wymierzając ją wam teraz, Opatrzność chciała was uchronić przed karą straszniejszą — wieczną...

— A Stolica z Bystrego? — spytał nagle Jędrrek.

— Jaki Stolica?

— Zje ba ten, co zabił Ciučke, co okalecył Bulcyka, co okradł, bez mała, całom wieś, spalił sope Gałejdzie — i zyje se do tela i nic mu nie chybia?

— Miłosierdzie i cierpliwość Opatrzności są niewyczerpane, daje mu ona czas do poprawy, lub może gotuje mu karę na tamtym świecie...

— Bez cöz nie kciała pockać, jaze ja się poprawiem, co jej tak pilno było do moik ocy? — pytał Jędrrek i myślał o tem, jak sie Pan Jezus »sykuje, coby Stolice przyscypnąć na tamtym świecie«.

Dobry ksiądz poczuł, że między jego słowami, a Jędrkiem, jest w tej chwili przepaść, nie do przebycia, pomimo głębokiego współczucia, jakie miał do niego. Ksiądz był młody, niedoświadczony. Nauka, która ujęła jego umysł w formułki pamięciowe, zamknięte, przecięła związek, między jego uczuciem, a jego myślą. Nie umiał on tego, co czuł, powiedzieć, tak, jak czuł — nie umiał i nie śmiał. Chciał nauczać, chciał podstawiać rozumowe kamyki tam, gdzie wrzało namiętne uczucie

Pierwszy raz zdarzyło mu się spróbować wartości swojej nauki, wobec wielkiego nieszczęścia, wobec wielkiego uczucia i poczuł, że jest ona bezsilną. Z pewnym wstydem i obrzydzeniem, słuchał własnych słów — zimnych, suchych i dalekich, od jego własnej duszy. Rozstali się uprzejmie, grzecznie i, jak Jędrkowi się zdawało, w zgodzie, gdyż, poza niezrozumiałem dlań rozumowaniem księdza, czuł on serdeczne współczucie, a w sobie czuł, wzbierającą wdzięczność i czułość do ludzi, czułość, która właśnie w czasie rozmowy z księdzem, zaczęła się określać wyraźniej i występować, po przed żal, gniew i mściwość, trzymające dotąd jego duszę. Z jednej strony, myśl jego zapadała w potworny mrok, w którym czaiły się zatajone uczucia złe i nienawistne, z drugiej, ze strasznego chaosu, w jaki mu się spletały wszystkie jego pojęcia, wyłaniał się punkt jasny: — ludzkie miłosierdzie. — Ludzięta niebożęta! pomyślał, pierwszy raz, w chwili, kiedy, przed księdzem wyrzucał z siebie mściwy jad gniewu.

Jędrzek, odcięty od świata zewnętrznego i życia czynnego, stawał się z istoty, tylko czującej i tylko czyniącej, istotą myślącą, rozważającą. W pierwszych chwilach tej przemiany, tego skierowywania energii duszy, ku nowym zagadnieniom, nadewszystko w pierwszych chwilach tej burzy myślowej, w której, zamienione w nałóg, pojęcia stały się z nagłą, błyskawiczną nową prawdą, Jędrzek czuł potrzebę mówienia o tem, stwierdzania głośnem słowem cichej, ale naremnej wewnętrznej roboty. Nie z każdym jednak rad gwarzył. Mówił chętnie z Jaśkiem, raczej mówił przed Jaśkiem, bo Suhy nie był zdolny do podobnych rozważań.

— ...Juźci, pada, co me Pan Jezus miłuje i bez to zwypalował mi ocy — wis?

— Moze?! zcudował sie Jasiek.

— Cłowiek, pada, je huncwót, i ani sam nie wie, kie sie ocknie w piekle, bo kieś zgrzesył, kaz pódzies, kie nie dyjabłu do gardła.

— Zje ba i prawda! Kaz byś miał iść, kie nie w samo to piekło — kieś winien! — Mówił Jasiek i rad z jasnego pojmwania tej prawdy, patrzył, rozmaślonymi oczami, na skupioną w myśleniu ślepą twarz Cajki.

— Juźci, pada, zwypalujem ci ocy, urwem ci ręce, cobyś więcej nie grzesył i do nieba grzecnie sie dostał..

— Ono ta grzecnie, wtrącił Jasiek, ino tak byś pedział krapecke ciężko — wis?

— A co sie tyce ónego Stolice z Bystrego, nic sie o niego nie trubuj, — Pan Jezus mu haw nagodzi sytkiego po gardło, ale zaś hań przyscypnie.

— Ale! Kogozby miał przyscypnać, kie nie jego!

...Mówili tak długo, na tle rozmowy Jędrka z księdzem, ale Jędrak czuł dobrze, że ani jego słowa nie odpowiadają temu, co się w nim dzieje, ani też to, co mówi Jasiek, nie jest tem, co on radby usłyszeć. Jędrak nie umiał jeszcze poradzić z nowemi, bardziej oderwanemi, pojęciami, które w nim powstawały, a Jasiek odpowiadał mu takimi zdaniem, które, jak siajne krajcarze, były w powszechnym obiegu, i, z nałogu, przychodziły na usta. Jednak rozmowa taka była miłą Cajce. Każdy z nich, co innego myślał i mówił, ale czuli się w zgodzie — bo się naprawdę lubili.

— Kie mi Jasiek powi na krowe — koń, abo na cyrwone — zielone, wolem, i ani nie myślę, co mi

się prociwi, a z innym, choćby mi jako ududkował, wolałbyk nigdy na jedno nie przystać — mawiał Jędrrek.

Czas szedł, a Cajka coraz bardziej zaciekał się w rozmyślaniu, które stawało się jego nałogiem, koniecznością życia. Cała jego namiętna i gwałtowna natura skupiła się w tem rozważaniu, zatopiła się samotnie w obszarach świata myśli. Wszystko, co go odrywało od tego ozmyślowania, było mu przykrem.

Obolała jego dusza, zamknięta w sobie, snuła dalej odkrytą nagle prawdę. Świat podzielił się na dwie sfery: w jednej kryła się w mrokach zwątpienia, groźna, tajemnicza potęga, która, dla niezrozumiałych teraz dla Jędrka przyczyn, wytwarzała to potworne zamięszanie życia, — w drugiej, w zorzy miłosierdzia i cierpień, ukazywali się: — Ludzięta niebożęta.

Jędrrek, nie tylko był im wdzięczny za to, co dlań uczynili, ale rozumiał teraz do samego dna, w czem leży mądrość życia, w czem kryje się siła, mogąca usunąć, z ludzkiego istnienia, przemoc tajemniczej potęgi, nakryć ludzkość przed jej gromami — zniszczyć mękę życia i zgasić piekło.

Odkrycie tej prawdy dawało mu taką radość, taką jasność, że mu się zdawało, iż przejrzał, że zorza tej radości podnosi jego zapadłe powieki i ukazuje mu świat jeszcze większy, rozleglejszy, pełniejszy, cudniejszy, niż ten, który widział swemi precudnymi oczami.

W miarę, jak prawda ta się w nim coraz silniej gruntowała, Jędrrek się prześwietlał sam w sobie i stawał się strasznie drażliwy na wszelkie objawy niezgody, między ludźmi. Jego subtelne ucho odczuwało najlżejsze odcienie niechęci, złośliwości, podejrzliwości, gderliwości w głosie ludzkim i dusza jego kurczyła się bo-

leśnie, a wzdrygała się z obrzydzenia na głos grubijaństwa, kłótni, swarliwego nakazywania, obelg i pomsty. Nie mógł wytrzymać w izbie, słysząc gderania Zośki na dzieci, lub sprzecanie się dzieci, między sobą, plotki, obmowy, lekkomyślne oszczerstwa, znoszone do chałupy przez sąsiadów, mierziły go tak, że brał swoją kulkę i, macając nią przed sobą, szedł na zwykłe miejsce, na kraju żelaznej drogi, u starego, granicznego buka, siedał tam i, przeciągając czasem dłonią po pachnących trawach, postukując kulką o korzenie drzewa — myślał.

Słupy — miał wzrok duszy, zwrócony w ten nowy świat, który w nim powstał niedawno i zalewał blaskiem radośnym cały obszar życia — oprócz jednego, ciemnego punktu...

Wielki, daleki, ciągły, wypełniający przestwór, szum wód górskich, niekiedy znikał z jego świadomości i, po chwili, znów wracał — jedyne dziś echo dni dawnych i jedyne głos żywej terażniejszości, który doń przychodził z zewnątrz.

Ludzie pokrzywdzeni, narody, żyjące pod uciskiem przemocy, są dźwignią rozwoju ludzkości, dźwignią, która ją zmusza do szukania doskonalszych form bytu, wcielających powszechne szczęście. Ich krzywda jest, jak zaogniona rana, bez zagojenia której, to szczęście nie daje się osiągnąć. Wszystkie też marzenia o idealnym bycie ludzkości i wszystkie krwawe walki, wśród których budują się nowe ustroje bytu, są dążeniem do zagojenia tej rany, do zniszczenia jadu jej zarazy. Marzą o tem ludzie czujący, myślą nad tem mędracy, walczą o to bohaterowie idei i mściciele krzywd zgnębionych pokoleń.

Myślał też nad tem Jędrzek Cajka.

mował znowu swoją myśl, która uniesiona prądem, zbliżyła się do zasłony, za którą kryła się siła wiadoma, a niewiadoma... Pod wpływem namiętnego bólu i gniewu, puścił on kiedyś strzałę w tę stronę, ale dziś, rozumując na trzeźwo, i nie mając w sobie jadu zemsty, owszem, mając w duszy miękkość i współczucie, nie tylko nie chciał walki, ale czuł pewien żal, że bądź co bądź, ona tkwi w tych jego myślach...

Wychodząc z ciasnych opłotków swego bytu, nанизując na tę nić, jasnej myśli, wszystkie sąsiednie chałupy i, coraz dalej, sięgając, poza swoją dziedzinę, poza Biały Dunajec, Nowy Targ, Ludzimierz, Kraków, skupiając wszystkie, wiadome mu, zdarzenia z ludzkiego życia, ze stosunków z chłopami, babami, panami, z »rzędem, filancami, leśniczymi, ziandarami«, Jędręk wszędzie widział, jedno: — niepotrzebną, zgubną wrogość, złą pazderność i głupotę, które otwierały na rozscież wierzeje nieszczęściu, klęskom, pomstom i karom... A tyle, tyle wszyscy w sobie mieli dobrego!

— Zjeć, kieby ino nie cekali, jaze ocy zwypalujom! Coby było! Coby to było!

I Jędręk tonął w podziwiewie, nad tym cudnym światem, który ludzie mogą stworzyć, światem, z którego zniknęło wszystko to, co szarpało boleścią serca i przygniatało niewolą myśli.

Tak ozmyślując, siadywał Jędręk, długimi godzinami, pod kopulastą koroną starego buka, okrytą ciemnym letnim liściem.

Różni ludzie szli drogą, pozdrawiali Cajkę, który im odpowiadał uprzejmie i, z każdym, kto się ku niemu przysiadł, rad ugwarzył.

Szedł też raz, tamtędy, Jamróż Haza i pozdrówkał

grzecnie Jędrka, który wsłuchiwał się, z natężeniem, w głosy ludzkie, po których rozpoznawał osoby. Hazę znał Jędrak mało i rzadko z nim bywał. Jędrak należał do tej warstwy ludu, którą bogaci gazdowie nazywają: — żmudź, Wojtki, z której się rekrutują pacholki, i która nie ma możliwości zbyt blizkiego pożycia z grubymi gazdami, siedzącymi szeroko na wielkich gazdowstwach. A Haza był hruby gazda i człowiek, którego szanowano, nie tylko dlatego, że bez dudka nie był, — szanowano i lubiono. Nie był on dumny, nie wynosił się nad innych. »Trzymał se swój honór«, z godnością, ale, nie do niego pito, kiedy mówiono: — Co on na dwie bryje więcej mąki ma, to już se telo nabiera do głowy — co on hnet cysarz!

— Godna perzuna! — mówiono o nim, kiedy szedł poważnie, z twarzą surowo zamyśloną. Szeroki w plecach, niezbyt wysoki, odziany w czarną cuhę, z czerwonym wypustem, dłuższą, niż zwykle noszą, w portkach, na których był tylko jeden czarny sznurek, w szerokim kapeluszu, z pod którego widniała twarz kwadratowa, wygolona, otoczona siwemi, długimi włosami i siwym zarostem, na podgardlu; na przegubie kształtnego silnego nosa, trzymały się ciężkie, okrągłe okulary bakwownowe. W ręku potężna ciupaga, szeroka, jak niemiecki topór, z nadzianą na ostrze, cyfrowaną, blachą mosiężną; w zębach fajka »dość ta godna, coby jom można było kurzyć, choć we trzok«. Tak się wiódł Haza.

Jego okulary, ciupaga, fajka, były jego dziełem i dobitnie wyrażały jego charakter. Ktoby zajrzał do jego chałupy, zdumiałaby się potędze, jaką było napiętnowane wszystko. Wstępowało się ku niej, po ogromnych skrzyżalach, zwalonych w cyklopowe wschody;

ściany, z potwornych, łupanych smreków, spięte, pośrodku, dźwirzami, o olbrzymich słupach, nabitych gęsto kołkami i ocapie z kapliczką. Same dźwirze z kilkociałowych dyli, umocowanych na stacji z belek, rżniętych na kant, obracały się w drażonym kamieniu, napełnionym sadłem, zmięszanem z dziegciem. Dźwigały one wielkie, ciężkie zamczysko, a z desek, ułożonych w promieniu wschodzącego słońca, sterczały gęsto czarne łby gwoździ żelaznych. — Kaby cie ino kraickiem za pięte przychyciły, nie tańczyłbyś więcej, choćby ci jamieli grali! — mówiono o tych dźwirzach.

Za izbą białą, była wielka izba niżnia, połączona z kuźnią. Tam to Haza wyrabiał rzeczy zdumiewające: ogromne kościelne zegary wieżowe, posągi świętych, zamki potężne, jak do bram fortecznych, ręczne młyny, fajki, pasy, spinki, ciupagi i cieślce, śruby do dźwignia chałup, części traczów i młynów, kadzielnice, kaganki, — wogóle wszystko, co jemu i innym trza było i czego nie trza było nikomu. Tuż, obok, była olejarnia, której wielkie koło, przepojone tłuszczem i wyświechtane od rąk, zdawało się wykutem z ciemnego polerowanego jaspisu.

Konieczność dostarczania własną pracą, przemysłem i sprytem wszystkiego, co potrzebne do życia, która z każdego górala robi istotę, przystosowaną do pracy wszechstronnej, konieczność ta, zmuszając do czynu człowieka, tak uzdolnionego, jak Haza, wydawała zadziwiające skutki. W stosunku do poziomu ludowej kultury, był on genialnym twórcą, o potężnej sile myśli i czynu.

Haza należał do starszego pokolenia górali, które miało wielką niezależność myśli i sceptycyzm umysłów

trzeźwych, zdolnych do krytycznego badania filozoficznego wnioskowania o wszystkich zagadnieniach życia i pojęciach, które stanowiły fundament wiedzy ludowej.

— W Pana Boga wierz, ale mu nie wierz. — Mawiali oni, sceptycznie rozważając, stosunek, Opatrzności do ludzkiego życia, do rzeczywistych, istotnych spraw bytu, ale umysł ich szukał jednocześnie w rozwiązaniu tajemnicy wszechistnienia, formuły, któraby objęła, jednym prawem, cały ogrom różnorodnych zjawisk świata, szukał, i brał tę, którą dziedziczył z pokolenia na pokolenie, a na krytykę której, zdobyć się jeszcze nie mógł.

— Witajcie Jędrzeju!

— Dziękuję, witajcie! odpowiedział Jędrzek, marszcząc czoło i nadstawiając uszu, żeby rozpoznać po głosie, kto doń mówił. — Nie mogem przyznać się, ktoście wy? Wybaczciez?

— Zje ba Haza! Jamróż, nie bacycie?

— Haza! Haza! Witajciez, witajciez! Siednijcie tyz ta na kwile, cobyśmy ugwarzyli kielo telo.

Haza siadł, nabił fajcysko sobie, pomógł Jędrkowi zryktować fajkę — zapalili.

— No i cóz ta tak ozmyślujecie haw w polu?

— Zje ta ozmyślujem i ozmyślujem. I tak wam powiem: cem dłuzej cłowiek zyje, tem więcej ma takik myśli, co ik nikomu nie moze pedzieć. Moze, ta nie nikomu, przecie nie kazdemu, z kraju. Z wami rad ugwarzem, bo przecie wiem, coście cłek nie głupi i moziecie sytko se pozbierać do głowy. A zaś som takie znów myśli, cobyk kciał, coby ino samo to syčka myśleli.

Zaczęli gwarzyć o tem, co Jędrka najbardziej obchodziło i, o czem, każdy z nim gwarzył: o wypalo-

nych oczach i dobrobycie, który mu to kalectwo przyniosło.

...Jędrrek złapał nakoniec za nić swoich najdroższych myśli i mówił zapalczywie i radośnie.

— ...Nie! nie zrobi nic! nie zdoła, ani prok! Kaby ino cały naród, ka jaki cłek, od małego do wielkiego, cy z pomiędzy chłopów, cy z bab, cy z panów, cy ta z rządu, cy ziandary, cy zydy, cy miemce, a choć ta i filance, kaby ino syćka wzieni sie wraz, kazby ta nasła się siła, coby ik przewładała! Nie mówcie nic! Syćko to nic nie płaci: ani woda, ani ogień, ani pieron, ani wiater, ani chorość — syćko nic nie płaci, proci tej siły. Wode wezmom w takie jazy, wiater w takie młyny, co bedom ś nik, ino, rzekomo, pachotki, pieronem bedom na ostatek fajki zapalować, o chorości, aniby gwary nie było, kaby ludzie o sie stali, jeden o drugiego, a mieli rozum. Mówiem wam! Kaby ino sie miłowali, a mieli rozum. Zbacciez se na mnie: zwypalowało mnie ocy, potargało ręce, i bez cóz takie sietniacysko wyżyło, bez co nie skapieli my syćka? Ino bez ludzkie miłosierdzie! Wikarji gadał: Bóg zwypalował ci ocy, bo cie miłuje, a nagodził ci nowom chałupe i krowe i dudki, bo ma na cie miłosierdzie. Ja myślę, — mówił Jędrrek cieszniej — cok ocy ja zwypalował sam, bez własnom głupote, a miłosierdzie, lutość była w ludziak. Nic do tego nie ma Bóg i do syćkiego, co się tyce cłowiecego zycia. Syćko, co ci trza, musis se cłeku zdobyć sam, własnymi rękami, własnym potem, mękom, pracom... a wse musis tego warować, a bić sie, a biedzić, a łamać, coby ino jako przewładać wselinico, co ci sie prociwi, co na cie nastaje. I któz ci w tem pomoze? Kto cie dzwignie, kieś upadł, kto ci zaorze, zasieje, kto zratuje? No

kto? Bacciez se, jako se mnom było, bacciez! Kie dziś ozmyślujem, jakek zył, jakek pracował, jakek konał — cudujem sie! Anikby dziś nie uwierzył, kieby mnie kto ozpowiadał. I cok miał? Dy my byli ostatnie, napłõnise dziady i byliby ostali wse takimi, i naostatek chorość i głõd wytlukły by te dzieciska. I za to, co? Zwypalone ocy! Mas ci nagrode! Ktoz zratował? Ludzięta niebożęta! Mówiem wam, kaby ino wcas, kaby nie cekali, jaze zwypalujom ocy, — aniby my nie wiedzieli, cy... ..Jędrak zaczął mówić cicho, z najwyższem napięciem i skupieniem myśli. Haza zdjął okulary i patrzył surowo i mądrze w ślepe ocy Cajki. Nakoniec rzekł:

— A kaz sie świat wzion?

— Ka sie wzion — to sie wzion! Co mi do tego? Cy bedem wiedzieć, cy ni — od tego nie przybędzie mi nic. Ka sie wzion — to sie wzion, bacciez ino, jako na nim jest. Co mi ta płaci wiedzieć, kto mi cuhe usył — Jędrzecek, cy Słodycka? coby ino cuha była dobra. Tak i ze światem. Ka sie wzion — to sie wzion, ryktujmy sie ino tak, coby ino na nim było dobrze!

Jędrka nic nie obchodziły pytania metafizyczne. Rzucił sie on w głębie myślenia, tylko pod wpływem swego nieszczęścia, które mu oświeciło w sposób jaszkrawy byt ludzki i jego stosunek do Boga. Zimny sceptycyzm Hazy i obojętna metafizyka, spotkały się w nim z namiętnem uczuciem, które szło po najprostszej linii, do ujęcia, nie oderwanej idei, lecz krwawej i radośnej prawdy życia, wielkiej mądrości kierowniczej, jedynej siły, mogącej wprowadzić ludzkość na drogę, wiodącą do ostatecznego celu wszystkich pragnień, trudów i walk — do szczęścia.

— A dusa? — spytał Haza.

— Dusa? Dy przecie, kie ludzie bedom zyć, jako wam mówiem, dy bedom, jako święci! Kaz ma być dusa — kieś święty?

Haza wstał. Na jego mądrej, surowej twarzy jaśniała radość. Jędrak go jeszcze zatrzymał.

— Tak wam powiem: samemu Panu Bogu byłoby lekcej zyć, boby sie nie frasował o kazdom kluske, — cy jom dać — cy ni. Dy wy se pomyślcie, coby to było! Ka sie obrócić, świat jaze dygoce od miłości, od radości, od szczęścia! I nik nie siedzi, jako ja haw, z wypalonemi oczami, z oberwanemi rękami. I nik nie płace, nie jajce, nie banuje, nie pomstuje, nie bije sie, nie klnie i nie boi sie... Cy požre na niebo, cy na ziem, cy na Tatry, cy na morze, nika nima strachu! Ludzie na świecie! — wołał Jędrak olśniony, swoim widzeniem. — Coby ino nie mieskali, coby nie cekali, jaze ocy zwypalujom!

1907. Czerwiec.

VIII.

ZOŚKA GALICKA.

— Dusa? Dy przecie, kie ludzie bedom zyć, jako wam mówiem, dy bedom, jako święci! Kąz ma być dusa — kieś święty?

Haza wstał. Na jego mądrej, surowej twarzy jaśniała radość. Jędrak go jeszcze zatrzymał.

— Tak wam powiem: samemu Panu Bogu byłoby lekcej zyć, boby sie nie frasował o kazdom kluske, — cy jom dać — cy ni. Dy wy se pomyślcie, coby to było! Ką sie obrócić, świat jaze dygoce od miłości, od radości, od szczęścia! I nik nie siedzi, jako ja haw, z wypalonemi oczami, z oberwanemi rękami. I nik nie płace, nie jajce, nie banuje, nie pomstuje, nie bije sie, nie klnie i nie boi sie... Cy pożre na niebo, cy na ziem, cy na Tatry, cy na morze, nika nima strachu! Ludzie na świecie! — wołał Jędrak olśniony, swoim widzeniem. — Coby ino nie mieskali, coby nie cekali, jaze ocy zwypalujom!

1907. Czerwiec.

VIII.

ZOŚKA GALICKA.

ZOŚKA GALICKA.

— Jużci sierota! Ale, cy ty wies, co to je jest sierota? Ty se sama pozbieraj to do głowy: — kie ty nimas famelji, ani z wirchu, ani ze spodku, kie nimas ojców, ani dzieciów, kieś nie mama, ani nie córka — cóz ty warces? Co? No — pedźmy tak, co nawysy telo, co kot! A co warce kot, kie nad nim nimas gazdy? Nic! Teloz by nie był! Tak i ty. Ani ty bozkiego ozkazu wykonać nie mozes, bo kie ci przykazano ccić ojca, matke — a ty co? Jakoz ty spełnis bozkie przykazanie, kie ik nimas? A kie nie ccis ojca, matki — za mame, za tate jest ci gazda! Bo to sie nazywa, jako przełożony, abo ten chlebowdawca i nimas dla cie innego prawa, ino gazdowski ozkaz, to juz ci ma być i za tate i za mame i za rzędy. A kie ci ojcowie zastepujom Pana Boga na ziemi, to i gazda dla cie ma być cysto, piknie, jak Pan Bóg!

Zośka słuchała z wytężoną uwagą, nie odrywając wylękłych i bezwzględnie ufnych i wierzących oczu, z bladej, szaro-żółtej twarzy Sobka Pary. Słuchała i du-

szę jej ogarniało rozrzewnienie, jakaś żałość, jak w czasie kazania, i gotowa była płakać i boćkać po rękach tego gazdę, który jej miał być za mamę, za tatę, za Boga.

Zośka słurowała już od dawna, od małości, od czasu, kiedy jej drobne ręce zdołały udźwignąć gielebę z mlekiem, rajtok z wodą, putnię z pomyjami, miotłę, motykę, albo widły. Słurowała, ale nigdy jej nikt nie wyjaśnił, ani jej stanowiska na świecie, ani stosunku do ludzi, którym słurowała, dla których pracowała i którzy ją żywili. Nie miała ona w sobie tych przymiotów, które są dla człowieka tem, czem macki dla owada, nie miała świadomego egoizmu, który, przeciwstawiając się egoizmowi innych, wykreśla granice wzajemnego stosunku i ustanawia poczucie osobistej odrębności. Nie świadomie też, zatracala się w pracy dla innych, i czuła się zupełnie wyplaconą tem, — że żyła, że miała kraicek moskalicka, grule, kwaśnicę, czasem mleko i jaki taki przyodziewek. Nie znała wartości i ceny swego trudu, a tem samem nie mogła ocenić wartości tego, czem jej za ten trud placono. Nie uświadamiając siebie, nie była sobą, i nie mogła, nie tylko wiedzieć, ale nawet chcieć wiedzieć, kim jest dla innych, kim jest w hierarchii chłopskiego narodu. Szła przez życie, nie pytając dokąd, spychana, z jednej perci na drugą, przez niemiłosierne zdarzenia, stosunki i ludzką wolę, której pobudek kierowniczych nie mogła przeznaczyć.

Przemowa Sobka Pary była, jakby promieniem światła, który się wdarł w szarawy półbrzask, w którym żyła myśl Zośki. Dowiedziała się wprawdzie, że jest warta tyle, co kot, ale kot, który jest czemś — bo ma gazdę, a gazda »cysto, piknie, jak sam Pan

Bóg». Zośka nie rozumowała nad tem głębiej, uczuła tylko nagle, jakiś spokój, jakąś pewność i bezpieczeństwo. Tam, gdzie w jej myślach, otwierała się niekiedy pustka, w której włóczył się niewytłómaczony niepokój, jaki ogarnia człowieka, gubiącego ślad perci w tatrzańskich pustaciach, teraz, zaczęła majaczyć wyraźna droga, na której stał jasny drogowskaz: — wola gazdy.

Stała przed nim wysoka, smukła, wątła, z głową pokornie schyloną. Jej wąskie plecy i biodra, jej pierś chudą otulały strzępy biednego przyodziewku. Chude, drobne ręce, nogi cienkie w kostce i małe, bose stopy zdawały się nie stworzone do tego trudu, który dźwiga dziwka w góralskiem gazdowstwie. Sobek patrzył też na nią z pewnem niedowierzaniem. Ale Zośka była górką i to jej wątłe ciało, ujęte było w splot nerwów, o potężnej energii czynu, nerwów, czułych, pobudliwych, czujnych, wytrzymałych i nienużących się. Z pod naciągniętej, na wysokie, wypukłe czoło, chusty, patrzyły oczy, podobne do pięknych, wylękłych oczu owcy, wązka twarz z suchym, garbatym nosem i ustami, płaczkliwie ściągniętymi, była blada i pokryta siatką drobnych, delikatnych zmarszczek, które rzucały na nią cień starości, wylęglej przedwcześnie, w mrokach nędzy i nadmiernego trudu. W jej twarzy, w jej postaci była jakaś bezosobowość, nieobecność siebie, bezbronność, i, siedzący, przed nią, na skrzyżalach, u progu izby, Sobek, zdawał się czemś groźnie potężnem, — rzeczywistym, bezwzględny jej panem i władcą.

Sobek, jego baba i sześcioro dzieci, wszyscy mieli blade, szaro-żółte twarze, brudne, płowe włosy, jasne, nieokreślonego koloru, oczy, a dla odmiany, duże plamy piegów na rękach. Kiedy raz szli tak wszyscy

ku kościołowi, jakiś juhas, mający w pamięci koszałkę ze świeżemi syrkami, wiszącą w szalasię, zawołał: — Syrki i syrki! Od tej chwili mieli oni swój przydomek, i nikt ich inaczej nie nazywał — tylko Syrki.

Byli oni wzorową rodziną i wzorowymi mieszkańcami gminy i parafji. Ani »panowie ze rzędu«, zacząwszy od starosty, wójta, filanca, skończywszy na gminnym pachółku, ani księży, nie narzekali na nich nigdy. Sobek płacił podatki w porę i odrabiał szarwarki, kiedy kazano, wybierał radnych i bywał sam wybierany, posyłał dzieci do szkoły, płacił za msze i wypominki, spowiadał się i modlił, należał do bractw i zsypywał kolędę, hojnie i proporcjonalnie, podług hierarchii kościelnego urzędu, w ogóle, wszelkie obowiązki spełniał ściśle i wtenczas, kiedy trza było. Nikt go nie widział pijanym, ani nie słyszał, żeby kiedy siadywał w hareście. Nie bito się i nie wadzono u nich w chałupie, dokoła której panowała stale niezwykła cisza.

— Choćbyś miał duse zagubić — famelji musis warować! — mawiał Syrek, i wszystkie jego myśli i czyny zdawały się skupiać w jednym ognisku, w idei rodziny. Był on wzorowym ojcem, którego, piegowata, porosła grubemi, złotemi włosami, ręka trzymała lepiej, od żelaznych kleszczów, »famelijom«, w klubach. Wszyscy i wszystko było podporządkowane, pod pojęcie, zbiorowego interesu rodziny, i osobowość pojedynczych jej członków, nie miała tam żadnego znaczenia. Syrek nie pytał, czy im jest dobrze, wesoło, szczęśliwie — nie o to mu chodziło. Rodzinę stanowi chłop, baba, dzieci i majątek — i wszystko to powinno było trzymać się kupy, spełniać to, co do kogo należało i współdziałać w osiągnięciu celów, które ostatecznie skupiały się

w ognisku Sobkowego egoizmu. Syrek był po to, żeby był gazdą. — Jak niema gazdy, to głupi kazdy! — mawiał, i rządził, ozkazował, nakazował, nie leniąc się zresztą tego pracować. Baba była po to, żeby słuchała, rodziła dzieci, warzyła, knapiła, spełniała to wszystko, co, samo przez się, na wiejskiej babie, cięży, a oprócz tego to, co każe chłop — gazda. Dzieci miały się rodzić, żyć, rosnać, słuchać, nie plątać się pod nogami, nie przeszkadzać, chodzić boso i prawie nago, póki są słabe i małe i stopniowo zasługiwać na przyodziewek — aż do portek, które były rodzajem znaku wyzwolenia. Miały też, w miarę sił, pracować, robić to, co im nakazą. Majątek miał się ozwijać, kosztem wszystkich, był on najcenniejszą częścią »famelji«, fundamentem, ścianami i dachem rodzinnego ustroju. Syrek z łatwością, pomięszał cele i środki życia i ujął »famelją« w niemilosierne pęta majątkowego interesu. »Famelja« stała mu się stopniowo tylko teoretycznym usprawiedliwieniem zacieklej chciwości, która była podwaliną jego duszy i najistotniejszą podniętą jego czynu. Kiedy Syrek jeszcze »grzebał się do światu«, zaczynając dorabiać się bogactwa, a zdarzyło mu się wyjechać na kilka dni z domu, mawiał do baby na odjezdnem: — Sobie i dzieciom odejmij od gęby, a cobyś o wieprzku nie zabacyła!

Ludziom zaś mawiał: — Ja, wiecie, jako ja! Ja sie o sobi nie trubujem, o suhym pysku byk zył i boske chodził — ale famelja, wiecie! Kieś ociec, kieś gazda, musis sie starać, bo to z bozkiego ozkazu i sam Pan Bóg przez famelji nie był, ino se jom zryktował, bo to sie zowie, jako Przenaświętsa rodzina!

Syrek miał z natury skłonność do mędrkowania

i wymowę, a ciągłe uświadamianie nieufności, niedowierzania, podejrzeń, które go otaczały, czyniły go nadmiernie gadatliwym i skłonny do dialektycznych występów.

Syrkom nikt nie mógł zarzucić nic, niezgodnego z prawem i obyczajem, ale nikt im nie ufał i wszyscy ich podejrzewali. Kiedy gdzieś w sąsiedztwie »spyrce sie gazda odmienił«, nikt nie złapał Syrków przy tej spyrcie, a wszystkim się zdawało, że pachnie ona z ich misek i garnków. Pazderność, choć tajona, wyczierała z pod rodzinnej obłudy i biada temu, kto pożyczwszy, na srogą lichwę, dudki u Syrka, wczas ich nie oddał. Nie pytał on, czy ta jałoweczka ostatnia — czy nie, ani gdzie będą się sadzić, na przyszły rok, grule, jałoweczkę zagnał do swojej szopy, a zagon obśiał i zsytał grule do własnej piwnicy. Czujnie i cierpliwie czatował on na chałupy, w których pracowano na dzierżawców propinacyi. »Kie juz widział ze cas«, uprzedzając żydów, zjawiał się i zgarniał wszystko, puszczając pijaków na dziady.

— Dla pijaka nimas lutości, mawiał, niek skapie, ka w polu, kie mu wódka milsa, niżli famelija. Ja by tego jego majątku ani sie nie tykał — ale niekcem do parafiji zyda puscać — wiecie.

— Ale! puściłbyś ty zyda, kie ci dudki paknom! myśleli słuchający.

Zagarnawszy czyjaś ziemię i dobytek, wzorowy ojciec i mąż miał sumienie spokojne, jak spokojne sumienie ma lis, ciągnący do nory skradzioną kaczkę.

— Dla fameliji, wiecie. Nad famelijom nimas na świecie prawa. Dy ja sam o to nie stojem. Bezemnie

moglibyście, ani lichwy, ani iścizny, nie oddawać — ale, wiecie, famelija! Bozki ozkaz!

Między szklannemi obrazami, stojącemi za listwą, w szczególnem poszanowaniu u Syrków była Święta rodzina, siedząca za stołem, na którym, na misce, leżały złote kluski i ryby. Syrek łypał też fałszywemi oczami na obraz, ile razy, przed kimś, wygłaszał swoje zasady o ważności i świętości rodziny.

Syrki nie trzymały pachotka i roboty dla Zośki było u nich po gardło. Wzięła się ona do pracy z taką zawziętością i oddaniem, jak nigdy dotąd i u nikogo nie pracowała. Do jej zwykłego zatracania się w pracy dla innych, zatracania się, bez świadomości granic wzajemnych usług, przybyła teraz podnieta świadomego obowiązku wobec gazdy, pojęcie swego stanowiska w hierarchji rodziny Syrków i uznanej zależności i uległości w obec gazdowskiej woli.

Syrki pracowały zawsze twardo, ale teraz, najtwardziej pracowała Zośka. Sobkowa uczuła od pierwszych dni pobytu Zośki wielką ulgę w rękach i ze zdziwieniem uświadamiała, że miewa chwile wolnego czasu i że kawał płótna, który mogła wytknąć w ciągu dnia, stał się o wiele dłuższy. Syrek przyglądał się Zośce pilnie, badał, zsuwał z własnych ramion trochę ciężaru, na próbę, i widząc, że go nigdy w niczem nie okłamała, ufał jej coraz bardziej i coraz więcej przyczyniał trudu i obowiązków. Całe staranie o Brzezule i Kwiatule, o Siwego, owce, i wieprzki, spadło w końcu na Zośkę, jak i większa część robót w polu. Widziano ją, zgiętą nad skibami z wiosną i w jesieni, widziano, jak nachylona twarzą do ziemi, niosła w płachtach siano z polan, jak, przeginając się tak, że zdawało się, iż złamie się we

czworo, wydzwigała ogromne płaty nawozu, z kupy, na sanie, jak torowała drogę, przez śnieg, Siwemu, i zrzuciła gnój, na małe kupki; w marcowem słońcu, widziano, jak szła za broną i skrudliła spiesznie i naremnie, jak, gliwiejąc, na październikowym wietrze, zacinającym białymi krupami, kopła grule, jak korcowała rąbaniska i młaki, jak darła bartóg w lesie i niosła brzemia cetyny. Dopóki tylko było, co robić w polu, na niwie Syrków widać było wąż i chudą Zośkę, miotającą się w zapamiętałej pracy. A gdy zeszła z pola, pracowała na oborze, w chałupie i szopie. Odkidowała gnój, siekała cetynę, rąbała drzewo, stawiała do cepa, kręciła koło sieczkarni, łątała przyodziewek, pletła rękawice. Zośka umiała wszystko zrobić — bo wszystko zrobić chciała.

Syrki były zbyt mądre, żeby się nie poznać na jej wartości, i, płacąc tyle, co nic, karmiły ją i odziewały w znoszone przyodziewki własne. Nawet stare, dziurawe kożuzysko dostało się w końcu Zosi. — E! ciepło mi tyz ciepło! myślała Zośka. W biednej jej piersi, przez którą wiatr jesienny przelatywał dotąd na wylot, biło radośnie wdzięczne serce dla Syrków i, z większą jeszcze chęcią, brnęła w potwornym trudzie, bez wytchnienia.

Sąsiedzi Syrków mówili: — Orzom, tyz ta Syrki w te Zośke — orzom, przez nijakiego miłosierdzia! A przecie i dziwka nie smok, ani nie djabeł i tyz miałyby, choć na kwile, dychnąć. — Ale! Dychniez ty ta u takik... Psie koście zatracone! Krew by ś niej, za żywa, wytocyli!

Zośka jedna nic o tem nie wiedziała. Praca, trud dla innych, były dla niej taką koniecznością, jak od dy-

chanie. Nie mogła ona wiedzieć, czy ją wyzyskują, ponieważ nie miała, poza trudem dla Syrków, żadnych własnych, odrębnych celów, pożądań i interesów. Dopóki tylko czuła władę w kościach — dopóty mogła i chciała się trudzić. A potem, kręcąc się w kieracie gazdostwa, Zośka wszędzie znajdowała jakąś radość.

Jeżeli Syrek patrzył na nią, z zimnem wyrachowaniem, które mu nakazywało szanować Zośkę, jak dobrą robotnicę, to już Syrkowa czuła dla niej pewną wdzięczność, którą kryła, pod pozorami gaździńskiej przewagi, dzieci lgnęły do Zośki, która im dawała to, czego życie wzorowej rodziny dać im nie mogło, a przepadał za Zośką cały statek Syrków. Krowy lizały jej ręce szorstkimi ozorami i skłaniały łby, żeby Zośka potarła im koło rogów; Siwy łapał łaciastymi wargami za rękaw, za zapasę, przykładał, na żart, uszu i rżał radośnie, ile razy Zośka ozwarła dzwirze szopy; owce z bekiem tłoczyły się koło niej, wyłapując okruchy moskala z garści, a wieprzki wystawiały czerwone ryje przez otwór chlewika i kwiczały uprzejmie.

Chodziła też Zośka w tumanie wewnętrznej jasności duszy, bezwzględnie zgodnej z sobą, nieświadomej groźnego zła, które tkwiło w stosunku Syrków do niej, a świadomej każdego dobra, które ku niej przychodziło od ludzi — a nawet od wieprzków.

Miała też Zośka u Syrków kogoś, do którego zwracała się z bezwzględną dziecinną ufnością, kto znał wszystkie jej myśli, wszystkie drgnienia uczuć, który krzepił ją w chwilach znużenia, chwilach, niewiadomo skąd, spadającego na nią smutku w długie, mroczne wieczory jesieni i ciężkie noce zimowe. Był to szklanny obraz Pana Jezusa, stojący, wśród innych, za listwą.

Zośka nie widziała całej potworności, wystraszonych, okrągłych oczu, brwi, dźwigniętych na czoło, nosa zakręconego rudą linją farby — był to Pan Jezus, to wystarczało. Syrki nieraz łapały Zośkę, wpatrzoną weń i szepczącą modlitwę, modlitwę nieuczoną, lecz będącą straszmem, namiętnem, głębokiem westchnieniem bezdennej, bezbrzeżnej tęsknoty.

Jeżeli lud, w ogóle oddziela Pana Boga od Pana Jezusa, ku któremu ma więcej zaufania, to dla Zośki, pojęcia te rozłamały się całkowicie, i nie dawały się stopić w jedno, żadnym wysiłkiem myśli.

Pan Bóg identyfikował się z gazdą. Zośka, od czasu pierwszej przemowy Syrka o znaczeniu gazdy, nie mogła już sobie Pana Boga inaczej wyobrazić i stosunek jej duszy do niego, był taki — jak do Syrka. Ale Pan Jezus nic jej nie ozkazował, nic nie żądał, — z krzyża swego męczeństwa wyciągał ku niej miłosierną rękę i Zośka, z pewnem przerażeniem, odczuwała w sobie jakąś bliskość, wspólność, nieokreśloną jasno w myślach, nieujętą w słowa jedność, która, na chwilę, wznosiła ją wysoko, ponad świat, zamknięty w obrębie rodziny Syrków. Ten stan duszy trwał chwilę, i Zośka pragnęła go i bała się, ponieważ gazdę miała »cysto, piknie za Boga«, czuła się jego bezwzględną własnością i wierzyła, że wszystkie jej myśli należą tylko do niego.

Syrek nie przestawał też utrzymywać Zośki w czci dla famelji i, przy każdej sposobności, bezwiednie jej oddanie się formułował w zasadę i pętał duszę jej, coraz silniejszymi węzłami z bytem tej famelji, w której Zośka, w końcu, roztopiła się bez śladu swojej odrębności. Nie miała już, ani swojej woli, ani chęci. Wdrożona w fatalistycznie niezmienny porządek kolejnych

robót, szła od jednej do drugiej, nałogowo, automatycznie i wychodziła z tych kolein, tylko wyrwana rozkazem gazdy, który pochłonał całkowicie jej wolę, wysał jej duszę, jak pajak wysysa życie z muchy, wplątanej w jego sieci. Stała się wkońcu podobną do jakiejś, doskonałej wprawdzie, maszyny, którą wprawiały w ruch, tylko wola i rozum Syrka.

W szóstym roku służby Zośki, Syrek był już tak pewnym jej bezwzględного, niewolniczego oddania się, że postanowił użyć ją do spełnienia czynu, który mógł być rozstrzygającym w życiu famelji.

Nie daleko od Syrków, nad potokiem, stała stara, otoczona gajami, szopą i pasieką, chałupa, w której siedział Jochym Styrcula. Sam stary, a przy nim niemłoda już córka wolowata i trochę karapetniaczka. Styrcula nie był bardzo hruby gazda, ale siedział na gazdowstwie po ojcach i, nie będąc chciwcem, ani skąpcem, miał »maturę do dudka«, który też rad się pchał do jego skrzyni. Styrcula nie przykupował ziemi, więc wszyscy wiedzieli, że bez dudka nie będzie.

W przeciwieństwie do Syrka, który krył swoją pazderność, pod cnotą obowiązków rodzinnych, Styrcula mówił otwarcie: — Ja ta dudek za dudek mam i rad go widzem, choć go nie potrzebujem! — Zwłaszcza wobec Syrka, Styrcula, chłop mądry i sprytny, lubił mówić o swojej chciwości i o tem, jak mu się dudki same do garści sują. Śmiał się przytem bystremi oczami, widząc, jak Syrek się mieni, nie mając gdzie wrazić swojej cnoty rodzinnej i nie mogąc zataić zawistnej chciwości, która migotała w jego, mrużących się, oczach. — Bees ty widział! myślał też Syrek, mściwie i łakomie.

Syrek, w pierwszych latach ozwijania się majątku, za każdy zwyszony krajcarz kupował ziemię. Tam zagon, tam młaczkę, ówdzie brzeżek, albo skrawek lasu — urósł też w ziemię, ale dudka nie miał tyle, ile pragnął, a chciwość i żądza posiadania rozrastały się w nim do manji, ogarniającej doszczętnie wszystkie władze duszy.

Postanowił też, ukraść, po prostu, pieniądze Styrculi. Parła go ku temu chciwość i mściwa zawiść.

Najciężej było wypatrzyć, gdzie Styrcula chowa te swoje dudki. W czasie wielkich deszczów, kiedy wezbrany potok, niosąc kupy piargu i żabic, szumiał tak, że nic, prócz tego szumu, nie było słychać, lub kiedy wiatr halny ryczał w gajach, nad chałupą Styrculi, Sobek, pewny, że nikt go nie posłyszysz, wieształ się, na mroku, u okien i śledził bacznie. Nieraz też skradał się cicho i wchodził nagle do izby, czynił to zwykle po jarmarku, w nadziei, że zdybie Styrculę, chowającego dudki, wzięte za grule, owies, lub jagnięta. Zaczął też zręcznie i przebiegle badać wolowatą i, w końcu, wiedział, co mu trza było: — pieniądze schowane były w czarnej izbie, na sosrębie, ponad drzwiami...

Kto miał kraść, nie było wątpliwości — Zośka.

Syrek był bezwzględnie pewnym, że Zośka rozkaz gazdy spełni, jednakże, dla umocnienia jej w oddaniu się zasadzie rodzinnej, dowodził przed nią, po swojemu, konieczność spełnienia tego czynu i spełnienia przez nią.

— Dudki dla mnie nie płacom nic, mówił dalej. Były, cy nie były, mnie ta do nik nic. Ani ja nie pijem, ani nie prawocem się — na cóz mi dudki! Ale famelja! Dla famelji syćko mas zrobić. Teraz dzie-

ciska doganiajom, hnet to — hnet owo, samyk portek kielo trza! A Maryna hnet bedzie się wydawać. Famelja coraz to się ozwija, a dudka nie przybywa nic. Kaz go bedem brać? Styrcula kaz bedzie pchał te dudki? W te wolowatom? To ino takim psim pukem wyńdzie. Ani z tego hasnu dla nijakiej famelji — bo ktoz takom wolowatom, przepytujem, śwynie, bedzie brać! Ty, Zośka, kie ci juz Pan Bóg ten honór nagodził, coś w famelji gazdowskiej, jako to własne dziecko, to juz musis Panu Bogu za to odstuzyc, i o te fameljom, do ostatniego dychu, stać. Naostatek, kie ci sie pomyli — cóz ci bedzie? Stratna nie bees, bo cy ty haw na służbie, cy hań — telo ci płaci! Famelji, niby tej własnej, ni-mas — a majątku tez, choćbyś z tela odbiegła, nie miałabyś za cem sie obezreć. Więzienie? Tak ci powiem: co po jednemu cłowiekowi, co się takim włókom, przez famelji, ostanie, ni-mas miejsca, nad samo to więzienie! Zaś, kieś gazda, musis sie warować, cobyś tego hónoru famelji nie pokalał i sam nie przepadł, bo famelja przez gazdy, jak powała przez sosrębu — za-lamie się! Wies!

Syrek niepotrzebnie się wysilał. Zośka, nie namys-lając się, poszłaby i bez jego dowodzeń po dudki Styrculi — wystarczyłby gazdowski ozkaz. Te dowo-dzenia, przeciwnie, poruszyły w niej pewną wątpliwość i tylko to, że gazdę miała »cysto, piknie za Boga«, po-wstrzymało ją od wahania, a może i od buntu.

Kiedy przyszedł czas, Zośka podeszła ku swemu Panu Jezusowi, westchnęła tak, że zdawało się, że jej biedna pierś pęknie, przeżegnała się i poszła.

— Pan Bóg ozkazał — Pan Jezus zratuje — myślała.

Syrek drżącymi palcami przeliczał pieniądze Styrculi — było tego siedm stówek. Mało! Ale zawsze pieniądze, Syrek nie miał, ani tyle. Złożone do kupy z tem, co miał, przeniosłyby jednak za tysiąc. — Pieniądze! psia kość zatracona! — pomyślał i dał dwa dudki Zośce, która upuściła je, wyszła, słaniając się z izby i padła bez duszy na boisku...

Syrek miał noc straszną. Biła się w nim i szarpała opętana radość ze żrącym niepokojem i śmiertelnym strachem. Teraz, kiedy Zośka spełniła wiernie najstraszniejszy rozkaz, jaki jej kiedy wydał, porywała go potworna niepewność: — Wyda go Zośka — czy nie? Syrek tarzał się w pościeli i czekał ranka, jak wybawienia. Wstał, wyszedł w pole. Cisza głęboka zalegała świat, nad którym srebrzył się płowy blask wschodu. Chałupa Styrculów spała w ciszy, jak wszystkie inne.

Syrek odetchnął, ale przebiegły, jak nikt, pieniędzy skradzionych nie wyjął ze szmacięcia, w którym przyniosła je Zośka — wiedział co robi...

Do południa zeszło spokojnie. Kiedy jednak sięgali łyżkami do miski z kluską, na oborę Syrków wszedł żandarm. Ręką w białej rękawiczce przytrzymawał wiszący na ramieniu karabin, którego bagnet zapalał się i gasł, jak błędny ognik nad jego głową, kogucie pióra na kapeluszu chwiały się, odsłaniając błyszczący granat i mieniły się metalicznie w słońcu.

Syrek pewnym i spokojnym głosem rzekł do Zośki: — Wyźryj ze na obore, cego się to psie mieso hań snuje.

Zośka zeszła ze skrzyżali, leżących u progu i szła spokojnie, ku żandarmowi — kiedy stanęła tuż przy nim, spojrzał na nią przenikliwie i wziął mocno za

rękę... Syrek, tymczasem, wartko podrzucił szmacie z pieniędzmi do sąsiedzka ze święconem zieleń, który stał przy Zośki barłogu, w ciemnym kącie sieni.

Żandarm krótko opowiedział, po co przyszedł. Syrek miotał oczami na wszystkie strony, żeby się nie spotykać z wpitym w niego wzrokiem Zośki, która patrzyła nań tak, jakżeby w jej oczach były jakieś ostrza, sięgające gdzieś do samego dna jego istoty. Miotając oczami i mówił: — Włóka wiecie i włóka! Co ś niej miałoby być, kie to, wiecie, przez famelji nijakiej, ino taka nicpote — dziadula! Ja by takimu gazdowi, na prok, despetu nie robił — a nie dopiero dudki kraść! A ta! Włóka, wiecie, i włóka! Żandarm kazał sobie pokazać rzeczy Zośki i, trafiwszy, zażaz z kraju, na sąsiedzek, wytrząsł szmatkę, w której były pieniądze Styrculi. Syrek spojrział na Zoşkę i drgnął z przerażenia: usta jej się otwierały, w oczach, zwróconych do żandarma, widniało jasne postanowienie i ręka wznosiła się, jak do przeczenia. — Syrek omal nie upadł. Ale Zoška spojrziała nań łagodnie i opuściła głowę.

Żandarm wyjął z torby kajdanki i kazał Zoške wyciągnąć ręce. Wyciągnęła te biedne, chude, stwardniałe i zczerniałe, w pracy dla Syrków, ręce, żandarm przyciągnął czysty, stalowy łańcuszek, który błyszczał na czarnych, wątych rękach, jak srebro.

— Chodź!

Zoška zajrzała przez otwarte drzwi na swego Pana Jezusa, straszny płacz chwycił ją za krtani i zalał oczy, że ledwo mogła trafić na próg...

U progu stał Styrcula. Dowiedziawszy się, że dudki są w całości, podejrzewając w tem jakieś szel-

mowstwo Syrka, a nadewszystko, będąc z gruntu dobrym, Styrcula mówił do żandarma:

— Panie! puśćcie jom! Cy ta taki biedak głupi wie, co robi. Dudki som jest — ja do niej nie mam nijakiej złości — puśćcie! Na mój dusiu! Ani nie warce z tem po rzędach, po sądach się ciągać. Niekze idzie z Boge. Puśćcie!

— Ta, co wy gospodarzu! — odpowiedział żandarm, ta wy zwaryowaliście, czy co? Skąd ja przychodzę do tego, żebym ja miał złodziejowi, panie, iść na rękę! Ta to kryminał! Ta ja, panie, przysięgał, jako urzędnik i miałbym dopiero złodzieja, bez sądu, puszczać? Ta, gdzieby już była sprawiedliwość, żeby taka, panie, w kryminale nie siedziała! Chodź!

Zośka poszła przodem, żandarm za nią, a Syrki w kupie stały na pagródce, pod ścianą, i patrzyły za niemi.

.....

Syrek Zośki nie okłamał. Więzienie było »samo to« miejsce dla niej, a po pewnym czasie, wydawało się jej, po prostu, niebem.

Zośka, w której wszystkie uczucia były przystosowane do życia, na najwyższym wirchu ludzkiego bytu, szła dotąd w nocy niewiadomości, nie znając życia takiego, jakim ono jest i nie wiedząc, jakim ono być powinno. Jej pojęcia nie obejmowały jej uczuć, nie mogła ona z nich stworzyć idei kierowniczej, dla życia, i nie знаła nawet wcale słów, któremi by mogła nazwać to, co było jej szczególnym sposobem odczuwania siebie i świata. Zamknięta w sobie jej dusza, przejawiała tyle tylko swojej woli, ile jej potrzeba było, dla podjęcia i spełnienia, potwornej, lecz radośnej, pracy.

Że praca ta szła wyłącznie na pożytek innych, Zośka o tem nie myślała, bo nie mogła o tem wiedzieć, nie przeciwstawiając nigdy swego ja odrębnego — innym ludziom. Inni, odrębni dla niej nie istnieli, zatracala się ona w ich życiu, żądzach, sprawach, potrzebach, nie ujmując tego w żadną zasadę, nie motywując żadnem rozumowaniem. Tak było — i dobrze, że tak było.

Syrek pierwszy wprowadził do jej duszy pierwiastek rozumowego uzasadnienia jej bytu i społecznego usprawiedliwienia celu i wartości jej trudu. Bezwzględne oddanie się rodzinie Syrków, jako ostatecznemu celowi życia, wystarczało jej, ponieważ każde inne usprawiedliwienie jej zaprzepaszczania się, w trudzie dla innych, wystarczałoby również, z braku jakiegokolwiek protestu w niej samej, przeciw temu zatracaniu się. Zośka bywała czasem zmęczona, niekiedy smutna beznadziejnie, ale nigdy nie widziała przyczyny tego w nadmiernym trudzie dla Syrków, w upośledzeniu swego bytu, w zabijaniu, na ofiarę dla nich, całego świata jej własnych pragnień, żądz i potrzeb. Jej trud i nędzę opromieniała najwyższa, znana jej, zasada: — »famelja«, famelja, nad którą panował, jak Bóg, Sobek Para, zwany Syrkiem — jej gazda.

Teraz stał się w niej potworny przewrót. Czyn Syrka wdarł się jak piorun w jej duszę, rozproszył noc niewiedomości i zalał świat blaskiem, w którym »famelja« wydała się marną garścią śmiecia. Dusza Zośki była dotąd, jak ocieniona, mrocznym lasem, ziemia, w której leżą nasiona cudnych kwiatów, nie mogących kiełkować w mroku, — przyszła burza, zwałała czarny, porosły szaremi kołtunami i hubami las i, z odsłoniętej

ziemi, porwała się ku słońcu, potężna, błyszcząca młodością, skrząca się barwą gęstwa liści i kwiatów.

Zośka ujrzała, ponad Syrkami — ludzkość, ponad ich interesem — miłość i, w błyskawicznej chwili męczeńskiej myśli, zobaczyła wartość swojej duszy, bezwzględną wartość dla wszystkich i dla wszystkiego tego, co ona oddawała nieświadomie, nie wiedząc, co to jest warte, Syrkom i wszystkim innym ludziom, którym służyła.

Ostatniem jej wspomnieniem ze świata, byli Syrek, Styrcula i żandarm. Podły strach Syrka, nikczemne obelgi, które rzucał na nią, na nią, która szła za niego na mękę, przeciwstawiały się Styrculi, który, okradziony, skrzywdzony przez nią, prosił żandarma, żeby ją puścił, — w końcu żandarm, ciemny i ślepy, który ją, niewinną, wiódł do kryminału, do hareštu, i mówił, że tak trzeba, żeby na świecie była sprawiedliwość. Zośka prze-myślała nad tem wszystkim i, kiedy stanęła na progu wiśnickiego więzienia, była sobą, wiedziała, że jest Zośką Galicką i przeciwstawiała się życiu, swemi szczególnymi przymiotami, które ujmowała teraz w kierownicze zasady ludzkiego bytu.

I nie była sama. Szedł z nią Pan Jezus, którego obecność czuła z zupełną pewnością, i oczami, pełnymi łez rozrzewnienia, obzierała się za nim.

Zośka weszła do więzienia z cudnem złudzeniem, które ją uczyniły, jakby promieniem światła dla tych ciemnic.

Za każdym więźniem widziała ona gazdę, przez którego więzień cierpiał. Sama zataiła bezwzględnie czyn Syrka i myślała, że wszyscy inni się tają, że ci wszyscy mordercy, podpalacze, dusiciele dzieci, zło-

dzieje, gwałciciele, że wszyscy oni, są tu przez jakiegoś gazdę, który ich posłał na spełnienie złego czynu.

I Zośka mało się myliła. Nad wszystkimi niemi, stał straszny gazda, za którego cierpieli, — stało życie, potworne życie ludzkie...

W tych wszystkich twarzach pokrzywionych, na których panował jakiś bezład formy, których oczy, nosy, usta, czoła, zdawały się z sobą w niezgodzie, zdawały się jedno, od drugiego, uciekać, Zośka czytała tę samą tajemnicę, którą nosiła ukrytą w sobie.

I nawet wtenczas, kiedy Zośka się dowiedziała prawdy, kiedy przed nią otworzyły się tajnie dusz ciemnych, Zośka widziała w nich tylko ludzi — pomylnych; myślała, że ten zły czyn, który spełnili, nie stanowi całej ich istoty. Widziała ona, poza nim, w ich duszach, cały świat, zupełnie obcych ludzkich przymiotów, takich, jakie były i w niej i w Styrculi, w żandarmie i w każdym innym, znanym jej, człowieku. Zośka się zawahała, pomyślawszy o Syrku, tak jednolitym, tak skupionym w jednej żądzy... Ale nie chciała o nim myśleć, winić. — Niech ta!

W więzieniu, Zośka, pierwszy raz w życiu, poczuła się zupełnie swobodną. Nie było nad nią gazdy. Mury, zamki, rygle, kraty i strażę, więziły z niej to, co nie szukało żadnej swobody. Nie potrzebowała ona nigdzie iść, nie obzierała się za niczem, przestępując bramę więzienia. Natomiast jej poryw ku ludziom, jej chęć trudu dla nich, żądza samooddania się, nurzały się w tym świecie, bezdennej nędzy, jak w bezbrzeżnym oceanie, otwartym do niezmiernych, nie dostrzegalnych granic.

Dotąd myślała tylko o ośmiorgu Syrkach, raczej

o ich grulach, krowach, wieprzkach, ich dobytku i interesach, i dawała się, całkowicie pochłaniać, tej jednej famelji Syrków. Teraz miała przed sobą setki nazwisk, setki różnych, ludzi, istnień, losów, ludzi, którzy nie stanowili »famelji« i nie mieli, ani roli, ani statku, ani żadnych dobytków i interesów, a którzy mieli, wszyscy, jakżeby straszne przepaście w sobie, przepaście, które wołały głosem bólu i skargi do Zośki. Zbliżyła się ona teraz do ludzi, tak bezpośrednio, że ujrzała ich dusze nagie, odarte ze wszystkiego, co je w życiu, poza więzieniem, dzieli. Z nudów i rozpacz, wyrzucali oni z siebie wszystko, co w nich się tajiło, kiedy byli na swobodzie, tajiło przez strach, hipokryzyę, fałsz, obłudę, wstyd. Teraz cynizm i naiwność wyswobadzały wszystkie myśli, wszelkie uczucia. Próżność, samochwalstwo i konieczność twórczej roboty wyobraźni, pobudzały do zwierzeń, do opowiadań, w których miara wypadków przekraczała rzeczywistość i, tem silniej, działała na umysł Zośki.

Świat więzienny stanowił ogromny ustrój, o mnóstwie szczebli, na których, od dyrektora, do więźnia, siedzącego, za burdy, w karcerze, stali ludzie tak podobni do siebie w głębi, choć tak różni po wierzchu i którzy wszyscy czegoś potrzebowali, którym tyle brakło i którym Zośka chciała i, często, mogła służyć i pomódz. Wkrótce też więzienie pełne było Zośki Galicki. Służyła ona wszystkim, pracowała wszędzie, gdzie tylko było można. Zaufanie i życzliwość otaczały biedną Zośkę, odnalazła ona swoją duszę, wróciła jej wola i obudziła się świadoma celu chęć czynu. Od świtu szła ona do roboty. Prała, szyła, zamiatała, czyściła cele, korytarze, kloaki, warzyła w kuchni, myła kotły,

pleła i okopywała w ogrodzie, a nadewszystko nie opuszczała nikogo, potrzebującego jakiegokolwiek bezpośredniej pomocy, od dźwignięcia z pościeli, do współczucia, pociechy, dobrego słowa. Nie było też lepszej posługaczki w więziennym szpitalu.

Chodziła ona po tym mrocznym świecie, jakby w zorzy bezwzględного, radośnego oddania się ludziom, które ją opromieniało szczęściem. Kiedy na twarzach innych więźniów występowała szara powłoka nudy, z oczu wyzierało ohydne, pełne strachu zwątpienie, sieć ponurych zmarszczek rozpościerała na twarzach mrok starczy — Zośka zdawała się wypoczywać, młoda świeżość wracała na jej twarz steraną, a z owczych oczu jaśniała poświata radości.

Jedno tylko było tam straszne: — szable i bagnety.

— Prosem ik piknie, pytała raz Zośka strażnika, na co pan nosom teli nóż okrutny wse przy sobie?

— Ta, jakby, panie, kto uciekał, albo się buntował, przecie muszę mieć, czem takiego nastraszyć, albo ukarać. W przeszłym roku, my dwóch musieli porąbać.

W Zośce coś jęknęło. Tu, jeden człowiek siedzi za kratą, za to, że kogoś zabił, a drugi chodzi z nożem i patrzy, kogoby miał zabić! I nikt mu się nie sprzeciwia i w biały dzień migają w słońcu, na końcach »gwerów«, wielkie, szerokie, ostre noże...

— Raty! raty! myślała Zośka, kiez sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem! i, przechodząc koło strażników, boczyła się i przymykała oczy.

Między towarzyszkami Zośki była młoda kobieta, skazana za podpalenie — wołali ją Jantka. Zdawało się, że to, co popełniła, wyżarło z niej wszystkie siły

i zniszczyło możność życia. Słaniała się z osłabienia, a na bladą jej twarz padał mrok ciężkiego zmęczenia i beznadziejnego smutku, który patrzył z jej oczu. Kobieta miała rodzić i Zośka nie odstępowała jej dniami i nocami. Kiedy, w strasznych męczarniach, urodziła dziewczynkę, czując, że umiera, prosiła Zośkę: — Moi drodzy! niekze jej będzie za patronkę Święta Margorzętka, a wy bądźcie, jako własna matka. Ja światu nie sądzona, hnet umrem, któz się nad dzieckiem zlutuje, kie nie wy. Moi drodzy!

Kobieta umarła. Zośka wzięła dziewczynkę do siebie, ochrzciła, jak chciała matka, i wołała ją: — Margoska.

Znowu w duszy Zośki zaszła zmiana. Dotąd, przez cały czas pobytu w więzieniu, Zośka ani razu nie pomyślała o tem, żeby z niego się wydostać, nie zapragnęła innego życia, nie westchnęła za światem, który był gdzieś poza murami i kratami. Z chwilą jednak, w której poczuła małą Margoskę w swoich ramionach, przyszły jej na myśl kwiaty i słońce.

Kiedy dziecko dostało się Zośce, była ciężka zima. Mrok chmur ciążył nad ziemią i sypał się przez kraty, do wnętrza izb więziennych, zimnych, cuchnących i ponurych. Białe, trupie światło przedostawało się, gdzieś od spodu, przez szyby pokryte szronem i majaczyło na brudnych powałach. Zośkę, jakżeby w nią przeszła dusza dziecka, ogarniał lęk w długie, pełne ćmy wieczory i niecierpliwy niepokój w ranki, wlokące się bez końca w mroku zimowym. Bała się o dziecko i dusza jej szarpała się ku światłu, ku swobodzie. Teraz zaczęła myśleć inaczej o ludziach, którzy ją otaczali, ogarniał ją strach przed nimi, przed ich niegdyś speł-

nionemi czynami, które zdawały się wypełniać mury więzienia, jak stado strasznych zwierząt, gotowych lada chwila poszarpać Margoškę, stratować ją i wdeptać w ziemię potwornemi łapami. Wszystko to zbudziło w Zośce straszną, namiętą żądzę wydostania się w świat słoneczny, zbudziło jej własną, zatajoną tęsknotę za życiem. I jedno tylko było tam, w tym świecie poza więzieniem, straszne: — tam były Syrki, te jej Syrki, czy jakie inne, ale były złe, groźne, niebezpieczne istoty. Zośka myślała i myślała nad tem wszystkim, dobywając na wierzch duszy swoje najlepsze uczucia dla ludzi i czekała, ze drżeniem, dnia oswobodzenia. W więzieniu, zresztą, wszyscy pomagali jej do uspokojenia się. Na Margoškę przeszły wszystkie dobre uczucia, które otaczały Zoškę.

Dziecko przetrwało zdrowo do wiosny i pewnego dnia Zośka, żegnana serdecznie, niosąc otuloną w darowane przyodziewki Margoškę i węzełek różnych rzeczy, wyszła za bramę więzienia.

Był maj. Spóźniona wiosna wysypała naraz całe swoje bogactwa. Okwitały czeremchy, różowy obłok, kwitnących jabłoni, otulał wieś i dwory, na miedzach jaśniały w słońcu białe, samotne grusze. Młody kłos płowego żyta chwiał się miękką, jedwabną falą, z ciemnych zdziebeł pszenicy wytryskiwały, jasne silne płomyki kłosów. W łańach zbóż paliły się pąsowe maki i modra mgła bławatków zwijała się, jak dym błękitny, w przeźroczej, jasno-zielonej gęstwie. Łąki mieniły się smugami żółtych jaskrów, różowych goździków, liliowych dzwoneczków i gwiazdami białych rumianków. Zboża i trawy zdawały się płynąć, jak zielone fale zalewu, przez wzgórza i doliny. Drzewa stały w strasznej potędze mło-

dego życia, dźwigając, na silnych ramionach, ciemne, pyszne korony, wysoko, na jasny, przezysty błękit nieba, z którego lała się łagodna światłość wiosennego słońca. Od pól, łąk, lasów, wód modrych, płynęło powietrze, przepojone zapachem żywicy, balsamicznych topoli, młodych liści bukowych, kwitnących sadów, traw ściętych i wszystkich kwiatów, dyszących w łąkach i ogrodach. Skrzypiały w trawach derkacze, a z pod słońca sypał się wesoły, srebrzysty, namiętny śpiew skowronków.

Zośka szła w zachwyceniu. Budząca się w niej tęsknota, zerwała się teraz szalona, drżąca nadmiarem dławionego dotąd życia. Trzymała dziecko na ręku, szczęśliwa, że je otula blask słońca, błękit nieba i cudowna, poświęta ziemi skrzącej się kwiatami. Szła i zdawało się jej, że dziś zaledwie przejrzała, że dotąd żyła w ciemnościach, w jakiejś piwnicy, do której nie przedostawał się nigdy promień słońca. Nie mogła przypomnieć sobie, czy kiedyś, przed więzieniem, widziała wiosnę.

Pierwszy raz w życiu żyła całą sobą. Czuła w sobie świeżą, niezmordowaną siłę, a w duszy niosła wielki, jasny, żywy spokój, zupełną pewność prawdy, zupełną zgodność swego czynu z uczuciem, świadomość swojej woli i celu życia, którym była Margośka, patrząca zdziwionemi i wesołemi oczkami, które się mrużyły od słonecznego blasku. Ponad wszystkim, co było dokoła i co było w Zośce świadome, unosiła się jeszcze jakaś tęsknota i nadzieja.

.....

Zośka nie poszła tam, gdzie siedziały Syrki. Po-

szła gdzieindziej, omijając z daleka dziedzinę, gdzie z brzeżka patrzyły, na południe, Syrkowe izby.

Pierwsze chwile pobytu Zośki między ludźmi, wśród zwykłych warunków życia, były ciężkie i bolesne. Wracała z więzienia, napiętnowana hańbą zuchwalego złodziejstwa. Ci, co mieli dudki, pochowane w rozmaitych skrytkach chałupy, ze strachem myśleli o tem, że tuż, pod bokiem, osiedzie złodziej, którego sława, zwiększana przez plotki i kłamstwa, urosła do złowrogich rozmiarów. Dawniej kradła, a teraz wracała z więzienia, gdzie pewno nie uczyła się cnoty i niosła dziecko na rękę...

— Złodziej i przespanka! — warczały baby.

Kiedy Zośka chciała, jednej z nich, opowiedzieć o Margoście, baba zaczęła wrzeszczeć:

— Ale! gadaj ty głupim! Przespanica! Nie ty mnie bees ucyć, ka sie dzieci bierom. Idź se w djasi z tela, cobyk twojej gęby więcej, ani na ocy nie widziała! Przespanica! Psia kość zatracona! Włóka! Złodziej!

Zośka myślała, że przyjdzie jej skapieć z dzieckiem, gdzie w polu. Ale stara Maciugowa, co siedziała samotna w chałupie, stojącej na młace, pod wielkimi brzozami, zlitowała się nad nią. Maciugowa oddała już wszystko dzieciom, nie gazdowała i przy chałupie jej stała szopa, pusta i gnijąca, ale dawne miejsce na krowę było jeszcze całe i zdrowe.

— Pustka, bo pustka! — mówiła Maciugowa, ale ty Zośka się nie leń, ino poutykaj spary barłogiem, mechem, umaść glinom, zryktuj kieli, teli piec i bees se siedzieć z dziewczęciskiem, pokiel sie co zdatniejszego nie najdzie.

Zośka się nie leniła. Z szarego, napół rozwalonego budynku, wyjrzało na południe wesole okienko, ściany umazane i ubielone, po szparach, świeciły się zdaleka i błękitny dymek snuł się, z pomiędzy szpar potarganego dachu. Zośka odkopała i pogłębiła zasute borem oddawna rowy i, napęczniała wodą, młaka zaczęła schnąć i twardnąć.

— Nie boicie się, krzesna matko, haw przy chałupie trzymać złodzieja? — pytano Maciugową.

— He! moi drodzy, co się mam bać! Nie weźmie mi ona, co jej nie trza, a co jej trza, niekze jej Pan Jezus nagodzi. Dudka u mnie nie najdzie, a kie da mlika dziewczęciu — niekze da, telo bedem krzywdować, coby mi mys okrusyny na półce pozbierała. Dy to biedne, płone!

Robotę dostała Zośka u żyda: — czyścić i myć rzeźnię. Dał jej rzeźnik tę pracę, trochę przez litość i współczucie, lecz niemniej przez interes, bo Zośka podjęła się ciężkiej i wstrętnej roboty za bardzo lichą zapłatę.

Zośka prędko rozproszyła wszystkie uprzedzenia i niechęci. Jej życie jawne i proste, jej bezwzględne oddanie się dziecku, życzliwość dla ludzi i jej robotność, ta nieznużona pasja pracy, to zupełne uniesienie, z jakim spełniała każdy trud, zjednywały dla niej wszystkich. Nie zabierała ona nikomu miejsca, a gotowa była, w każdej chwili, oddać usługę, której ktokolwiek od niej zażądał.

Zośka pracowała i biedziła się z myślą o Mar-goście. Dla niej to ona taplała się w wodzie, zmieszanej z krwią bydlęcą, babrała się we flakach, zgarniała

na kupę gnój, wysuty z wnętrzości, który kupowali u niej gazdowie, sąsiadujący z rzeźnią.

Szła do każdej roboty i każdą umiała wykonać tak, że o niej mówiono: — Gazdzina też to gazdzina — choć i dziadula!

Tam zwłaszcza, gdzie trzeba było nadłożyć naremnością temperamentu, gwałtownością i wytrwałością czynu, Zośka nie miała równej ku sobie. Dla górala jedną, z, najbardziej denerwujących, chwil gospodarczych jest sianokos, pod groźbą tego lata tatrzańskiego potarganego plutami, naremnicami, lub kisańcem w monotonnej lici. Zośka szła za kosiarzem i siano schło na lotku, rozmiatane w powietrzu tak, że każde źdźbło trawy słońce prażyło bez ustanku. Na łące, na której pracowała Zośka, zdawało się, że się szamoce jakaś nadludzka siła. Szła ona jak powicher, rozsypując pokłosa w potargane strzępki i źdźbła osobne, zawieszała je na ostewkach na każde ściemnienie słońca i znów, od południa, rozmiatała na strzępy i składała na kupy, i znów targała na strzępy, aż póki w końcu wóz, chwiejąc się i klekocząc miękko po skoszonej murawie, nie zabrał zielonej, świeżej, pachnącej paszy na boisko, a Zośka, z grabiami na ramieniu, gnała do izdebki w Maciugowej szopie — do dziecka.

Zośka wiedziała, że życie Margoški zależy tylko od niej — od jej trudu i starania. — Telo ino jej — kielo mnie, — myślała sobie i naprężyła wszystkie siły, żeby to istnienie dziecka zapewnić. Był jej ujęty został w zakres spraw i potrzeb bytu Margoški i ustalił się na całe lata.

— Kieby ino dockać, kieby dockać! — myślała Zośka trwożnie o tych długich latach, które trzeba

przeżyć, zanim Margośka stanie się dziewczyną, mogącą żyć bez jej opieki i starań.

Tymczasem życie szło wartko, w jednakiej kolejności zmian pór roku, pracy, która im odpowiadała i ciągle tych samych trosk i starań koło Margośki i radości, która z niej promieniała.

Po ciężkiej pracy dni powszednich, niedziela i każde święto były dla Zośki cudownymi dniami radości. Latem, brała ona dziecko i szła z niem w łąki mżące się barwami, w pola różowe od koniczyn, mieniające się owsem, nakrapianym czerwonymi męczycami, lnem, sypiącym błękitnymi gwiazdkami kwiatów, zagonami kwitnących jasno gruli, od których przychodził słodki, odurzający zapach. Zośka przepadała za kwiatami i pławiła w nich dziecko, znosząc całe ich pęki i wieszając po białych ścianach izbeczki. Szła z dzieckiem po pod regle, w dolinki, wżerające się w głąb gór, wspinała się na szczyrbate turniczki, gdzie świeciły się w słońcu błękitne gencjany, szła nad potoki, skrzące się wśród białych kamieńców i szarych zarośli tamaryszków. Margośka umiała się cieszyć i bawić wszystkim i Zośka, w ciągłej radości, miała zupełną swobodę myślenia, które wciąż żywe i podbudzone, snuło dalsze wnioski o życiu Margośki i jej stosunku, do świata.

Raz, bawiąc się nad potokiem, Margośka natrafiła na kupę kolorowego szkła potłuczonego. Dziecko przyniosło Zośce kawałek, na którym widniała połowa twarzy, jakiegoś świętego. Zośka poszła za dzieckiem i w gąszczu olch, na odsypisku, u brzegu potoka, znalazła całą moc potłuczonych obrazów. Zaczęła przebierać i, między odłamkami, ujrzała Pana Jezusa, niezupełnie takiego, jak ten jej przed laty, ale podobnego.

Zośka, trzęsąc się od radośnego niepokoju, przeszukała wszystkie okruchy szkła, złożyła prawie cały obraz iniosła do izbeczki. Nigdy w życiu, na żadnej procesji, nie szła ona z takim zachwytem pobożnym, nigdy bardziej nie wzruszył ją widok cudownych relikwji, lub Najświętszego Sakramentu. Izbeczka napelniła się teraz jakimś, ciągle odczuwanym, spokojem i blaskiem, a kwiaty, które zbierały z Margošką, błyszcząły i wiewdły dokoła potłuczonego obrazka.

W dnie pracy, zwłaszcza w porze pracy w rzeźni, pomocą dla Zośki była stara Maciugowa. Przywiązała się ona do dziecka i śmiała się doń bezzębnemi, szerokiemi ustami i wyplakanemi oczkami, które ginęły w promieniach niezliczonych, drobnych zmarszczek. Brała dziecko do siebie, albo szła sama do szopy i spędzała tam długie godziny w ciągłej wesołości i zabawie.

— Grzeczne też to grzeczne, to wase dziecko! — mówiła, kiedy Zośka wracała od roboty. A Zośka śmiała się radośnie, wołała: — Nie moje! nie moje! — i porywała Margoškę na ręce.

Margoška skończyła już pięć lat. Była wysoka i szczupła. Włosy jej ciemniały gwałtownie. Ze smagłej, pokrytej rumieńcem twarzy, w oprawie czarnych rzęs i brwi, świeciły jasne, błękitne oczy. Kiedy ktoś do niej przemówił, końce brwi podnosiły się i dwie małe kreski tworzyły się, między niemi, na czole, nadając jej wyraz zdziwienia i pytania, który roztopiał się w wesołym śmiechu, błakającym się ciągle około ust małych i czerwonych. Była ona zawsze wesoła i zawsze czemś zajęta. W izbeczce, w rozwalonej szopie, w chałupie Maciugowej, w łąkach dookoła, wszędzie było pełno rzeczy, które Margoškę ciekawiły, dziwiły i za-

chwycaly — a nią zachwycala się Zośka, Maciugowa i przechodzący percią ludzie.

— Krzesny Ojce! — wołała Maciugowa, na idącego, koło izbeczki, Sabałę, — zagrajcie tez dziewczęciu, niekze potańcy.

I Sabała siadał na progu, wyjmował gęśle z rękawa, stroił, wpatrując się pilnie w gryf, dokoła którego płały się struny, przykręcał zębami kołki, gniewał się na gęśle: — Urażne brzydy! — w końcu grał. Margośka, na pierwsze dźwięki gęślików, zaczynała tańczyć wesoło, lecz po chwili, spłoniona ze wstydu, biegła i tuliła się do kolan Zośki, chowając twarz w zapaskę i nie chcąc powiedzieć, dlaczego nie tańczy. A Sabała śmiał się i, nie puszcżając z garści smyczka, gładził, zgrabiałemi palcami, główkę dziecką, i mówił: — I co to ta, co to dziecku! Ślicne tez to dziecko, ślicne! Bedzie z tego grzecna zienicka, bedzie tez to gądzinka.

Kiedy Margośce było siedm lat, Zośka przyniosła do izbeczki drugie dziecko, dwuletniego chłopca — Jasiek mu było. Duży był, ale tak znędzniały i wychudzony, że Maciugowa pokiwała głową i mówiła: — Sietniacysko tez sietniacysko! nie bedzie ś niego nic! — Ale Jasiek był chłop. Przypiął się do garnusia z mlekiem i miski z sapką tak, że, po miesiącu, siedział prosto i trzymał, do góry, głowę, która mu, z początku, zwiślała, na dół, na cienkiej szyjce. Pozierał poważnemi, mądremi oczami, ale nie gadał nic, zdawało się, że się namyśla, żeby nie powiedzieć, nie do rzeczy, między niepilemi ludźmi. — Chłop! tez to chłop! — cudowała się znowu Maciugowa, a Jasiek patrzył na nią, nie śmiejąc się, jakżeby myślał: Co sie cudujecie? Któż by miał

być chłop, kie nie ja! — Zośka, Maciugowa i Margośka otoczyły go staraniem, chłopiec rósł, męźniał i zaczął gadać, niegorzej od innych dzieci.

Kiedy ktoś Zośkę pytał: — Jakoz te wase dzieci? — Zośka wołała: — Nie moje! nie moje! — nie dlatego, żeby się bronić przed posądzeniami.

Zośka, z chwilą, kiedy uświadomiła sobie, zrozumiała swoje uczucia, uznała je za najstuszniejsze prawo życia, zaczęła jednocześnie tworzyć pewne pojęcia, o całej tej sferze bytu, która była jej umysłowi dostępną. Pojęcia te, były bardzo nieokreślone, były, jak opar myśli, unoszący się nad morzem uczuć, były; ledwie mglistem przeczuciem, ścisłych wniosków. Nie mając w sobie, ani żdźbła, egoizmu, odczuwała Zośka, tem silniej, aż do bolu, jego kolce, oplątujące całe ludzkie istnienie, kolce, z których każdy wpijał się, do krwi w życie, wołając: — Moje! Zośka, potraçała się o ten splot stosunków ludzkich, ściągnięty pętami żądzy posiadania, żądzy własności, i roździerany na chaos, żrących się sił wrogich, przez to samo uczucie, którego krzykiem namiętnym, hasłem czynu, był wyraz: — Mój! Całe życie Syrków było jedną żądzą tego, co Zośka, napróżno usiłowała ująć, w jakieś określenie, lub w jakąś nazwę właściwą, tylko wyobrażała, że Syrki wołają: — Moje! W historii życia wszystkich towarzyszy więzienia, Zośka czytała, czarnemi i krwawemi zgłoskami wypisane, hasło: — Mój! Ona przecie, tak krwawo, zapłaciła za to samo... A, dookoła niej, wszystko wrzało tą jedną żądzą, tą jedną myślą. Chłop bił babę, bo to jego baba: — Kieś ty moja baba, nie włóc sie po karcymach z niepilemi chłopami. — Baba wydrapywała oczy chłopu, wrzeszcząc: — Mójś ty chłop! nie

obzieraj się za niepilemi babami! — I ten sam chłop i ta sama baba, o tej swojej własności, ani wiedzieli, ani pamiętali, ani o nią dbali, dopóki zawiść, o to Moje, nie otwarła im oczu, palących się nienasyconą żądzą posiadania. Rodzice prali dzieci, bo to ich dzieci: — Mojeś dziecko! skóre ci zedrem, a bees wiedział, kto t w ó j tata! — I cała, znana Zośce, ludzkość, kopyrtała się w bitkach, złościach, niepokojach, podstępach — dla tego jednego wyrazu: — M ó j ! A najbardziej raziło Zoškę to, że ludzie chcą siebie mieć w takim władaniu, trzymać tak w garści, jak rzeczy, lub dudki. Zośka, która przecie była, do ostatka, bezwzględną własnością Syrków, wiedziała, że, nawet wtedy, było w niej jeszcze coś, czego Syrek nie posiadał, co ona oddawała Panu Jezusowi, lub, co zostawało w niej, n i c z y j e, wiedziała ona, że człowieka żywego, nie można mieć na własność i myślała też, sądząc po sobie i Syrkach, że i posiadanie i należenie, równie nisko, może zrzucić człowieka. Nie chciała też ona, żeby dzieci były jej, nie chciała za nic, czuć w nich własność, nie czuła również, żeby ona należała do dzieci. Czuła radość z tego, że z temi dziećmi współżyje i chciała, żeby one taką samą radość odczuwały — to wszystko, — i, żeby kto inny, mógł tym dzieciom, dać to, co ona, cieszyłaby się i współdziałała, bez zawiści o swoje prawo, o swoje miejsce. Traciła ona wiele radości, które mają ludzie dzisiejsi, ale oczyszczała życie z mnóstwa nędz i gruntowała swój stosunek do dzieci, na najjaśniejszej podstawie, bezinteresownego współczucia i radośnego oddania się, które nie mierzy swojej wartości, ofiarą jakichś własności, zatraconych dla kochanego człowieka.

Uczucia Zośki wyprzedzały dzisiejszą ludzkość, która nie zna wyższego symbolu, uczucia, nad wyraz: — M ó j.

Zośka nie mogła też w sobie odnaleźć tego, co ludzie nazywają — d o b r y. Nie mogła ona tego dobrze ująć myślą, ale zdawało się jej, że ludzie dlatego znają ten wyraz, że, czyniąc coś dla innych, muszą coś w sobie przewładać, przełamać, — zmienić się jakoś, być d o b r y m i na to, żeby dać dudka dziadowi, lub nie bić i nie kłąć. Zośka nie miała nic do przełamywania w sobie, nie potrzebowała żadnego podniecenia afektu na to, żeby być taką — jak była, nie czuła więc, że jest dobrą, że robi dobrze, była taką, jak była, tak samo w powszedni dzień — jak w święto. Ta cała sfera uczuć i czynów, objętych mianem dobra, u niej nazywała się: — Tak, jako trza.

Ludziom, wogóle, a zwłaszcza tym, którzy uczą religji, tym, którzy znają jej zasady i prawa ich wypełnienia, zdaje się, że religia, taka, jaka jest, spisana w książkach, jest tą religją, która jest w życiu i, że każdy religijny człowiek, tak samo czuje i myśli. Podstawa nauki religji — dogmatyzm prowadzi do takich wyobrażeń — ale jest to błąd zupełny. Żywa religja, jest inna w każdym człowieku, który z tego chaosu, utrzymywanego w spójni bezwzględnością powagi, wybiera to, co mu jest potrzebne, co zdoła pojąć, a nadewszystko, co może odczuwać. Religja też Zośki, w swej najistotniejszej treści, była zupełnie inną, od religji, której ją wyuczono i która, jednym urzędowym tytułem, obejmuje miliony dusz, czujących każda, po swojemu. Religję Zośki, całkowicie wypełniał Chrystus, i to Chrystus, który oddawał wszystko i siebie i za to jeszcze cierpiał. Cała strona jego siły, potęgi, jego

wszechmocnego panowania, nad światem, dla Zośki jakby nie istniała, nie mogła ona jej pogodzić, z jego ludzką słabością, nie mogła w nią, po prostu, wierzyć, widząc go na krzyżu i myśląc, że przecie, żeby mógł, toby ją zratował wtenczas, kiedy jej skuwano ręce... Nie żądała ona od niego nic, nie chroniła się pod opiekę jego mocy, nie pochlebiała mu, — jej religja była współzyciem i współczuciem — bardziej miłością, niż czcią. — Biedacek! — myślała o nim i łzy, strasznej, serdecznej miłości i litości zalewały jej duszę. Poza tem, Zośka spełniała wszystkie przepisy, zachowywała wszystkie obrzędy, całą rutyniczną formę stosunku z Bogiem, wkładając w to treść własną. Zośka nie mogła by tego określić, nazwać, wypowiedzieć, ale czuła, że cała istotna treść pobożności, znika tam, gdzie się zaczyna kościelny urząd, gdzie się zaczyna to, co można zapłacić, wpisać w książkę, lub wyczytać z książki. Patrząc na obrzędy, zdawało się jej, że mszały, ornaty, kielichy, monstrancje, chorągwie coś robią, a ludzi żywych w tem nie ma i niema nic, »ku Panu Jezusowi«. Czasem jej, aż mroczyło się w głowie, od tego wszystkiego i, z tego zamętu, wyłaniała się niejasna, nieśmiała myśl, że może: — Zbawienie, to ino to, co byś żył — jako on żył. — Ale Zośka nie mogła tego ściśle ująć. W jej religji było odczuwanie tego świata, w którym żył Święty Franciszek i jego legendarni towarzysze i przeczuwanie tej ludzkości, która kiedyś przyjdzie, która będzie wszystko czynić »z dobrej woli, z własnej chuci«, jak myślała Zośka.

Zośka nie mogła mieć takich pojęć, jak: państwo, społeczeństwo, jak nie słyszała nigdy takich wyrazów. Jedno i drugie trzymało ją w sieci swoich ustrojów

które Zośka odczuwała, jako pewne, szczególne, osobne zdarzenia, lub też nieruchome zapory, których jednak nie mogła ona ująć w jakiś przyczynowy związek, ani w żadne ogólne pojęcie. Były to »rzędy« i sądy, bieda jednych, bogactwo drugich, wójci, ziandary, wojaki, gazdowie i pacholki, którzy wszyscy byli w jakimś z kimś przeciwieństwie i Zośka, w tych wszystkich sprzecznościach, powiązanych jak łańcuchem, niewiadomo jaką siłą, widziała jedno i myślała: — Raty! raty! Kież sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem! — Rzędy, sądy, ziandary — wiedziała ona dobrze, co to znaczy. Potworny bezsens tego, co się z nią stało, sprzeczność między tem, co było naprawdę w życiu, a tem, co im się zdawało, ten straszny nakład ludzkiej pracy, kłopotów, tryjontów, po to, żeby sprawy proste i małe rozstrzygać w sposób zawiły i to rozstrzygać, bez żadnego sensu, okłamywać siebie i za swoje głupstwa karać naród... — A pisujom lumera, a klnom, a warujom przy kasak, a cosi kęsi konajom, co, ani do głowy nie pozbierać, i z tego syćkiego, ino kłopot, ino tryjont — ino poruseństwo, a to przecie prosta rzecz! — I Zośka myślała, jak łatwe i proste jest życie takie, »jako trza«. — Kaby ino kcieli zyc, jako trza! Ale te rzędy, sądy, to tak wygłupiom naród, co ani, ani. Ino sie kazdy obziera, co mu panowie ozkazom, a sam chodzi, jak ta owca przez pasterza! Kież sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem!

Bardzo by też Zośka się zcudowała, żeby jej kto powiedział, że »famelja« jest fundamentem społecznego ustroju. Patrzała ona na życie rodzinne, przez doświadczenie, które zrobiła u Syrków, a choć widziała, że nie wszystkie »famelje« są takie, jednak wyostrzona

i drażliwa jej uwaga, wszędzie odnajdywała, na dnie, te same pierwiastki tego, co stanowi zewnętrzną spójnię rodziny. I właśnie cała ta strona prawa, »rzędu«, jak myślała Zośka, strona obyczaju i interesu, wydawała się jej niepotrzebną, albo nawet szkodliwą. Ona wiedziała, że istotną spójnię, między ludźmi, stanowi co innego... I życie codzien ją w tem utwierdzało. Widziała, jak wśród »famelji«, zwykle zgodnych i cicho żyjących, przychodził czasem dzień, w którym porywał się, jakżeby wiatr halny, jakiś zamęt, zrywało się piekło, o byle co: o gnój roztrzęsiony, urwany postronek, rozsypane plewy, i wszyscy wtedy bili się, klęli i ciągle powoływali się na prawa rodziny, na obyczaj, na to wszystko, co Zośce tak jasno wykladał Syrek, i potem chodzili źli, ponurzy, brzydcy, warcząc na siebie obelgami. — Raty! raty! myślała znów Zośka, kiez sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem, kiez ten naród o nim se zbacy! Zdawało się jej nawet, że »famelja« zabija w ludziach to, co ich łączyło, co było w nich najlepsze, zabija istotną, między nimi, łączność i oddaje w niewolę majątku — interesu gazdowskiego. Patrzyła ze współczuciem i radością na chłopca i dziewczynę, idących razem, gdzieś w słońcu, i myślała, że potem »kie juz bedom we famelji«, będą się wadzić i kłać sobie i bić się, i, z przerażeniem słyszała muzykę, śpiewy, wrzaski weselne, ze smutkiem patrzyła na różczki, mieniące się na chomontach, weselnych zaprzęgów...

Zośka była nieuczona i ciemna. Przyświecały jej tylko uczucia, będące istotą przyszłych, szczęśliwych dni ludzkości — która kiedyś przyjdzie. Ciemnota zamykała przed Zośką cały, wspaniały świat umysłowego życia, ale nie przeszkadzała jej uczuciom utrzymywać

się na szczycie człowieczeństwa. Zośka doskonale odczuwała całą jałowość, głupstwo, pustkę form ludzkiego współżycia, którym nie odpowiada istotna treść dusz ludzkich. Dzięki swojej ciemnocie, nie mogła ona popęłniać codziennego błędu ludzi w y u c z o n y c h, którzy fikcje form, biorą za rzeczywistość, którzy wymawiają wyrazy: państwo, kościół, rodzina i myślą, że ustroje te, same przez się, mają wartość, że one powinny istnieć, bądź co bądź, bez względu na to, co się dzieje z ludźmi, ujętymi w ich więzy. Dla Zośki istotą wszystkiego był człowiek, który był taki: — Jako trza. — Kaby ludzie byli, jako trza, całego tego tryjontu i kłopotu nie trza by było. Dy to plowy! — myślała o tem wszystkim, co z taką powagą, pracowitością i zawziętością ludzie spełniają »tam kansi w rządach«.

Zośka doszła w rozwoju swojej wewnętrznej istoty do tego punktu, który cała ludzkość musi przejść, żeby móc żyć, wyższem życiem, tego punktu, poza którym dopiero jest możliwy człowiek przyszłości, oswobodzony z całego ciężaru walki z lichemi instynktami, nędznemi pojęciami, oswobodzony z tego lenistwa duszy, które przełamuje teraz tem, co nazywa cnotą. Dzisiejsza cnota musi się stać powszednim, pospolitym, nieuświadamianym stanem, żeby człowiek mógł być istotą wyższą ponad siebie, żeby mógł, odrzuciwszy szczydła praw i obyczajów, pęta przykazań i obowiązków, żyć w zupełnej zgodzie z sobą, zupełnej swobodzie, w wspaniałej godności istoty niezależnej — odpowiedzialnej tylko sama przed sobą.

Do tego punktu rozwojowego, do którego doszedł Święty Franciszek, zbliżała się Zośka i nikt nie przeszkadzał jej tak żyć, gdyż istniała ona, jakby poza

społeczeństwem. Nie przedstawiała ona żadnej wartości, ani dla państwa, ani dla społeczeństwa: — nie płaciła podatków, nie stawała do wojska, nie była obowiązana do szarwarków, nie miała praw wyborczych, ani czynnych, ani biernych, kapitały jej nie wpływały na giełdę, nie przyczyniała się do podniesienia bogactwa krajowego, bo nie konsumowała alkoholu . . .

Żyła, poza społeczeństwem i państwem, nie naruszając inercji ich ustrojów, nie tamując ruchu ich interesów. Była cennym przedmiotem, którego wartości i pożytku nikt nie mógł ocenić i, albo zużyć, dla dobra ludzkości, albo złamać, dla dobra odwiecznego porządku, jak Świętego Franciszka złamała zasada hierarchji i urzędu. Zośka nie szła na czele potężnej fali ludzkiej, dążącej do zmiany treści i form bytu, nie zagrażała spokojowi. Mówiono o niej: — Zośka i Zośka! cudze dzieci chowa — niekze se chowa! — Zośki umysłowość nie odpowiadała wartości jej uczuć. Nie mogła ona być, ani prorokiem nowych wierzeń, ani propagatorem społecznych przewrotów, nie umiała ona swoich uczuć ująć w ideę, tak, jak kto inny, pod ideę, nie może podłożyć uczuć. W jednym i drugim wypadku — tam uczucie, tu myśl, nie wychodzi z granic indywidualnego życia.

Zośka wzięła na siebie spełnienie najwyższego czynu, jaki ludzie, jedni względem drugich, mogą spełnić, wzięła na siebie trud utrzymania życia dwojga ludzkich istot. Margośka i Jasiek mieli i wyżyć i żyć całą pełnią ludzkiego bytu — mieć możliwość zachowania życia i całkowitego przejawienia swoich dusz w czynie. Zośka, tak różna od współczesnego, bezpośredniego jej otoczenia, i uznająca tę swoją różnicę, za prawo życia, nie była jednak w stanie, ani wytworzyć, ani prze-

prować żadnego szczególnego sposobu wychowania, któryby odrazu skierował życie dzieci, ku temu brzegowi, na którym ona sama stała. I nietylko brak jakiegokolwiek wykształcenia był tego powodem. Ludzie, nawet bardzo wykształceni i inteligentni zachowują się nieraz, tak samo, jak Zośka. Osiągnięty, w późniejszych latach, stopień rozwoju, bywa w takiej niezgodzie z punktem wyjścia życia i jego przebiegiem, że człowiek nie może sam wiedzieć, pod wpływem jakich sił, stał się takim — jakim jest. I wobec nowych pokoleń, wobec dzieci, nie może się zdobyć na całkowite przeobrażenie kolei ich faz rozwojowych, myśląc, że one też muszą zaczynać, od tego samego punktu, co on. Z drugiej strony inercja otoczenia, niezmiennosc warunków życia, tożsamość stosunków ludzkich, wywołuje, pod wpływem troski o byt tych dzieci, chęć usunięcia z ich życia trudów i niebezpieczeństw walki z tem otoczeniem, chęć przystosowania ich do tej sfery, w której żyć muszą i oto nowe pokolenie musi się wlec starymi drogami — elektryczny samochód musi iść koleinami, wydeptanymi przez czumackie woły

Zośka oddała dzieci do szkoły, a poza tem chowała je tak, jak zwykle wychowują się i żyją wszystkie dzieci góralskie. Tylko tym dzieciom, Margośce i Jaśkowi, działa się strasznie dobrze. Żyły one ciągle w atmosferze najwyższej miłości, jasnej radości z współżycia i bezwzględного oddania się. Zośka czuła i myślała, że w życiu ludzkim wszelkie ujemne uczucia, usposobienia, złe słowa, głos niechętny i opryskliwy, wogóle, to wszystko, co ona nazywała »nie ku ludziom«, że wszystko to jest, jak brud w izbie, jak gawiedź na przyodziewku i strzegła się jednego i drugiego. Nikt tam

nie chodził, jak plugac, nie myty i nie czesany i nikt nie chodził z duszą brudną, od rdzy złych uczuć. W izbeczce tej jaśniała jakaś zorza, która unosiła się nad ich nędznymi zagłówkami, nad miską z kwaśnicą, nad łatami, wszywanymi w koszule, katany, w portczęta Jaśka. Zośka widziała też, że życie jest strasznie krótkie i, że w tem życiu tyle jest do przewładania ciężkich przeszkód, do przetrzymania smutków i strapień, i myślała, że każda chwila, którą te dzieci przeżyją, bez jasnej radości, jest straconą na zawsze, a na jej miejscu, w smudze życia, pozostanie cień — jak brudna plama — i starała się, wszelkimi siłami, żeby z nędzy ich życia, nie wstała jaka zmora, która zatruje dusze Jaśka i Margoški. Najbardziej dbała Zośka o to, żeby uchronić dzieci od tego, co ona nazywała »moją ością«, nie znając wyrazu: egoizm. Z Margošką nie było ztąd żadnego kłopotu, ale Jasiak, w pierwszych latach, zdradzał pazderność, którą jednak dłuższe współżycie z Zośką i Margošką, w końcu otamowało. Zośka strasznie się cieszyła, że dzieci czytają. Dostała od kogoś Ewangelje i Margoška czytała jej »same te słowa jego« — których Zośka czasem nie rozumiała, ale sam dźwięk ich był już dla niej radością. Słuchała, spoglądała na szklanny obrazek i fala radośnego i wdzięcznego podziwu zalewała jej duszę.

Dzieci nazywały Zoškę: mamą, ale wiedziały, że ona nie jest ich matką i Zośka opowiadała Jaškowi, o jego zmarłych rodzicach a Margošce, strasznie dobre rzeczy, o jej matce i wspominała o tacie, który gdzieś był we świecie.

Ten tata przysłał kiedyś nawet Zošce dwa papierki »na dziecko«, a w końcu, kiedy Margošce było

dziesięć lat, do izbeczki Zośki, wszedł duży chłop, ubrany, jak włoski robotnik, w pluszowy przyodziewek i spiczasty, z wielkimi skrzydłami, kapelusz. Twarz miał zbronzowiałą, wypłowiałe, jak słoma, wąsy i kolczyk, wśrubowany w lewe ucho — był to tata. Spojrzał na Margoškę i powiedział: — Niebozycka i niebozycka! — zmarszczył się strasznie i zapłakał. I te łzy na jego twarzy, twardej, skamieniałej w jakimś zaciętym spokoju, łzy, które z trudem dołyły się z jego oczu surowych, były tak bolesne, że Zośka i dzieciśka zawyły z płaczu. Tata miał gwarę pomirwioną, mieszał wyrazy madziarskie, włoskie, niemieckie, których nabrał, pracując przy budowie kolei, stracił też góralski, grzechny obyczaj — był szorstki i stanowczy — ale nie zrobił im nic złego. Dał Margošce czerwoną, jedwabną chustę, Jaškowi przyniósł zielone cukierki, na odchodnym zostawił kilka papierków dla dzieci i powiedział, że za lat pięć zabierze Margoškę na Orawę, gdzie będzie miał grunt. Zoškę pogładził brunatną ręką po głowie, Margoškę podniósł, pocałował, mrugnął na Jaśka i poszedł, wycierając głośno nos w błękitno-żółtą chustkę i trąc nią oczy.

Lata szły wartko. Zośka przygotowywała się na odejście Margoški. Żal, który się w niej zrywał za dzieckiem, przesłonięty był niepokojem o nie. Cóż Zośka mogła wiedzieć, jakie tam życie tata da dziecku? Nie miała żadnego powodu mu ufać i nie mogła wyobrazić sobie, między tym tatą, zupełnym niepilcem, a Margošką jakiejkolwiek łączności. Zośka przygotowywała skrzyneczkę z przyodziewkami, chowała do szmacięcia zwyczajne dudki i starała się zhamować w sobie, jakieś straszne uczucie, załamywania się w bezdnie ca-

tego życia. Wszystko w niej było, tak bezwzględnie stopione z życiem Margoški, wszystkie myśli i uczucia były w służbie tego życia, które, przez tyle lat, trwało, dzięki Zośce, że nie mogła ona przenieść na nikogo, ani zaufania, jakie miała do siebie, ani odpowiedzialności, jaką miała sama przed sobą. Biła się i szarpała w ciężkich myślach i trwodze, przed zbliżającym się dniem rozstania.

Tata jednak nie przyszedł, jak obiecował, i nie było o nim żadnej gwary,

Margoška zaczęła rok szesnasty. Była wysoka i silna w ramionach. Młoda pierś wznosiła się, pod fałdami katanki, a wąskie jeszcze biodra, nieznacznie stapiały się z prostymi nogami, o małych, zgrabnych stopach. Kiedy z jej głowy zsunęła się pomarańczowa chusta, widniały czarne włosy, otulające gładko wysokie, czyste czoło, na które, jak dawniej, podnosiły się z wyrazem zdziwienia brwi czarne, a błękitne oczy w czarnych rzęsach, okrążone brązową obwódką, świeciły się, jakżeby ze dna własnych źrenic. Wązki, prosty nos, trochę się garbił, w uśmiechu ust czerwonych, z za których błyskały białe, drobne zęby. Białość czoła przechodziła, na skroniach, w jakąś złotawą poświatę, odbijającą, jak promień słońca, od czarnych włosów i rozplywającą się miękko w smagłym rumieńcu twarzy i różowości drobnego ucha. Oczy jej połyskiwały, po dawnemu, radością, koło ust, zrywał się, co chwila mimowolny uśmiech, ale Margoška miewała teraz zamyslenia dorastających dziewcząt, jakieś nasłuchiwanie cichych, dalekich głosów i twarz jej młoda, mieniła się, jakżeby przez nią wiatr przeganiał cienie chmur i znów odślaniał na blask słońca. Mówiła cichym, miękkim,

nizkim głosem, płacząc się w słowach, czerwieniejąc ze wstydu i wybuchając wesołym śmiechem, który porywał słuchających i patrzących na nią. W jej rękach i całym ciele była celowość, sprawność i pewność, która nadawała jej poruszeniom rytmiczność i wdzięk jakiegoś tańca. Zośka i stara Maciugowa, nie mogły oczu oderwać, kiedy Margośka szła, w dzień pogodny, z grabiami, wśród pokosów. Patrzył też na nią Józek ze młyna, od którego Margośka miała, pięknie ryzowaną kądziel, — od niego też były cudnie cyfrowane kierpce, świecące na jej zgrabnych nogach

Ale tata przyszedł, i pewnego pogodnego dnia jesieni, zabrał Margoškę na furę Orawca, wracającego do domu, po sprzedaniu kapusty. Zośka władowała na wóz skrzyczątko z przyodziewkiem Margoški, Maciugowa, trzęsąc się i chlipiąc z płaczu, przyniosła piękne, stare korale i gładziła Margoškę po twarzy, twarde mi, zgiętemi palcami. Tata mówił: — Nie bójcie się nic — nie będzie jej nic, bo przecie ja za tate! Pry som Bohu!

Wóz oddalał się, a na drodze stała Zośka z przerażonemi, suchemi oczami i drżącemi ustami, szepczącemi coś cicho, stała Maciugowa, zalewając się łzami, i grubo zanosił się płaczem, Jasiek. Margoški czerwona chusta świeciła z wozu, na którym, obok dziecka, siedzieli dwaj niepiłi ludzie: — tata w swoich ciemnych pluszowych przyodziewkach, z szyją, okręconą grubym szalem i Orawiec, w brunatnej cuże i baraniej czapie z uszami — obaj tak straszliwie obcy, niepilce . . .

Zośka, za dużo wiedziała o życiu chłopskiem, żeby ją zapewnienia taty mogły uspokoić. Wiedziała ona, że z tej precudnej Margoški musi się zrobić b a b a, zagnana w niewolę ciężkiego trudu, chorób, ro-

dzenia dzieci, baba, z duszą wiecznie potarganą tryjontem i niepokojem życia — taka baba, jakich pełno było dookoła, a w których niemiłosierne życie tak prędko zabijało młodość, jasność, piękność, dobywając na twarze znamiona starości i złych uczuć, rodzących się w mrokach zgnębionej, sponiewieranej duszy. — Raty! raty! — myślała Zośka i stała bezradna pośrodku izbeczki, nie wiedząc, co z sobą zrobić.

Zośka nigdy nie wyrzekała i nie narzekała przed nikim. Wiedziała ona, że ten, co narzeka, obciąża sumienie tego, który go słucha, obciąża, tem bardziej, im mniej można mu pomóc. Sama chętnie słuchała wszystkich boleśnych głosów życia i przeżywała w sobie wszystko, co one przynosiły i dlatego swoje strapienia kryła w milczeniu. Znała jednak jedną dobrą Panią, którą polubiła za to, że jej »się dzieci zwidziały« i do której szła i ze skargą i czasem po pomoc, kiedy już życie było nie do udźwignienia i, przed którą, zwierzyła się nawet z wielkiej tajemnicy swego życia: — z tego, jak było naprawdę z Syrkami. Przed tą panią też wypowiedziała cały ból swego żrącego niepokoju i przed nią przyszła ucieszyć się z listu Margośki, która uspakajała Zośkę, że jej jest dobrze, że »tata som dobrzy i grzecni« i pisała też, że »na świecie niema i, ani nika nie może być, takiej mamy, jakoście wy byli dla mnie. Kie se zbaczem, jako mi było z wami, myślem, co to było samo to niebo. Mamo! moja mamol!« — Zośka, zalewając się łzami, mówiła radośnie: — Wyplaciło mi to dziecko, wyplaciło za syćko, kie me juz tak ma za mame! —

Na drugi rok Margośka przyszła z chłopem, orawskim szklarzem, którego obecność, jak ciemna chmura przyciemniała, jak bryła lodu, mroziła radość w izbeczce.

Margośka była ta sama, tylko usta jej się zacinały w boleśnym skurczu.

.....
A na trzeci rok Margośkę pochowali na cmentarzu — tam na Orawie

.....
Jasiek dorastał, pracował, pacholczył u gazdów. Zośka miała coraz mniej trudu, i kłopotu i tem straszliwiej, odczuwała pustkę po Margośce.

— Kiebyk wiedziała, co to dziecko, choć kany we świecie jest, co jej jest choć tak, jako tu bywało, anik by po niej nie cniła, ani nie płakała. — Ale tak!

I Zośka nie cniła, jak za swoją własnością, tylko jak za zgasłym słońcem, które przyświecało światu — nietylko jej.

Teraz miała jeszcze do spełnienia tylko jedno pragnienie. Zośka nie mogła myśleć o tem, żeby Jasiek był wojakiem, żeby chodził z tym nożem na »gwerze«, albo z jeszcze większym przy boku. Myślała nad tem i myślała, i zbierała dudki na »Sifkarte« do Ameryki i chciała dożyć tego, żeby już go nie było »haw w tym kraju, ka cłowiek na cłowieka z telim okrutnym nozem nastaje i, ani se nie zbacy o Panu Jezusowi«.

Ale tak się nie stało i Zośka musiała patrzeć na Jaśka, ubranego w błękitny kabat i czerwone portki i, dźwigającego okrutne, zbyrczące szablisko. Jasiek jej mówił: — To ta mamó nic! Nie banujcie, tem, ani chleba nie ukrois, bo to tępe. Odsłużem trzy roki, prasnem to i zabacem, cy mi się to kie koło biedra płażało!

I odszedł w miasto.

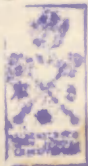
Teraz życie trzymało się Zośki, tylko z łaski, a ona, o tę łaskę, nie prosiła. Teraz też uczuła straszny

tego życia ciężar, uczuła ból w kościach za cały trud, który spełniła, a ból w duszy za Margošką trwał bez nadziei. Niekiedy jednak myślała, że może tak lepiej się stało. Zdawało się jej, że Margoška odeszła w zory radości, nie przeżywszy tych wszystkich nędz i cierpień, które może na nią czyhały . . .

Zoška pochowała starą Maciugową, która oddawna już nie wstawała z pościeli, dogasając powoli, a w końcu i sama odeszła cicho, nieznacznie, w dzień powszedni, że, ani nikt nie wiedział, kiedy . . .

Tylko stary kościelny, Janik, mówił, z miłą twarzą, a jękając się: — To... to... to było stare i do... do.. dorobione i pomeło. Ale to... to było strasznie dobre, strasznie dobre. Co mnie hnet jest sto roków, przez jednego, alek takiego dobrego człowieka, jako to, tok, ani nie widział!

1907.



SPIS RZECZY.

	Str.
Na umarciu	1
Lew Tołstoj. Ciem ludzkie zyjom. (Tłóm. z rosyjskiego	25
Opowiadanie Sabały	55
Ociec Nędza	67
Wojtek Gandara	87
Kwiatki świętego Franciska	139
Jędrzej Cajka	161
Zośka Galicka	211

